INWAZJA NA UKRAINĘ

Warszawska „partia wojny” nie spuszcza z tonu

Ziemkiewicz o chybionej narracji w sprawie tragedii w Smoleńsku

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 19/475 9–15 MAJA 2022

ROZMOWA „DO RZECZY”: W POLSCE JEST JUŻ 12,5 TYS. AMERYKAŃSKICH ŻOŁNIERZY – MÓWI MARK BRZEZINSKI, AMBASADOR USA

Ostry spór o Lednicę o. Jana Góry

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

Rosyjska wojna – polskie koszty

NARODOWY BANK POLSKI

30. rocznica powołania Straży Granicznej

MONETA KOLEKCJONERSKA NBP

Ślubuję stać nieugięcie na straży niepodległości i suwerenności oraz strzec nienaruszalności granicy państwowej Rzeczypospolitej Polskiej, nawet z narażeniem życia

Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „30. rocznica powołania Straży Granicznej". Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom i pracownikom Straży Granicznej, którzy strzegąc granic Polski dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 11 maja 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym:
kolekcjoner.nbp.pl

eprasa.pl 63687049a4

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bez granicy z Ukrainą? Między metaforą a wizją

Wierzę, że […] jak – mam nadzieję, proroczo – powiedział to prezydent Wołodymyr Zełenski, [Polska] nie będzie miała granicy [z Ukrainą], że tej granicy faktycznie nie będzie" – to zapewne najbardziej dająca do myślenia deklaracja prezydenta Andrzeja Dudy podczas przemówienia z okazji święta narodowego 3 Maja. Co znaczą jednak konkretnie te słowa? Jak należy rozumieć wiarę prezydenta Dudy w to, że między Polską i Ukrainą faktycznie nie będzie granicy?

Możliwość pierwsza i najprostsza jest taka, że polski prezydent posłużył się jedynie niejasną metaforą. Brak granic oznaczałby dobre wzajemne relacje. To, że nie będzie granicy, oznaczałoby, że ona pozostanie jedynie na mapie, ale nie w głowach. Byłaby to jednak osobliwa metafora. Szczególnie kiedy posługuje się nią głowa państwa i odwołuje do niej w dniu święta narodowego 3 Maja. Zresztą przeciwko takiemu metaforycznemu rozumieniu przemawia użycie określenia „faktycznie". Jeśli jednak nie metafora, to co?

Możliwość druga to nawiązanie do popularnych ostatnio, dziwacznych projektów powstania jakiegoś nowego państwa polsko-ukraińskiego. Nie podejrzewam jednak prezydenta o sprzyjanie tego rodzaju mrzonkom. Po pierwsze, nie da się ich zrealizować. Jak niby Polska miałaby stworzyć konfederację z Ukrainą, pozostając w NATO i UE, w których Ukrainy nie ma? Nie wierzę zresztą, żeby o tego rodzaju rozwiązaniu polsko-ukraińskiej konfederacji myślały poważnie ukraińskie elity. Po to walczą o niepodległość z Rosją, żeby ją mieć dla siebie. W pomysłach tych dostrzegam raczej polską tęsknotę za I Rzecząpospolitą i rzutowanie swoich marzeń na Ukraińców.

Trzecia wreszcie możliwość to uznanie, że w ten sposób prezydent chciał pokazać swoje poparcie dla idei dołączenia Ukrainy do Unii Europejskiej. W tym sensie wiara w faktyczny brak granicy byłaby wiarą w członkostwo Ukrainy w Unii, co zdecydowanie popiera polski rząd. Znowu do tej pory rozumiałem, że polskie poparcie dla członkostwa Ukrainy w Unii ma charakter symboliczny, jest formą wsparcia moralnego, duchowego dla Kijowa zmagającego się z agresją Rosji. Jednak praktyczna realizacja tego projektu w obecnej sytuacji, kiedy to toczy się wojna, a znacząca część terytorium Ukrainy jest pod rosyjską okupacją, jest nierealna. Dramatyczne koszty takiego przedsięwzięcia, związane z nim ryzyko sprawiają, że z pewnością nie poprze go Bruksela. Najpierw musiałaby się zakończyć na trwałe wojna.

I to w taki sposób, jak zaprezentował ostatnio szef wywiadu Ukrainy Kyryło Budanow. Ogłosił on, że Ukraina wygra wojnę, i zarysował dwa możliwe scenariusze jej zakończenia. „Pierwszy to podział Rosji na co najmniej trzy części. A drugi – względne zachowanie integralności terytorialnej Federacji Rosyjskiej przy zmianie przywództwa kraju. W tym drugim przypadku nowy przywódca musi powiedzieć, że z agresją Rosji nie miał nic wspólnego" – powiedział Budanow. Oczywiście w przypadku jednego z tych scenariuszy wizja włączenia Ukrainy do Unii lub – używając języka prezydenta Dudy – wizja „faktycznego zniesienia granicy" staje się czymś więcej niż fantasmagorią. Tylko mając pewność, że pokój z Moskwą jest trwały, Bruksela mogłaby zdecydować się na włączenie Ukrainy do Unii (pomijam już kwestię, czy to leżałoby w gospodarczym interesie Polski).

Ale czy taki scenariusz zakończenia wojny sam w sobie nie jest właśnie fantasmagorią? Żeby odebrać Rosji wszystko, co zajęła od 2014 r., należałoby ją rozbić. Rosja musiałaby zostać zdruzgotana teraz tak jak Trzecia Rzesza w 1945 r. Tylko wtedy można byłoby podzielić Rosję na kilka części, odepchnąć Bóg wie, jak daleko na wschód lub dokonać gwałtownej zmiany kierownictwa i uzyskać od nowego całkowite wyrzeczenie się wszelkich ziem zagarniętych od 2014 r. Czy Budanow naprawdę w to wierzy czy też udaje, że wierzy – nie wiem. Nie umiem sobie jednak wyobrazić takiego rozwoju sytuacji bez włączenia do wojny NATO i przede wszystkim USA i bez trzeciej wojny światowej.

O co zatem chodzi ze zniesieniem granic, dalibóg nie pojmuję. Tym bardziej że w wywiadzie opublikowanym w tym samym czasie co wystąpienie 3 maja prezydent Duda stwierdził słusznie, że „jeśli chcemy osiągnąć jakikolwiek sukces w relacjach z Rosją, w sytuacji, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, to możemy go osiągnąć tylko, jeśli zastosujemy brutalną siłę, bo tylko brutalna siła jest w stanie powstrzymać Rosję". Czy oznacza to, że prezydent wierzy w tę wizję zwycięstwa, jaką zarysował szef ukraińskiego wywiadu – Ukraińcy sami rozbijają Rosję – i na tym opiera wiarę w „faktyczne zniesienie granicy z Ukrainą"? Mam nadzieję, że mimo wszystko słowa z wystąpienia 3 maja były raczej retoryczną metaforą, a nie polityczną wizją. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

TEMAT TYGODNIA

14 JAKUB WOZINSKI
WOJENNY RACHUNEK DLA POLSKI
Ile zapłacimy za agresję Putina

20 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM
RZĄD NIE MA POMYSŁU NA INFLACJĘ

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
ELEKCJA JESIENIĄ, CZYLI WYBORCZY WĄŻ MORSKI
Czy będą przyspieszone wybory?

24 ROZMOWA Z MARKIEM BRZEZINSKIM
JESTEŚMY GOTOWI NA KAŻDY RUCH PUTINA

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„POLEGLI W SMOLEŃSKU"? TO NIE CHWYCI

30 ŁUKASZ WARZECHA
CO DALEJ Z PRAWEM DO POSIADANIA BRONI

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
KONIEC BEZKARNOŚCI?

34 TOMASZ ROWIŃSKI
PĘKNIĘTA LEDNICA

36 JAN POSPIESZALSKI
DOKTOR ZBIGNIEW HAŁAT – POŻEGNANIE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LANS NA SPORTOWO

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
WINO I WINA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
SNY O IMPERIUM
Rosyjska fantastyka militarna

44 WIESŁAW CHEŁMINIAK
TARAS Z WIDOKIEM NA AKROPOL

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 WOJCIECH GOLONKA
LUDOBÓJSTWO A POLITYKA
Świat po zbrodni w Buczy

56 JAN FIEDORCZUK
JASTRZĘBIE NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

58 MAREK GAŁĘZOWSKI
JÓZEFA MACKIEWICZA PRAWO DO WĄTPLIWOŚCI

HISTORIA

62 MACIEJ ROSALAK
UKŁAD W RAPALLO
Złowrogie porozumienie Niemiec z Rosją

66 ROZMOWA Z TOMASZEM ZYŚKĄ
OBIEKTYW KLIO

ŚWIAT

68 OLIVIER BAULT
„NAJGŁUPSZA PRAWICA ŚWIATA"
Kto będzie rządził we Francji?

71 MACIEJ PIECZYŃSKI
„DESATANIZACJA" UKRAINY

74 PIOTR WŁOCZYK
USA W OGNIU STRAJKU KOBIET

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
GASZENIE HIPOTECZNEGO PIEKŁA
Jak rząd chce ratować złotówkowiczów

82 JAN BOGATKO
KREML, GAZ I CAR-PUSZKA

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (13), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (76), GABRYEL, WARZECHA (81), KOMUDA (86), POSPIESZALSKI, KARWELIS (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), ROSZKOWSKI (89), CEJROWSKI (90)

eprasa.pl 63687049a4

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Sąd pruski

W drugiej połowie XIX w. państwo pruskie miało wybitnego męża stanu i stratega. Był nim Otto von Bismarck. Militarne zdobycze na obcych narodach szły jedne za drugimi: Szlezwik-Holsztyn, Hanower, Nassau, Hesja, Alzacja i Lotaryngia. Do tego istotną rzeczą było stosowanie mocnej dyktatury przejawiającej się szczególnie w walce z polskimi aspiracjami jako kulturkampf. Stąd widać wyraźnie, że Bismarck był w drugiej połowie XIX w. pruskim Putinem.

Zalecenie Bismarcka: „Do Polaków strzelajcie jak do wilków" do tej pory w Berlinie nie zgasło. Kierujące się zdrowym rozsądkiem społeczeństwo polskie widzi wyraźnie, że pruscy politycy unijni w Berlinie pchają na nasz kraj swój dzisiejszy kulturkampf, czyli barbarzyńską ideologię Zachodu, do szkół i w obyczaje narodu. Szantażują nas wstrzymaniem dla nas funduszy UE, na które Polska przecież się składa.

Sąd pruski w Berlinie wydał zaś bez jakiegokolwiek uzasadnienia decyzję o zamknięciu kopalni w Turowie stanowiącej o życiu tego miasta. Z kolei nałożył na to miasto milionowe kary płatne z dnia na dzień, strzelając w ten sposób do Polaków jak do wilków.

[...]

Pruski sąd sprawiedliwości w Berlinie jest najwyższym sądem, tym samym i najdoskonalszym na ziemi i na niebie. Między Polską i Czechami doszło do porozumienia: Polska zapłaciła Czechom grube miliny euro. Tymczasem pruski sąd żąda od Polski zapłacenia mu 30 mln euro. Za co? Za nic. Nie pomagają polskie jęki: pieniędzy takich nie mamy, mamy na utrzymaniu kobiety ukraińskie i ich dzieci. [...] sędzia [...] żąda, bo taki ma być, stosownie do zalecenia Bismarcka, mocny strzał do Polaków wilków.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zborlalski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 63687049a4

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pan generał posmakował wojny

PIOTR SEMKA

W ostatnich dniach kwietnia na froncie w Donbasie przebywał szef rosyjskiego sztabu generalnego, gen. Walerij Gierasimow. Według źródeł ukraińskich gość z Moskwy przybył do dawnej szkoły numer 12, obecnie służącej jako kwatera dowódców rosyjskich w mieście Izium. Ukraińcy zorientowali się, że doszło do wizyty ważnego dowódcy, i skierowali na szkołę kilkadziesiąt rakiet. Kijów ogłosił, że zginęło do 200 żołnierzy i 20 wyższych dowódców, w tym generał dywizji Andriej Simonow, który był odpowiedzialny za wojnę elektroniczną w Zachodnim Okręgu Wojskowym. Czy w ataku ranny został także Gierasimow? Według jednych źródeł tak, inne twierdzą, że zdołał na czas opuścić szkołę, choć w ostatniej chwili miał dostać odłamkiem w pośladek.

Czytając informacje o niedolach gen. Gierasimowa, uzmysłowiłem sobie, że to właśnie on był autorem idei wojny hybrydowej. To dzięki niej Rosja w 2014 r. zajęła Krym bez oporu Ukrainy i przy bezczynności Zachodu.

Dlaczego koncept wojny hybrydowej był tak groźny dla świata Zachodu? Najlepiej wyjaśnił to filozof Dariusz Karłowicz. „Trudno nie zgodzić się, że w historii, odkąd zaczęły się wojny, granica między stanem wojny czy pokoju była zamazywana, ale dopiero doktryna Gierasimowa stanowiła odwrócenie słynnej frazy Clausewitza, że »wojna jest stanem dyplomacji lub polityki, jej skrajną formą«. U Gierasimowa jest odwrotnie: wszystko jest wojną. Tylko ta wojna ma różne stany skupienia. Jest wojna łagodna, jest wojna radykalna, a granice między tymi stanami są nieostre. Doktryna Gierasimowa była czymś nowym, gdyż do perfekcji doprowadziła zamazywanie granicy między stanem pokoju oraz stanem wojny" – wskazywał Karłowicz.

Tak było w przypadku Estonii, kiedy to kilka lat temu sparaliżowano państwo poprzez atak cybernetyczny z Rosji. Zachód nie wiedział wówczas, jak reagować. Nie wiedział, czy tego typu atak jest już wojną czy nie jest. Karłowicz wspominał także: „Obserwowałem bardzo uważnie ważniejsze media zachodnie w czasie konfliktu ukraińskiego – wszyscy dziennikarze byli bezradni wobec tego banalnego zabiegu, jakim było wysłanie wojska bez dystynkcji. W pierwszych zdaniach wszędzie najpierw pisano »wojsko nie wiadomo jakie«, a dopiero w kolejnych »być może rosyjskie« lub »podejrzewane jako rosyjskie«. Ten konflikt został przez nas przegrany, ponieważ nie zdawaliśmy sobie sprawy, że przeciwko nam zatrudniono Arystotelesa i Parmenidesa".

Na tle tych mądrych obserwacji rejterada Gierasimowa ze sztabu w mieście Izium nabiera symbolicznego znaczenia. W 2014 r. Rosja sparaliżowała Ukrainę i Zachód zarówno groźbą wojny, jak i niejasnością działań. W 2022 r. wystarczyło odważne wystąpienie Ukrainy w obronie swej suwerenności, by cała ta taktyka Gierasimowa przestała działać. Wystarczyło okazać męstwo, odwagę i wyciągnąć wnioski z zajmowania Krymu. Już do zielonych ludzików można było otworzyć ogień, zamiast głowić się, kim są najeźdźcy i skąd przybyli.

Najgroźniejszym wrogiem każdej osoby narażonej na agresję jest sam lęk przed napastnikiem. Gdy podejmie się walkę – nawet ryzykowną – bańka z szantażem i ze strachem pęka. ©℗

FOT. IRINA R. HIPOLITO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

„KRÓLEWSCY" W FINALE LIGI MISTRZÓW

Real Madryt w ubiegłym tygodniu pokonał po dogrywce Manchester City 3:1 i awansował do finału najbardziej prestiżowych klubowych rozgrywek świata. 28 maja zawodnicy „Królewskich" zmierzą się w finale Ligi Mistrzów z piłkarzami Liverpoolu. Będzie to zatem powtórka z 2018 r., gdy na murawie triumfowali Hiszpanie. Finał miał się odbyć w Petersburgu, ale u zbrodniarzy nikt grać nie chce, więc najlepsze piłkarskie drużyny zmierzą się w Paryżu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 63687049a4

POMAGAMY DOMOM DZIECKA!

Część zysku ze sprzedaży tych koszulek przekażemy dla Zespołu Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych (inaczej Dom Dziecka) „Wiosna", w którym obecnie przebywa ponad 50 polskich dzieci, oraz w wyniku ataku Rosji na Ukrainę trafiła grupa 19 dzieci z Ukrainy. Najmłodszy chłopczyk ma 1 miesiąc, a najstarsza dziewczynka 4,5 roku.

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEP STACJONARNY
Warszawa, ul. Jagiellońska 88/24

RED IS BAD™

eprasa.pl 63687049a4

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dotacja na wszystko

Szkoda, że media, skupione bez reszty na głównych protagonistach polskiej sceny politycznej, tak mało uwagi poświęcają lewicy. A jeśli już, to skupiają się na wypowiedziach Włodzimierza Czarzastego, w najlepszym wypadku od niepamiętnych lat „dobrze się zapowiadającego" Adriana Zandberga. Tymczasem lewicowa młodzież wpada na coraz to nowsze pomysły urządzenia nam „nowego wspaniałego świata". I, niestety, wiedzą o tym praktycznie tylko użytkownicy mediów społecznościowych.

A przecież inicjatywa, by zabronić sklepom promocji piwa – bo przez takie promocje ludzie kupują więcej piwa – to omalże wyborczy samograj. Dla prawicy, oczywiście. Myślę, że dopóki nie ma sejmowej większości dla takiego zakazu, dopóty lewica mogłaby zawalczyć o pierwszeństwo w zwalczaniu tego, bardzo skądinąd niezdrowego (fatalny indeks glikemiczny!) napoju i sama go przestać używać. A co najmniej przestać go serwować na swoich wyborczych wiecach i innych „wentach". Kiełbaski też tylko sojowe. Na pewno wpłynie to na frekwencję.

Jeszcze bardziej obiecujący wydaje mi się pomysł młodzieżówki partii Razem, która wystąpiła z postulatem wynagradzania przez państwo „pracy reprodukcyjnej". Tym razem nie chodzi o prawa „pracowniczek i pracowników seksualnych", do których lewica od dawna już czuje zrozumiałą skądinąd miętę, ale o objęcie państwowym sponsoringiem seksu w rodzinach… Tfu-tfu, w „związkach" wychowujących dzieci. Zawsze wydawało mi się, że lewica przeciwna jest łączeniu seksu z prokreacją, ale – jak widać – wszystko się zmienia. Najbardziej fascynujące w tym pomyśle wydają mi się szczegóły, których niestety na razie nie podano. Kto i wedle jakich procedur będzie odbierał wykonaną pracę reprodukcyjną? Czy państwo dotować powinno każdy rodzaj seksu czy – co byłoby logiczne – tylko te sprzyjające zapłodnieniu? (No, ale… strach powiedzieć co). Płacić od stosunku czy od zapłodnienia (ale znowu – to dziecko nieurodzone uznać za człowieka?), a może od aktów rozrodu?

Czekam niecierpliwie na pełny, kompletny projekt i obiecuję nagłośnić go medialnie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Doktryna Kowala

Solidarność należy odróżniać od egzaltacji. Staje się to jednak coraz trudniejsze, gdy egzaltacja kształtuje wojenny consensus władzy i opozycji. Dobrze wyraził go Paweł Kowal w wywiadzie dla „Plus Minus", magazynu „Rzeczpospolitej". Zapytany przez Elizę Olczyk, „czy powinniśmy się tak silnie angażować […] czy, mówiąc kolokwialnie, nie wciskamy się między wódkę a zakąskę", odpowiada, że „gdy wojna zamieniła się w program ludobójstwa, istnieje zobowiązanie moralne dla każdego, żeby stanął temu na przeszkodzie". Omijając pytanie o „siłę zaangażowania", Kowal sugeruje, że „obowiązek stanięcia na przeszkodzie" ma charakter właściwie nieograniczony. Skala naszego zaangażowania i proporcje idącego za nim ryzyka nie muszą więc wynikać z ryzyka podejmowanego przez Stany Zjednoczone, ze stopnia zaangażowania Francji czy Niemiec. Od wyznaczonego przez Kowala „momentu" te kryteria przestają w ogóle działać.

Klasyczna doktryna dobra wspólnego zakładała, że nie tylko przywódcy państw, lecz także nawet dowódcy wojskowi w czasie wojny mają obowiązek chronić powierzone im społeczności. Również w wypadku nieuchronnych ofiar każdy przywódca i dowódca powinien dbać, by koniecznych kosztów wspólnych wysiłków nie ponosili w skali nieproporcjonalnej powierzeni im ludzie. Dlatego Piłsudski uważał, że – jeżeli nie zgasi się zagrożenia w zarodku – do przyszłej wojny Polska powinna wchodzić możliwie najpóźniej.

W myśl doktryny Kowala Irlandia, Portugalia i Szwecja powinny się wstydzić i przepraszać za to, że do ostatniej wojny światowej nie weszły w ogóle. Z założeń tej doktryny nie wynika jasno, czy ów wymóg publicznych przeprosin należy egzekwować jedynie pod sankcją hańby (więc obowiązku nieustannie ponawianej skruchy) czy również np. wykluczenia z Unii Europejskiej. Cóż, autor swą doktrynę powinien przemyśleć do końca, a byłoby jeszcze lepiej, jakby się nad nią zastanowił na początku. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dzień Wyzwolenia i Hańby

Włosi 25 kwietnia hucznie obchodzili Dzień Wyzwolenia, święto zwycięstwa nad faszyzmem i okupacją niemiecką. W tym roku w geście solidarności do udziału w uroczystościach zaproszeni zostali Ukraińcy. Prezydent Sergio Mattarella porównał ich bohaterską obronę przed rosyjskim najeźdźcą z walką włoskich partyzantów w czasie drugiej wojny. Jednak, co nietrudno było przewidzieć, nie wszyscy byli tego zdania. Tego dnia co roku ze swoich jaskiń wychodzą również świętować stalinowcy, w tym część członków Narodowego Stowarzyszenia Partyzantów Włoskich, anarchiści i szajbolewica, powiewając czerwonymi flagami z sierpem i młotem.

Jak się okazało, to naprawdę bardzo liczne panopticum jest tak antyamerykańskie, że wspiera tezy kremlowskiej propagandy. W Mediolanie i Rzymie maszerowano z transparentami: „Stop zbrojeniu Ukraińców. To faszyści". Deptano i palono flagi NATO, wrzeszcząc: „NATO – podżegacze wojenni", „Odsunąć premiera Draghiego, sługusa NATO" i tradycyjnie: „Precz z amerykańskim imperializmem". Na jednej z plansz pojawiła się kostucha spowita w amerykańską flagę. Słowem – jak w Moskwie 1 maja za komunizmu.

Co więcej, w Mediolanie zideologizowani idioci zaatakowali ośmioletnią dziewczynkę, która niosła chorągiewki włoską i amerykańską. Dostało się też Ukraińcom. Pod adresem kobiet z niebiesko-żółtymi flagami wrzeszczeli: „Faszystowskie prostytutki", a Ukraińców wyzywali od bandytów i morderców. Pojawiły się też hasła: „Draghi na Syberię, a Letta do pieca" (Enrico Letta to szef proukraińskiej lewicowej Partii Demokratycznej – przyp. P.K.).

Tradycyjnie zaatakowano i lżono niosących flagi Brygady Żydowskiej, która w kampanii włoskiej walczyła pod dowództwem Brytyjczyków. W ten sposób od pół wieku z okładem 25 kwietnia jaskiniowi komuniści et consortes wyrażają dezaprobatę dla polityki Izraela. W tym roku obchody 25 kwietnia wzbogaciły się o nowy antysemicki element: karykatury prezydenta Zełenskiego z zakrzywionym nosem. Hańba i zgroza. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 63687049a4

GIPL MA CHRONIĆ PRZED GAZOWYM SZANTAŻEM

Prezydent Andrzej Duda w towarzystwie m.in. prezydentów Litwy oraz Łotwy i unijnej komisarz ds. energii Kadri Simson oficjalnie otworzył w czwartek interkonektor gazowy między Polską a Litwą. Komercyjny przesył gazu ruszył kilka dni wcześniej, bo już 1 maja.

– To połączenie między Polską a Litwą, ale w rzeczywistości połączenie europejskiego systemu energetycznego z państwami bałtyckimi. Jesteśmy dziś świadkami uroczystego otwarcia, ale gaz już płynie od kilku dni. Tym razem Polak nie jest mądry po szkodzie, a razem z naszymi litewskimi sąsiadami i Komisją Europejską okazaliśmy się mądrzy przed szkodą – powiedział prezydent Andrzej Duda, zauważając, że zaledwie kilka dni wcześniej Rosja zablokowała dostawy gazu do Polski, kolejny raz używając surowców energetycznych do politycznego szantażu.

– Dzisiaj wzmacniamy nasze bezpieczeństwo energetyczne, odporność na presję polityczną, a także na szantaż energetyczny ze Wschodu; mówimy zdecydowane „nie" gazowi z Rosji, „nie" ropie z Rosji, „nie" pieniądzom dla agresora – zauważył prezydent Litwy Gitanas Nausėda, dodając, że rosyjska agresja na Ukrainę otworzyła oczy wielu Europejczykom.

Gazociąg GIPL ma długość 508 km, z czego po polskiej stronie jest nieco ponad 340 km, a po litewskiej ok. 165 km. Do 30 września techniczna przepustowość gazociągu w kierunku Litwy szacowana jest na 2 mld m sześc. rocznie, a w kierunku Polski – ok. 1,9 mld m sześc. gazu rocznie. Nowy interkonektor może umożliwić w przyszłości dywersyfikację źródeł energii nie tylko Polsce i Litwie, lecz także innym krajom Unii Europejskiej. ***(jap)*** © ℗

FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 6309704994

eprasa.pl 6368704

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, odetchnęliśmy trochę, myśleliśmy, iż wrócimy do was zaangażowani, dynamiczni, uśmiechnięci jak zawsze. Niestety, w międzyczasie dowiedzieliśmy się, iż na tegorocznej maturze z języka polskiego pojawił się temat „Czym dla człowieka może być tradycja?" w odniesieniu m.in. do „Pana Tadeusza", a więc sztandarowego dzieła polskiego patriarchatu autorstwa Sienkiewicza, Słowackiego albo Mickiewicza. Zawsze nam się mylą, za to Prus kojarzy nam się fajnie.

Po pierwsze: Dlaczego my zawsze, ale to, kurde, zawsze, musimy patrzeć wstecz? I to jeszcze na to, co dzieli, a nie co łączy. Dlaczego temat nie mógłby dotyczyć postępu, rozwoju itd., tylko znów musimy tę biedną osobomłodzież katować tradycją?

Po drugie: Dlaczego znowu musimy sięgać po „Pana Tadeusza"? Czy nie ma już naprawdę innych lektur napisanych przez wielkie waginopozytywne osoby pisarskie? A jeśli już tak kiedyś ktoś zdecydował, iż ma być „Pan Tadeusz", to nie możemy pokusić się o dekonstrukcję tego tytułu? Nie ma tam jakiejś postaci waginopozytywnej: silnej, samoświadomej, postępowej, równościowej, ale według nurtów feministycznych? Może by się znalazła.

A po trzecie: Pytanie zawiera tezę, że tradycja może być czymś dla człowieka – rozumiemy, iż chodzi tu o osoby ludzkie. A co z osobami zwierzęcymi, niebędącymi ludźmi? Nie powinniśmy się otworzyć szerzej na nowe nurty dotyczące dekonstruowania antropocentryzmu we wspólnej kulturze?

Powiemy wam, iż bardzo chętnie podeszlibyśmy do takiej postępowej matury, jeśli czyta nas ktoś z CKE, to zapraszamy do kontaktu, wszystko dokładnie wyjaśnimy.

W zasadzie po majówce to też nie odetchnęliśmy. Of kors jesteśmy załamani tzw. paragonami grozy, które oglądaliśmy w mediach. Wygląda na to, że osoby goszczące nad morzem, w górach czy nad jeziorami były przemocą zmuszane do odwiedzania określonych lokali, zamawiania potraw oraz płacenia za nie.

Walutą były nie tylko pieniądze, lecz także mieszkania, samochody, a nawet podobno osobodzieci. Gdzieś słyszeliśmy, iż za takiego trzylatka można dostać porcję frytek bez keczupu i panierkę z osoboflądry.

Przynajmniej tak zrozumieliśmy te wszystkie przekazy: osoby nie wiedzą, ile co kosztuje, zamawiają, a potem muszą płacić. I jest to skandal. Gdyby tylko ktoś pokazał im wcześniej ceny, to na pewno by się na to nie zdecydowały.

A tak w ogóle to znów mamy taką przykrą refleksję, że w miejscowościach turystycznych jest zbyt wielu Polaków. Niby to „500+" traci na wartości, a oni dalej jeżdżą. Czy jeszcze kiedyś będzie normalnie?

Zaczynamy powoli planować wakacje i trochę się martwimy, jak możemy zrzucić z siebie polskość – czy to w kraju, unikając największych turystycznych miejsc, czy to za granicą – mówiąc tylko po angielsku i udając, iż jesteśmy z Czech, ewentualnie ze Słowacji.

Na pewno znacie te przykre momenty, kiedy idziecie sobie jakimś eleganckim bulwarem na Zachodzie i zapominacie się, i wymyka się wam jakieś polskie słowo. I nagle ludzie wokół pochmurnieją, odwracają się od was i zaczynają padać trudne pytania o praworządność.

No właśnie, my też je znamy i chcielibyśmy ich w tym roku wyjątkowo uniknąć. Obawiamy się jednak, iż jedyne, co zostaje, to kemping głęboko w lesie, ale my się boimy lasu. No jak żyć? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Walczymy z Putinem...

Mati, jak robimy z tą sesją pytań i odpowiedzi? Jak zwykle dajemy te, które ja przygotowałem, czy tym razem jakieś prawdziwe?
Może dla odmiany raz spróbujemy chociaż wymieszać z prawdziwymi? Dawaj, zróbmy próbę. Co tam masz?

„Panie premierze, mam 1,8 tys. zł emerytury, po wprowadzeniu embarga na węgiel tona kosztuje już 2,5 tys. zł. Na zimę potrzebuję trzech ton. Co mam zrobić?".
Szanowna pani, walczymy z Putinem, to wymaga od nas wszystkich dużych wyrzeczeń. Dawaj następne.

„Mam niedużą firmę transportową, zatrudniam 20 osób. Jeśli ropa zdrożeje z powodu embarga, to będę musiał zamknąć biznes i zwolnić ludzi".
Walczymy z Putinem, wszystkim nam jest trudno. Następne.

„Kto odpowiada za zakup 70 mln zbędnych szczepionek na COVID?".
Walczymy z... A nie, czekaj, tego to nie dawaj. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS-owi udało się zamienić państwo w parodię".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 63687049a4

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Miało być tak pięknie. Długie weekendy, w tym majówki, to tradycyjny czas długich narad u szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Niestety, w tym roku zachorzał, więc wszystkie spotkania i audiencje odwołano. Uspokajamy rozemocjonowanych przedstawicieli Eine Totalopposition – ani COVID, ani nic poważnego. Wiosenne przeziębienie.

Tymczasem portal Złonet zdymisjonował ministra Raua i mianował kilku ambasadorów. Uspokajamy. 95 proc. informacji Złonetu to bzdury. A pozostałe? Prawdą jest, że Rau ma ambitnych wiceministrów. I to, co przepisano z naszej rubryki – że Dariusz Pawłoś był wymieniany jako kandydat na ambasadora w Berlinie.

Skoro o ambasadzie w Berlinie. Wydano tam przyjęcie z okazji święta Konstytucji 3 maja. Motywem przewodnim mów i rozmów była sytuacja na Ukrainie. Nagle pojawili się ruscy. A dokładnie pojawiły się ruskie pierogi. Sytuację uratowała pewna Ukrainka, która zwróciła uwagę, że nazwa pierogów wywodzi się od Rusi, a nie od Rosji. Dla nas to zawsze było oczywistością, ale niektórzy byli zaskoczeni.

Gościliśmy też w pałacu Andrzeja Sebastiana na święcie konstytucji. Tam zgrzytów nie było. Ruskie podano jako „pierogi z ziemniakami". Przy okazji info: to nieprawda, jakoby prezydencki minister od dyplomacji, czyli Jakub Kumoch, popadł w niełaskę, bo nie został wzięty na wizytę do Watykanu. Owszem, nie było go u Franciszka, ale tylko dlatego, że z tajną misją udał się do Turcji, by spotkać się z pewnym ważnym pohańcem. Przypomnijmy, że tak nazywano u Sienkiewicza Tatarów. Tyle możemy powiedzieć.

Apropos pałacu Andrzeja Sebastiana – pamiętacie, jak zastanawialiśmy się, co za czort wpadł na pomysł, żeby głowa państwa przyznała Brązowy Krzyż Zasługi niejakiemu Sykulskiemu? Przypominamy: Sykulski to taki rusofilski troll internetowy przedstawiający się jako geopolityk. Ustaliliśmy, że o odznaczenie Sykulskiego wystąpiła była wojewoda świętokrzyska. I w tej sytuacji wcale nas nie dziwi, że jest już była.

Z okazji majówki uaktywnił się Bronisław I Wąsaty, kiedyś prezydent Polski, i zaczął snuć opowieści o wspólnej partii Szymka Hołowni i Peezel. W związku z tym żarcik. Ale najpierw przypomnienie: Peezel był już koalicjantem Peło, komuszków oraz Kukiza. Co nam powie sojusz z Szymkiem? I tu wracamy do żarciku: wchodzi facet do baru i mówi: „Chcę alkohol!". Barman pyta: „Jaki?". „Nieważne, byle sponiewierało!". Aczkolwiek zauważmy, że to raczej zieloni bracia zwykle poniewierają swoich partnerów.

Uwaga, będziemy poniewierać i my! Jako zameldowani w Warszawie wspieramy wezwania Rafcia Trzaskowskiego, żeby zagranica przekazywała pieniądze uchodźcom bezpośrednio, z pominięciem złego rządu. Chcemy nawet proceder rozszerzyć. Na przykład w Warszawie proponujemy wpłacać podatki nie do budżetu stolicy, ale od razu na konta wojska, policji, straży pożarnej i służby zdrowia. Żeby Trzaskowski i jego koledzy nie rozkradli. Panie Rafciu, proszę się nie oburzać, my tylko stosujemy pańską logikę.

Teraz o ofiarach poniewieranych w europarlamencie. Podczas majówkowej debaty o Polsce głos zabrała Róża von Thun von Coštam-Coštam. Dla dodania wagi swym słowom o okrucieństwach reżimu PiS, który nie przepuszcza przez granicę z Białorusią lisów, jeży i nielegalnych imigrantów, Róża wniosła na mównicę antypisowski plakat. Niestety, szybko wezwano straż i odebrano jej rzeczony przedmiot. Kaczyzm, jak widzicie, szaleje w Strasburgu.

Wracamy do tego, że najlepiej poniewiera jednak alkohol. Otóż nie uwierzylibyście, gdzie wódeczką zwykł raczyć się belgijski pisożerca europoseł Didier Reynders! Mamy dobrą pamięć do twarzy i przyuważyliśmy go jakiś czas temu w Warszawie nad flaszkami polskiej produkcji w restauracji na Krakowskim Przedmieściu. Przypomniało się nam to, gdyż to Reynders w majówkę najbardziej gardłował w PE przeciw Polsce. Chyba jesteśmy na tropie hasła, które może zjednoczyć opozycję polską i europejską: „Polska wódka – tak, polski rząd – nie!".

Apropos jednoczenia – zauważyliście, że Władimir Zbrodnirowicz Putin rozstrzygnął definitywnie odwieczny spór Polaków? Jego sednem był wybór: czy mniejsze zło to opcja proniemiecka czy prorosyjska. Teraz okazuje się, że kto za Niemcami, ten automatycznie za Rosją, a kto za Rosją, ten za Niemcami. Problem przestał istnieć i do wyboru pozostała jedynie opcja polska. Co wprawiło w szok i rozedrganie przedstawicieli opozycji.

Wracamy do tematu „zagraniczniacy w Warszawie". Po stolicy grasuje niejaki Yacov Livine, przedstawiający się jako ambasador Izraela. Facet niezmiernie sympatyczny, którego wszyscy z polska nazywają Kubą. Ale uwaga! Wciąż nie udało mu się złożyć listów uwierzytelniających. I wcale nas to nie dziwi. Po tym, jak szef ichniejszego MSZ Ja'ir Lapid potraktował Marka Magierowskiego, de facto uznając najbardziej przyjaznego Izraelowi ambasadora za persona non grata, nie będziemy zdziwieni, jak Kuba jeszcze trochę poczeka, aż zostanie prawdziwym ambasadorem. Podobnie jak Izrael poczeka na nowego polskiego wysłannika tej rangi. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

Jakub Wozinski

Wojenny rachunek dla Polski

Rosyjska agresja na Ukrainę generuje dla nas liczne koszty, których udźwignięcie może być znacznym wyzwaniem. Mimo że mamy szansę stać się dla Ukrainy handlowym oknem na świat, kryzys energetyczny i związana z nim wysoka inflacja mogą nam przysporzyć ogromnych problemów

Najbardziej popularną, choć pod wieloma względami zawodną, miarą kondycji danej gospodarki jest wskaźnik wzrostu PKB. Gdyby właśnie na niej oprzeć ocenę wpływu wojny na Ukrainie na nasz kraj, wypadałoby stwierdzić, że jest on stosunkowo niewielki. Według danych rządu z początku roku mieliśmy się rozwijać w tym roku w tempie 3,8 proc., lecz obecnie wartość ta została skorygowana do 3,2 proc. (te same prognozy autorstwa Banku Światowego zrewidowano z poziomu 4,7 proc. do 3,9 proc.). Większość krajowych i międzynarodowych instytucji wycenia straty na wzrost niższy o ok. 0,6–1,0 proc.

Naszej sytuacji nie ma oczywiście sensu zestawiać z ogromnymi stratami Ukrainy (spadek PKB o ok. 45 proc.) czy Rosji (8–12 proc.), lecz zasadne jest przyjrzenie się temu, jak prezentujemy się na tle innych państw regionu, które również ponoszą koszt zaburzeń w handlu i napływu uchodźców.

Na Litwie pierwotne prognozy wzrostu w wysokości 3,7 proc. PKB zrewidowano do poziomu 2,5 proc., na Łotwie z 4,2 proc. do poziomu 2,1 proc., a w Czechach z poziomu 4 proc. do poziomu 2,8 proc. Widać tym

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 636870

samym wyraźnie, że w porównaniu z innymi państwami Polska na razie nie realizuje najczarniejszego ze scenariuszy, choć opieranie takiego sądu na zaledwie jednym wskaźniku może być zwodnicze.

UNIA NIE POMAGA

Wskaźnikiem, który przybliża nam szerszy ogląd sytuacji, są choćby koszty utrzymania uchodźców, których do Polski przybyło oficjalnie już 3 mln. Nasz kraj przyjął na siebie koszt utrzymania blisko 60 proc. wszystkich uciekających przed wojną Ukraińców, choć nie odwzorowuje to naszego potencjału finansowego i gospodarczego. Całkowity koszt utrzymania 5,2 mln uchodźców szacowany jest na 40 mld euro. Rząd przedstawił Brukseli na początku kwietnia zdecydowanie zaniżone wyliczenia, wedle których utrzymanie wschodnich sąsiadów będzie kosztowało 11 mld euro, choć kwota ta może być nawet trzykrotnie wyższa. Setki tysięcy Polaków zapewniających Ukraińcom utrzymanie lub rezygnujących z zapłaty za pomoc zaniża tym samym koszty ponoszone przez budżet państwa, lecz przy przedłużającym się coraz bardziej konflikcie zbiorowy wysiłek finansowy zacznie być w końcu coraz bardziej odczuwalny dla wszystkich obywateli.

11 mld euro

TYLE ZDANIEM POLSKIEGO RZĄDU KOSZTOWAĆ BĘDZIE UTRZYMANIE UCHODŹCÓW Z UKRAINY

Unia Europejska robi na razie wszystko, aby potwierdzić swój wizerunek zideologizowanej machiny biurokratycznej niezdolnej stawiać czoła prawdziwym wyzwaniom i odmawia uruchamiania adekwatnych środków finansowych. Po dwóch miesiącach od rozpoczęcia wojny stać ją było wyłącznie na przeznaczenie 1,4 mld euro z funduszu REACT-EU, który pierwotnie powstał do zwalczania bezpośrednich skutków pandemii. To oczywiście o wiele za mało, gdyż polski rząd wydał na pomoc dla uchodźców do końca kwietnia przynajmniej 8 mld zł. Uciekający przed rosyjską agresją Ukraińcy mają w Polsce zagwarantowany m.in. dostęp do opieki zdrowotnej, programu „500+", bezpłatny transport publiczny, kilkadziesiąt tysięcy uczniów z Ukrainy korzysta w pełni z polskiego systemu edukacji, a przyjmujący uchodźców pod własny dach otrzymują wciąż zapomogi w wysokości 40 zł za osobodobę. Choć część tych świadczeń nie będzie już wkrótce kontynuowana, to znaczna część kosztów (głównie w obszarze edukacji i służby zdrowia) pozostanie z nami na dłużej. Dla polskiego państwa oznacza to dodatkowy koszt fiskalny w wysokości ok. 3 proc. PKB.

KOBIETY I DZIECI ZAMIAST BUDOWLAŃCÓW

Najczęściej wskazuje się, że ponoszenie tego rodzaju kosztów to stosunkowo niewielka inwestycja wobec spodziewanych długofalowych korzyści demograficznych oraz poprawy sytuacji na rynku pracy. Według oficjalnych danych Głównego Urzędu Statystycznego spośród 970 tys. osób, które otrzymały do tej pory numer PESEL, aż 95 proc. to kobiety i dzieci. Trudno przy tym zakładać, aby wśród pozostałych niezarejestrowanych 2 mln osób proporcje były zasadniczo odmienne, gdyż ukraińscy mężczyźni w wieku od 18 do 60 lat mają zakaz opuszczania kraju. Wiele firm na Ukrainie stara się prowadzić działalność pomimo wojny (np. tamtejszy sektor IT działa na ok. 80 proc. przedwojennych mocy), co w praktyce przekłada się na to, że wielu uchodźców w Polsce wykonuje pracę zdalną. Teza o wielkich korzyściach dla polskiego rynku pracy wydaje się tym samym nieco przesadzona, gdyż większość osób, które chciały podjąć pracę w Polsce i wiązały z nią swoje plany na dłużej, uczyniła to jeszcze przed 24 lutego.

Jeżeli pewna część z liczącej 3 mln osób fali uchodźców wybierze Polskę na stałe, to ewentualne korzyści z tego faktu odczujemy dopiero za kilka lub kilkanaście lat. W krótszej perspektywie mamy zaś do czynienia z odpływem pracowników, którzy stanowili podporę co najmniej kilku branż, a przede wszystkim budowlanej i transportowej. Szacuje się, że pracowała w nich połowa spośród zarejestrowanych oficjalnie pod koniec ubiegłego roku 1,92 mln obywateli Ukrainy. Co trzecia osoba pracująca do niedawna na polskich budowach służy teraz w mundurze ukraińskiej armii. Dokładnie takich samych proporcji pod względem narodowościowym można było uświadczyć w zawodzie kierowcy, gdzie legalnie zatrudnionych było ponad 100 tys. obywateli ogarniętego wojną państwa. Według badań koniunktury przeprowadzonych przez GUS 9,4 proc. firm transportowych uznaje odpływ pracowników z Ukrainy za poważny. Dominujący w Polsce typ uchodźców w postaci matek z dziećmi nie uzupełni tych braków.

eprasa.pl 63687049a4

Straty sektora transportu i logistyki, który jest naszą narodową specjalnością odpowiadającą łącznie za aż 6 proc. PKB, nie ograniczają się niestety wyłącznie do utraty pracowników. Wprowadzenie sankcji na Rosję i Białoruś oraz odwetowe środki zastosowane przez oba te kraje przyczyniły się do ogromnych problemów przedsiębiorstw transportowych operujących na całym rynku wschodnim. Polskie ciężarówki nie mogą odtąd jechać m.in. do Kazachstanu i innych krajów Azji Środkowej. Unijne sankcje doprowadziły do ograniczenia importu z Rosji i Białorusi o 90 proc., przez co we wschodnich rejonach przygranicznych agencje celne znalazły się na krawędzi bankructwa. Z perspektywy polskich przedsiębiorców bardzo bolesne jest niestety to, że handel z Rosją i Białorusią, a także tranzyt do innych krajów będą odtąd przejęte przez podmioty z krajów pozaunijnych, które nie są objęte sankcjami. Najbardziej zyskają na tym firmy z Turcji, Serbii, Mołdawii, Kazachstanu, Azerbejdżanu czy nawet z samej Ukrainy. Przewoźnicy specjalizujący się w transporcie do Rosji i innych krajów azjatyckich mogą odtąd próbować albo pospiesznie przerzucić się na inne kraje, albo korzystać z okrężnej drogi przez Turcję i Iran, która jednak znacząco podwyższa i tak niemałe już koszty.

Jako że XXI w. ma należeć do Azji, Polska traci w wyniku wojny na Ukrainie swój ogromny i podstawowy atut w postaci korzystnego położenia geograficznego. Zapadająca za naszymi wschodnimi granicami nowa gospodarcza żelazna kurtyna wyłącza nas w niebezpieczny sposób z sieci drogowych i kolejowych połączeń łączących Europę Zachodnią z niemal całą Azją, a korzyści z tego odniosą m.in. Węgry, Turcja, Niemcy i kraje bałkańskie.

POLSKA PORTEM UKRAINY

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że straty przewoźników specjalizujących się na odcinku wschodnim (odpowiadającym jedynie za 4 proc. całego polskiego rynku transportowego) mogą być zrekompensowane przez potencjalnie spore zyski odnoszone przez podmioty zajmujące się transportem morskim. Jeszcze dwa miesiące temu Ukraina miała szeroki i swobodny dostęp do morza, lecz od czasu zablokowania wszystkich jej portów oraz niedawnego zniszczenia strategicznie ważnego mostu umożliwiającego jej transport towarów drogą lądową do Rumunii Polska zyskała ogromny atut jako okno na świat dla ukraińskich towarów. Porty w Gdańsku, Gdyni i Świnoujściu już teraz odnotowują znaczne ożywienie w przeładunku m.in. rud metali, koksu oraz kukurydzy. Przeżywający dzięki unijnej polityce klimatycznej rozkwit ukraiński przemysł stalowy i hutniczy działa wciąż pomimo zakłóceń, a w dłuższej perspektywie można również zakładać, że nasze porty będą obsługiwać eksportowy hit Ukrainy, czyli pszenicę oraz inne zboża. Mimo więc tego, że Polska odnotowała w wyniku wprowadzenia sankcji przeciwko Rosji pewien spadek przeładunków, może to zostać odrobione z nawiązką dzięki przejęciu znacznej części handlu z terytorium całej Ukrainy (także w zakresie jej importu, który odtąd będzie musiał korzystać z Bałtyku). Polskie porty mogą w tym roku osiągnąć rekordowe wartości przeładunków.

Rodzime porty skorzystają również niewątpliwie na tym, że wobec ustania wymiany handlowej z Rosją i dokonanego przez nią wyłączenia dostaw gazu nasz kraj jeszcze bardziej zwróci się ku morzu. Do portów będzie przybywało więcej transportów surowcowych, m.in. węgla energetycznego, a najprawdopodobniej w Gdańsku powstanie drugi gazoport. Wojna na Ukrainie umożliwi tym samym dokonanie wielkiej reorientacji polskiego transportu i sieci handlowej, pozwalając lepiej niż do tej pory wykorzystać nasz morski potencjał. Gdański port już w I kwartale tego roku stał się drugim największym portem na Bałtyku pod względem wielkości przeładunków, a obecny rozwój wydarzeń być może pozwoli mu zapukać do pierwszej dziesiątki wszystkich portów ogółem.

12,3 proc.

TYLE WYNIÓSŁ KWIETNIOWY ODCZYT INFLACJI W POLSCE

DYWERSYFIKACJA ATUTEM

Naszym niewątpliwym atutem w kontekście trwającej wojny gospodarczej jest to, że po 1989 r. udało się nam zredukować uzależnienie od wymiany handlowej z Rosją. W ubiegłym roku trafiało tam jedynie 2,8 proc. naszego eksportu i 4,4 proc. importu. Z oczywistych względów najważniejszym przedmiotem naszej wymiany były surowce, gdyż 72 proc. importu ropy i 45 proc. gazu trafiało do nas z Federacji Rosyjskiej. Nowym źródłem dostaw czarnego złota jest dla naszego kraju Arabia Saudyjska, od której kupujemy je w ogromnych ilościach także w imieniu Ukrainy, której Naftoport w Odessie jest obecnie nieczynny. Jeśli dodatkowo uda się pozyskiwać ropę z Iranu, to odejście od rosyjskich dostaw nie stworzy większych problemów niż te, które obecnie wynikają z globalnego wzrostu cen. Względnie optymistycznie przedstawia się sytuacja w zakresie alternatywnych źródeł importu błękitnego paliwa. Pomimo wstrzymania przez Rosję dostaw przez gazociąg jamalski Polska jest w stanie zapewnić sobie odpowiednią ilość gazu, m.in. dzięki zgromadzonym zapasom, gazoportowi w Świnoujściu, własnemu wydobyciu, otwarciu Baltic Pipe w październiku oraz nowym połączeniom gazowym z Litwą i ze Słowacją.

Zerwanie większości kontaktów handlowych z Rosją nie oznacza dla Polski automatycznej katastrofy ze względu na prowadzoną od lat mądrą politykę dywersyfikacji dostaw. Istotnym atutem naszej gospodarki jest również to, że mocno zdywersyfikowany jest również nasz handel międzynarodowy. W przeciwieństwie do opierających swoją gospodarkę na eksporcie surowców takich krajów jak Rosja i Arabia Saudyjska lub na eksporcie płodów rolnych jak choćby Ukraina Polska generuje wysokie przychody z eksportu w wielu różnych branżach. W rzeczywistości większym problemem dla Polski niż ustanie handlu z Rosją jest to, że ponad 80 proc. naszego eksportu trafia do Unii Europejskiej, co czyni nas wyjątkowo zależnymi od Brukseli i Berlina.

Nasza własna zdolność do szybkiej dywersyfikacji dostaw surowców nie zmienia przy tym tego, że jesteśmy w znacznym stopniu eksponowani na ich wysokie ceny, a dodatkowo państwowe rafinerie narzucają wysokie marże na paliwa. Marcowy odczyt inflacji wyniósł 10,9 proc., kwietniowy już 12,3 proc., a w kolejnych miesiącach należy się spodziewać jeszcze wyższych i jeszcze bardziej szokujących poziomów. Pod tym względem inwazja Rosji na Ukra-

eprasa.pl 63687049a4

Uchodźcy z Ukrainy na placu Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Krakowie, 27 kwietnia FOT. M.LASYK/REPORTER

inę nie mogła tak naprawdę wystąpić w gorszym momencie, gdyż związane z nią czynniki wpływające na wzrost cen nałożyły się na działanie wcześniejszych, które już same w sobie miały bardzo niebezpieczny potencjał. Forsowana od lat zielona transformacja i związany z nią szok energetyczny, rozrzutna polityka rządu i wreszcie pandemiczny festiwal fiskalno-monetarny doprowadziły do sytuacji, w której inflacja już w grudniu ubiegłego roku sięgała poziomu 8,6 proc. Ówczesny minister finansów Tadeusz Kościński mówił wprost, że tak znaczny wzrost cen stanowił efekt walki z pandemią.

NIE POWTÓRZYĆ LOSU ARGENTYNY

Rosyjska agresja na Ukrainę dołożyła cały pakiet nowych bodźców dźwigających inflację ku dawno nienotowanym poziomom. Wojna surowcowa z Rosją, zaburzenia na rynku żywności oraz w dostępie do nawozów rolniczych czy też stali wzmogły wzrost cen praktycznie we wszystkich obszarach gospodarki. Poziom inflacji w Polsce należy do najwyższych w Europie, ustępując jedynie Litwie, Łotwie, Estonii, Holandii, Bułgarii i Czechom. Wbrew temu, co mówi rząd, obecnego zjawiska nie można nazwać „putinflacją", gdyż wywołana przez Władimira Putina wojna była jedynie katalizatorem procesów, które już od dłuższego czasu pracowały na obecne wzrosty.

Większość osób nie zdaje sobie przy tym sprawy z tego, po jak kruchym lodzie stąpa właśnie polska gospodarka. Wraz ze wzrostem cen rosną także oczekiwania płacowe, które mogą nas wepchnąć w niebezpieczną spiralę. Gdyby tak się stało, weszlibyśmy na ścieżkę zatrważającej niestabilności całego systemu gospodarczego. W krajach, w których inflacja wynosi ponad 20 proc., przez zaledwie kilka lat społeczeństwo staje się wyraźnie bardziej nastawione na bieżącą konsumpcję, gdyż stopniowo traci nadzieję na to, że w przyszłości stać je będzie na więcej. Tego rodzaju scenariusz realizowany dotąd m.in. przez Argentynę grozi niestety również nam. Rzecz jasna, ogromny wpływ na sytuację finansową Argentyny ma jej utrzymujące się od lat bankructwo, lecz obserwowane w tym kraju skutki długotrwałego utrzymywania się wysokiej inflacji są dość uniwersalne.

Dlatego właśnie krytykowane przez wiele osób europejskie kraje, które w następstwie wybuchu wojny nie są skłonne zrezygnować z rosyjskich surowców bez względu na cenę, działają niestety w sposób racjonalny. Nagły szok podażowy mógłby w obecnych warunkach doprowadzić do skokowego wzrostu inflacji, która wyrwawszy się spod kontroli, potrafi wyrządzić wielkie spustoszenia i bywa trudna do opanowania. Uśpieni tym, że polska gospodarka przeszła przez poprzedni kryzys finansowy i okres pandemii względnie suchą stopą, możemy ulec złudzeniu, że jesteśmy odporni na wszelkie przeciwności, co jest oczywistą nieprawdą. W razie braku odpowiednich alternatyw lepiej płacić za surowce nawet największemu wrogowi i uratować gospodarkę, niż nieroztropnie pogrążyć ją i tym samym ograniczyć własny potencjał bojowy.

MIESZKANIE NA WAGĘ ZŁOTA

Jak do tej pory prawie 70 proc. uchodźców z Ukrainy przeniosło się do dużych polskich miast. Nasze zasoby mieszkaniowe nie są niestety wystarczające do tego, aby wchłonąć 3 mln osób bez reperkusji dla całego rynku. Od początku wojny średnie ceny najmu wzrosły o 20–30 proc., a sama dostępność lokali do wynajęcia w niektórych aglomeracjach spadła nawet o 70–80 proc. A ponieważ część korzystających obecnie z prywatnych gościn dopiero zacznie szukać dla siebie lokum, tendencje te będą się nasilać. Na szybkie uzupełnienie zasobów mieszkaniowych nie ma zaś co liczyć, ponieważ odpływ pracowników z sektora budowlanego, wyższe stopy procentowe oraz coraz wyższe koszty materiałowe i płacowe dla przedsiębiorców uniemożliwiają rozpoczęcie wystarczającej liczby nowych budów. Problem z nieruchomościami może niestety okazać się jednym z bardziej wymagających, ponieważ ponoszone przez mniej zamożne warstwy społeczeństwa nieproporcjonalnie wysokie wydatki na cele mieszkaniowe tworzą wiele barier rozwojowych. Tym bardziej że – jak przyznał sam premier Morawiecki – problem z wysoką inflacją pozostanie z nami na dłużej.

Problem z dostępnością mieszkań niesie ze sobą potencjalnie pewne ryzyko związane z konfliktem na tle narodowościowym. Entuzjazm pierwszych tygodni wojny i chęć niesienia pomocy sąsiadom zza wschodniej granicy w naturalny sposób kiedyś opadną, a szczególnie jeśli konflikt będzie się przedłużał. Niewykluczone, że wymusi to na władzach podjęcie pewnych nadzwyczajnych działań, które już dziś wydają się konieczne w innych obszarach. Jak zwrócił uwagę w specjalnym liście wystosowanym do premiera rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz, problemem w naszym kraju zaczyna być zbytnie faworyzowanie ukraińskich firm. Zarówno Ukraińcy, jak i Białorusini podejmują w ostatnim czasie pracę na własny rachunek, nie

eprasa.pl 63687049a4

ponosząc jednak tych samym kosztów opodatkowania i oskładkowania co polskie podmioty. Odpowiednim rozwiązaniem tego problemu mogłoby być wprowadzenie ułatwień dla wszystkich mikrofirm tak, aby wyrównać szanse.

Całokształt działań rządu w zakresie pomocy niesionej uchodźcom z Ukrainy może być z jednej strony przedstawiany jako wzorcowy przykład solidarności, z drugiej zaś powinien posłużyć jako studium przypadku, gdyż wiele spośród udogodnień i ułatwień, które polskie państwo zastosowało wobec naszych sąsiadów, nie spotkało nigdy w porównywalnym zakresie ani polskich obywateli, ani tym bardziej przedsiębiorców. Po rosyjskiej agresji na Ukrainie nagle okazało się, że polskie państwo potrafi świadczyć błyskawiczną i wszechstronną pomoc, uruchomić bezpłatne świadczenia, zwolnienia i punkty obsługi oraz uczynić interesy wybranej grupy społecznej priorytetem finansów publicznych oraz całej administracji państwowej. Byłoby wskazane, aby w dobie narastającej dominacji wielkich międzynarodowych podmiotów tego typu zabiegi przekierowane zostały ku rodzimym przedsiębiorcom, a ogromny wypływ urzędniczej empatii i zaangażowania wystarczył również na codzienne relacje z obywatelami.

WYSOKA WYCENA RYZYKA

W kontekście wojny nie sposób nie wspomnieć niestety o stratach, które poniosła polska waluta, a także ogólny wizerunek kraju stabilnego i wolnego od zawirowań. Podobnie jak w przypadku turystyki, gdzie dla wielu klientów z zachodniej Europy czy też USA jesteśmy krajem położonym niebezpiecznie blisko frontu i dlatego niewskazanym jako cel podróży, w ogólnym odbiorze inwestorów i biznesu na całym świecie zawisł nad nami wyraźniejszy niż do tej pory cień możliwej rosyjskiej agresji. Przykład Korei Południowej pokazuje, że gospodarka może rozwijać się z powodzeniem nawet w stanie permanentnego zagrożenia, lecz najlepszym sygnałem, że świat dokonał już wstępnej kalkulacji ryzyka, jest to, że od początku wojny złotówka wciąż nie odbudowała strat względem dolara i euro. Czy ten efekt utrzyma się dłużej, jeszcze nie wiadomo, gdyż dużo będzie zależało od rozwoju sytuacji na ukraińskim froncie. Pozytywnym sygnałem jest z pewnością to, że nie widać żadnego wyraźnego spadku inwestycji zagranicznych w Polsce ani spadku polskich inwestycji poza naszymi granicami.

Wojna na Ukrainie odbije się natomiast z pewnością na wysokości stóp procentowych, które już teraz należą do najwyższych w Europie. Przekłada się to oczywiście na wzrost kosztów obsługi zadłużenia, gdyż rentowność naszych obligacji rośnie (w przypadku 10-letnich nawet o 4,7 punktu procentowego w ciągu roku), a państwo będzie musiało w coraz większym stopniu korzystać z obligacji krótkoterminowych. Zmiany te dokonują się niestety w bardzo niekorzystnym momencie, ponieważ utrzymując uchodźców z Ukrainy, zadłużamy się w większym stopniu niż do tej pory. Rząd, przyzwyczajony do wyjątkowo taniego pieniądza, który był dostępny w ostatnich latach, może mieć kłopot z właściwym oszacowaniem realnych kosztów prowadzonej przez siebie polityki. Przykład bagatelizowanej przez wiele miesięcy inflacji pokazuje, że zarówno rząd, jak i NBP mają skłonność do lekceważenia wielu niepokojących sygnałów płynących z gospodarki. Dodatkowym utrudnieniem jest także to, że w stronę coraz bardziej wyraźnej recesji zmierza cała światowa gospodarka, co bez wątpienia odbije się także na naszej gospodarce i finansach publicznych.

Gospodarczych skutków wojny na Ukrainie dla naszego kraju nie sposób ująć w jednoznaczną ocenę. Nadzieje związane z napływem rąk do pracy powinny być zdecydowanie ostudzone, więcej korzyści powinny nam za to przynieść wielkie zmiany w schemacie szlaków handlowych naszego regionu. Koszty reorientacji polskiego eksportu i dywersyfikacji dostaw surowców nie niosą zaś ze sobą ostatecznie tak wielkiego zagrożenia jak kwestia zapewnienia uchodźcom odpowiednich świadczeń.

CORAZ WYŻSZY DEFICYT

Przykład trwającego od wielu tygodni politycznego szantażu Brukseli zwlekającej z wypłaceniem Polsce należnych jej środków z KPO pokazuje, że o otrzymanie pieniędzy na pomoc dla Ukraińców ze wspólnego budżetu będzie niezwykle trudno. Przy zamiłowaniu obecnego rządu do wypłacania różnego rodzaju świadczeń może to przyczyniać się do narastającego problemu kosztów ponoszonych przez polskiego podatnika. Wedle przyjętego przez rząd nowego Wieloletniego Planu Finansowego Państwa w obecnym roku deficyt budżetowy ma wzrosnąć do 4,3 proc. PKB, choć jeszcze na początku roku miał wynosić 1,8 proc., czyli nieco mniej niż w ubiegłym roku. Mimo że po stronie wydatków pojawiła się pod koniec lutego zupełnie nowa pozycja o sporym potencjale wzrostowym, rząd nie zamierza rezygnować nawet z wypłaty 14. emerytury.

Pomoc udzielona znajdującemu się w opresji sąsiadowi to nasz narodowy powód do dumy, lecz na samej dumie nie powinno się skończyć. Przez to, że Polska wzięła na siebie tak znaczną część ciężaru związanego z pomocą dla uchodźców (o pomocy militarnej, dyplomatycznej i logistycznej nie wspominając), nasz kraj powinien przy pomyślnym rozstrzygnięciu obecnego konfliktu otrzymać w przyszłości od Ukrainy odpowiednie wynagrodzenie w postaci preferencyjnych warunków dla biznesu zainteresowanego powojenną odbudową kraju. Wiadomo już zresztą, że kierowane przez Jacka Sasina Ministerstwo Aktywów Państwowych podjęło już w tym kierunku pewne działania.

Mimo że kresu działań wojennych na Ukrainie wciąż jeszcze nie widać, rozpoczęła się już wielka polityczna rozgrywka o podział łupów z tytułu wielkiego funduszu odbudowy Ukrainy, który bywa określany jako „nowy plan Marshalla". Jego wartość szacowana jest wstępnie na 200–500 mld euro. Stosunkowo największą aktywność w tym zakresie wykazują Niemcy, które w zakresie niesienia realnej pomocy Ukrainie wykazują daleko idącą powściągliwość. Znając dotychczasową politykę Unii Europejskiej względem Polski, istnieje niestety realne ryzyko, że gdy koordynowany przez Brukselę program odbudowy jej potencjalnego przyszłego członka zacznie się kiedyś materializować, nasz kraj nie uzyska korzyści proporcjonalnych do swojego obecnego zaangażowania. Polska nie dysponuje funduszami zdolnymi podnieść Ukrainę z ogromu zniszczeń, ale w zamian za udzieloną pomoc może zasadnie oczekiwać kiedyś znacznych przywilejów. O ile wojna pomoże Ukrainie wdrożyć bardziej przejrzyste standardy życia publicznego, o tyle nasz kraj może w dłuższej perspektywie zyskać jako źródło licznych inwestycji. Tych ewentualnych przyszłych korzyści nie sposób jednak ocenić na razie żadną miarą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY | ORLEN

PARTNER GŁÓWNY | KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 63687049a4

Ze Sławomirem Mentzenem, ekonomistą, politykiem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Rząd nie ma pomysłu na inflację

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Inflacja w kwietniu wyniosła 12,3 proc. w ujęciu rocznym. Tak źle nie było od ponad 20 lat. Ze strony premiera Morawieckiego słyszymy deklaracje, że rząd ma plan, który pozwoli zdusić wzrost cen. Na ile ten plan jest realny w okolicznościach gospodarczych, politycznych, z którymi mamy teraz do czynienia?

SŁAWOMIR MENTZEN: Rząd na razie robi niewiele, żeby ograniczyć inflację, przede wszystkim walczy z jej skutkami, a nie z jej przyczynami. W tym momencie obniżanie VAT i akcyzy czy też różnego rodzaju dopłaty dla ludzi są raczej czynnikami, które przedłużą czas wysokiej inflacji. W mojej ocenie rząd nie jest w tym momencie w stanie zapanować nad inflacją, a na pewno nie taką jak ta.

Sytuacja na rynku energii i żywności, szalejące ceny paliw, gazu, zbóż w dużym stopniu będące pochodną agresji Rosji na Ukrainę nie ułatwiają rządowi zadania.

Wysoka inflacja bierze się stąd, że mamy wydrukowanych mnóstwo pieniędzy, które nam jeszcze zostały po tarczach pomocowych mających zniwelować skutki lockdownów. Dóbr i towarów nie przybywa, a ilość pieniędzy rośnie, więc ceny muszą rosnąć. Jesteśmy w momencie, w którym będziemy mieli coraz większe problemy z nabyciem gazu czy benzyny, będą też problemy z żywnością. Już teraz eksperci przestrzegają przed klęską głodu w Afryce.

U nas na szczęście głodu nie będzie, ale ceny oczywiście pójdą w górę. Bardzo obawiam się, że inflacja w Polsce może przekroczyć 15 proc., co by oznaczało, że stopy procentowe mogą spokojnie przekroczyć 7,5 proc. Bardzo ważna jest przy tym inflacja bazowa, która w kwietniu prawdopodobnie przekroczyła 7,5 proc., a to jest inflacja z wyłączeniem cen żywności i energii. Ceny energii, żywności są ustalane na rynkach światowych, stąd nie są pod kontrolą naszego rządu. Ale odpowiedzialność za bardzo wysoką inflację bazową ponosi już wyłącznie nasz rząd.

Niestety, nie ma tu prostych recept. Z inflacją walczy się bardzo ciężko. To trwa wiele miesięcy i jest zawsze nieprzyjemne, bo trzeba doprowadzić do tego, aby pieniędzy na rynku było mniej, co oznacza, że państwo musi mniej wydawać. To z kolei znaczy, że nie powinno się uruchamiać kolejnych programów pomocowych, i być może skuteczne okazałoby się podwyższenie podatków pośrednich, np. VAT czy akcyzy, tak aby schłodzić gospodarkę. Walka z inflacją będzie niestety bardzo nieprzyjemna i wszyscy zapłacimy za nią wysoką cenę.

Programy socjalne, które realizuje rząd, zostały ostatnio rozszerzone o pakiet pomocy dla Ukraińców uciekających przed wojną. Tymczasem zaczynamy powoli wchodzić w sezon wyborczy. Trudno sobie wyobrazić, że rząd w imię walki z inflacją zdecyduje się na ostre cięcia wydatków socjalnych. Niechybnie prowadziłoby to do wyborczej klęski.

Politycy niestety patrzą wybitnie krótkoterminowo i to krótkoterminowe patrzenie teraz się na nas mści. Obawiam się bardzo, że będzie tylko gorzej, a wszystkie programy pomocowe, o których pan mówi, sprawią, że znowu inflacja będzie rosła. Rząd w walce z inflacją

eprasa.pl 63687049a4

powinien przestać robić takie rzeczy. Stopy procentowe w Polsce będą rosnąć. Obawiam się bardzo, że jeszcze w tym roku przekroczą poziom 7 proc. To oznacza, że koszt obsługi polskiego długu również wzrośnie. Rząd będzie musiał płacić wyższe odsetki od nowych obligacji. Więc te wszystkie programy będą coraz droższe oraz będą dalej nakręcały inflację. To jest trochę jak dolewanie benzyny do ognia czy też dostarczanie kolejnych porcji alkoholu na imprezę. I to też powinno się dawno zakończyć.

Wchodzimy w sezon wyborczy, a ten rząd ma niestety tendencję do rozdawania pieniędzy, więc gdy patrzę na najbliższą przyszłość polskiej gospodarki, to wszystko wygląda bardzo źle.

Polska chciałaby zająć w grupie G20 miejsce Rosji, która ma zostać usunięta za agresję na Ukrainę. Czy targana wysoką inflacją i przerostem regulacji polska gospodarka jest gotowa na awans do globalnej elity?

W rzeczywistości stan gospodarki jest znacznie gorszy, niż przedstawiają to rządzący. Nie powinno to jednak przekreślać naszych aspiracji, bo większość członków grupy G20 ma podobne problemy. Naszym szczęściem jest to, że przez ostatnie lata mieliśmy wpisany do konstytucji limit długu do PKB, który sprawił, że Polska nie zdążyła się bardzo mocno zadłużyć. W znacznie gorszej sytuacji są takie państwa jak Francja, Włochy czy Hiszpania, gdzie zadłużenie było już wcześniej bardzo wysokie.

Nie tylko my mamy problemy. Większość państw na świecie niestety wprowadzała lockdowny. Potem drukowała pieniądze. W podobnym położeniu są Czesi, Węgrzy, kraje bałtyckie. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Jesteśmy o tyle w wyjątkowej sytuacji, że przyjęliśmy prawie 3 mln uchodźców z Ukrainy, głównie kobiet i dzieci. Czy ta sytuacja może być potencjalnie korzystna dla polskiej gospodarki?

Widzę pozytywny scenariusz, w którym skończy się to dla nas bardzo dobrze. Jeśli okaże się, że przyjeżdżający do Polski Ukraińcy znajdą tu pracę, będą tu pracować, będą budować naszą gospodarkę, to polska produkcja wzrośnie i dzięki temu inflacja nie będzie się nakręcać. Jeżeli jednak okaże się, że oni w przeważającej większości nie będą pracować, tylko będą żyć z zasiłków, to znowu napędzamy inflację, zwiększamy wydatki rządowe i wtedy skończy się to tragedią. Widzę tu potencjalne szanse, ale też ryzyko. Bardzo bym chciał, żeby zrealizował się ten pozytywny scenariusz.

Stopy procentowe w Polsce będą rosnąć. Obawiam się bardzo, że jeszcze w tym roku przekroczą poziom 7 proc. To oznacza, że koszt obsługi polskiego długu również wzrośnie

Mówi pan, że rząd powinien ciąć wydatki w związku z inflacją. Tymczasem bardzo konkretny jest problem w postaci olbrzymich kwot, których domagają się od Polski koncerny Pfizer i Moderna z tytułu zamówionych przez Polskę dziesiątek milionów dawek szczepionek przeciw COVID-19. Ktoś za to politycznie zapłaci?

Obawiam się, że bez zmiany władzy do takiego czegoś nie dojdzie. Mówimy o ponad 10 mld zł. To są olbrzymie pieniądze. Złożenie tak wielkiego zamówienia może wynikać wyłącznie z dwóch rzeczy – pierwsza to skrajna głupota, kilkukrotnie przekroczone zapotrzebowanie na szczepionki, tak jakby rząd nie wiedział, ilu ludzi mieszka w Polsce, ewentualnie jakaś korupcja. Nie mam dowodów na korupcję, za to mam mnóstwo dowodów na skrajną głupotę. Stąd raczej w tym kierunku należałoby prowadzić śledztwo. Obawiam się, że bez zmiany władzy do żadnych rozliczeń nie dojdzie. W Polsce mamy bardzo długą historię marnotrawstw różnej skali. Nie przypominam sobie, żeby politycy odpowiadali za swoje błędne decyzje. Co ciekawe, podobnego problemu jak Polska nie mają inne kraje Unii, gdzie potrafiono mniej więcej oszacować liczbę mieszkańców. I tam do tego stopnia przesadzonych zamówień nie dochodziło.

Porozmawiajmy o odpowiedzialności polityków za skutki swoich decyzji. Chodzi mi o odpowiedzialność za skrajnie niekorzystną umowę związaną z importem rosyjskiego gazu przez gazociąg Jamał II. Ta umowa była firmowana przez wicepremiera Pawlaka, ale w czasach, kiedy rządy sprawował Donald Tusk. Czy w obliczu wojny na Ukrainie, sankcji wobec Rosji jest wreszcie klimat polityczny, który sprzyjałby pociągnięciu takich osób do odpowiedzialności?

W Polsce od bardzo dawna obowiązuje zasada: „My nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych", więc jeżeli do czegokolwiek tu dojdzie, to nie dlatego, że nagle jakiś polski polityk chciał zaprowadzić jakąkolwiek sprawiedliwość, ewentualnie to może być jakaś zagrywka PR-owska. Niestety, polska polityka, zresztą nie tylko polska, to jest teatr. Tego rodzaju działań nie podejmuje się po to, żeby uzyskać efekt, tylko żeby zrobić szum w przestrzeni medialnej. Mogę sobie wyobrazić jakąś konferencję prasową czy próbę pociągnięcia Pawlaka do odpowiedzialności, ale nie bardzo wierzę, żeby to się realnie udało.

Czy Polska prowadzi politykę właściwą wobec wojny na Ukrainie? Nie gramy ponad stan?

Oceniam dotychczasową polską politykę w tej kwestii raczej pozytywnie. Dobrym przykładem była sprawa migów-29, których ostatecznie nie wysłaliśmy. W pewnym momencie, kiedy pojawiła się propozycja, żeby samoloty przekazać Ukrainie, chciano to zrobić przy wykorzystaniu pomocy Stanów Zjednoczonych, które to zablokowały, mówiąc, że dla nas jest za dużo ryzyko. W interesie Polski jest to, żeby Ukraina broniła się przed Rosją, w interesie Polski jest to, żeby na Ukrainę trafiło jak najwięcej broni, żeby jak największa liczba państw Ukrainie pomagała. Każdy zniszczony rosyjski czołg, każdy zestrzelony rosyjski samolot nie trafi nigdy na terytorium Polski. My nie będziemy musieli się bić, więc z punktu widzenia Polski to, że z armią rosyjską walczą Ukraińcy za pomocą sprzętu z Zachodu, to jest dobra sytuacja. Ale nie możemy przesadzić. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której działania wojenne przeniosą się na nasze terytorium. Ale dopóki się to nie wydarzy, dopóty powinniśmy bardzo wspierać Ukrainę.

Pański głos jest odosobniony w partii KORWiN i w Konfederacji? W obiegu politycznym i w większości mediów pokutuje stereotyp, według którego Konfederacja, a jeszcze bardziej partia KORWiN są prorosyjskie...

Nie znam żadnego polityka ani w Konfederacji, ani w partii KORWiN, który jest prorosyjski. To jest przyprawianie nam jakiejś gęby. Sam bez przerwy słyszę, że jestem sympatykiem Putina, co absolutnie nie ma miejsca. Ten człowiek oczywiście jest zbrodniarzem i nikt normalny go w Polsce nie popiera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Elekcja jesienią, czyli wyborczy wąż morski

Piotr Semka

Plotki, że rządząca partia już zamawia bannery, usłyszymy jeszcze nieraz. PiS-owska alchemia uczuć koalicyjnych to wciąż nauka skomplikowana i tajemnicza

Przyspieszone wybory mogą okazać się konieczne, gdy rząd straci możliwość funkcjonowania w oparciu o większość parlamentarną" – mówi Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu, w rozmowie z „Faktem". Po drugiej stronie politycznej barykady Donald Tusk nie mówi „nie", ale stawia swoje warunki. Choć gromko głosi, że wybory nie będą uczciwe, to jednocześnie deklaruje: „Wierzę w wygraną". Pobieżny odbiorca mediów może odnieść wrażenie, że samorozwiązanie Sejmu jest w zasięgu ręki. Jeśli jednak wczytać się w deklaracje zarówno polityków partii rządzącej, jak i opozycji, to widać, że decyzja o przyspieszeniu wyborów dla obu stron będzie niełatwa.

Prawo i Sprawiedliwość przez ponad sześć ostatnich lat robiło wiele, aby uruchomić mechanizm strukturalnego poparcia dla swojej partii. Chodziło o stworzenie całych grup społecznych, które na rządach Jarosława Kaczyńskiego uzyskują trwałe zdobycze socjalne – tak, by do ideowego, żelaznego elektoratu prawicy trwale przywiązać wspólnymi interesami beneficjentów „500+", rolników, a także sporą część wyborczego środka. Mechanizm ten, sądząc na podstawie ciągle wysokich sondaży PiS, wciąż działa. Niekiedy pomagała mu dodatkowo agresywna taktyka lewicy, jak wtedy przed eurowyborami, a potem wyborami do parlamentu w 2019 r., gdy na manifestacjach LGBT profanowano najświętsze symbole, obnosząc się z „tęczową" Matką Boską Częstochowską. Kolejny raz udało się PiS, gdy Andrzej Duda „dał z siebie naprawdę wszystko" i wygrał z Rafałem Trzaskowskim. Udana kontrakcja rządu wobec prób skierowania do Polski fali uchodźców z Białorusi, a potem sprawna akcja przyjęcia gigantycznej fali uciekinierów z Ukrainy też wzmocniły kapitał wizerunkowy PiS. Niektórzy kąśliwie dodają, że wojna na Ukrainie wręcz uratowała w sondażach PiS po kiksie z Polskim Ładem. Wcześniejsza secesja grupy Jarosława Gowina przypomniała liderowi PiS, że uzyskanie większości sejmowej jest coraz trudniejsze.

Publicyści proopozycyjni, wyczekujący jak politycznego zbawienia odsunięcia PiS od władzy, przywiązują ogromną wagę do klinczu na linii PiS – Solidarna Polska w spawie zaspokojenia roszczeń Brukseli i likwidacji Krajowej Izby Dyscyplinarnej.

Tyle że w tej kwestii analitycy „Newsweeka" czy OKO.press stają się niewolnikami własnych przekonań. Ziobro występuje w ich scenariuszach jako postać tak wredna i makiawelistyczna, że siłą rzeczy uznają, iż sam PiS musi takiego politycznego potwora nie cierpieć i iść na zderzenie czołowe.

Owszem, w wojnie na słowa na linii Nowogrodzka – Ministerstwo Sprawiedliwości iskrzy całkiem mocno. Ryszard Terlecki używa mocnych sformułowań: „Nie sposób nieustannie wewnątrz naszego obozu negocjować z jego częścią, niewielką, ale trzymającą nas w pewnym szachu". Terlecki odniósł się do wypowiedzi ziobrystów, którzy wezwali do zawieszenia płatności składek członkowskich do Unii Europejskiej w związku z brakiem pomocy na rzecz uchodźców w Polsce. „Mówienie dziś, że zastosujemy jakieś retorsje czy sankcje wobec Unii za to, że nie chcą pomagać Ukrainie, wydaje się głupim pomysłem. Nie powinniśmy w tej chwili używać takiego argumentu".

Na uwagę, że Solidarna Polska „idzie z prawej flanki coraz ostrzej", szef klubu PiS odparł, że „nie wie, czy to jest prawa flanka, raczej »głupia flanka«. Jakoś trzeba będzie z tego wyciągać konsekwencje" – stwierdził Terlecki.

Odpowiedzią PiS mogłoby być: „Przyspieszone wybory mogą okazać się konieczne, gdy rząd straci możliwość funkcjonowania w oparciu o większość parlamentarną". Jednocześnie zadeklarował: „Co do samorozwiązania to jest problem poważniejszy, trzeba pozyskać odpowiednią większość parlamentarną. Gdyby PiS uznał, że dalsza szamotanina z rozmaitymi rozłamowcami nie ma sensu, trzeba większość stanowczą i poważną budować, i złożył wniosek o samorozwiązanie Sejmu, to opozycja byłaby w trudnej sytuacji. Byłoby to karkołomne, gdyby opozycja broniła rządu Prawa i Sprawiedliwości" – ocenił.

Trudno na razie ocenić, czy słowa Terleckiego to nieco kapralskie przywo-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 63687049a4

ływanie Ziobry do koalicyjnej dyscypliny czy sygnał do powtórki z pacyfikacji Jarosława Gowina. Ale różnica sytuacji jest mimo wszystko duża. Gowin nigdy nie był postrzegany jako konstytutywny polityk PiS. A Ziobro – mimo grzechów – przeszedł szlak za Kaczyńskim od końca lat 90. Jeden z polityków PiS: „Gdyby Naczelnik chciał się rozstać z Ziobrą, zrobiłby to już w połowie 2021 r. Tak jak porachował się z Gowinem – odpowiednio wcześniej, by taka operacja dyscyplinarna nie zaszkodziła w okresie kampanii. Teraz jest na to za późno".

Ale jest i inny powód, by traktować plotki o rychłym samorozwiązaniu Sejmu z dużym sceptycyzmem. Jest nim samo zachowanie opozycji.

DONALD NIEPEWNY

„Jeśli będzie wcześniejszy termin wyborów parlamentarnych, to jesienny" – powiedział parę dni temu przewodniczący PO Donald Tusk na antenie TVN24. „Jeśli PiS zdecyduje się na wniosek o rozwiązanie parlamentu i jeśli nie będzie sytuacji wojennej, takiej, jaka jest dzisiaj, to możemy rozmawiać o wcześniejszych wyborach".

Tusk zapytany wprost, czy poparłby samorozwiązanie Sejmu, odpowiedział, że zrobiłby to pod pewnymi warunkami.

Głównym warunkiem jest to, że zakończy się okres bezpośredniego zagrożenia wojną. „W tej chwili, kiedy trwa ofensywa rosyjska i przede wszystkim w Polsce ludzie i samorządy, bo nie rząd przecież, robią wszystko, żeby pomóc dwóm milionom uchodźców ukraińskich, to jeszcze teraz na to nakładać kampanię wydaje mi się rzeczą nierozsądną i chyba trochę niemoralną" – mówił lider PO. Przy okazji podkreślił, że „wiadomo, że te wybory nie będą równe i uczciwe". Rozmowę w TVN24 o ewentualnych wyborach lider PO wykorzystał do promowania idei jednej opozycyjnej listy.

„Wierzę w wygraną, będę przede wszystkim chciał usłyszeć od naszych partnerów na opozycji, że są gotowi do szybkich decyzji i do poważnej rozmowy na temat wspólnego bloku".

Tusk dobierał słowa tak, aby powstał jasny przekaz – jest gotowy na wcześniejsze wybory. Ale każdy, kto zna długą historię relacji PO-PiS, wie, że zapowiedź zgody na samorozwiązanie Sejmu i Senatu przed ustawowym terminem musi brzmieć w uszach Jarosława Kaczyńskiego jak ostrzeżenie. Wszelkie układy PO z PiS kończyły się zawsze awanturą i oskarżaniem lidera PiS o wiarołomstwo. Dla Kaczyńskiego wizja przegranej w głosowaniu nad skróceniem kadencji Sejmu jest bardzo prawdopodobna – wielu posłów jest pewnych, że ponownie nie znajdzie się już na listach swoich partii. Bez gwarancji, że Platforma poprze samorozwiązanie Sejmu, rządząca partia nie zdecyduje się na takie rozwiązanie. A warunki Tuska mogą być trudne do spełnienia. Na dodatek do jesieni sytuacja wojenna na Ukrainie może być całkiem niepewna i konflikt nadal może trwać. Kampania wyborcza w Polsce w cieniu napiętej sytuacji za naszą wschodnią granicą to niewygodna wizja zarówno dla rządzących, jak i dla opozycji. Tym bardziej że Tuskowy postulat stworzenia jednej listy opozycji to zaklinanie rzeczywistości. Pomysł ten był kwestionowany przez PSL i Szymona Hołownię już wcześniej. Teraz, gdy całkiem niedawno wspólna lista nie pomogła węgierskiej opozycji odzyskać władzy, szanse na jeden blok pod wodzą ambitnego gdańszczanina są jeszcze słabsze. A jednak Tusk – jak zacięta katarynka – wciąż powtarza swoją ofertę.

Platforma nie ma na razie żadnego nowego, ciekawego hasła. Czeka też, by galopująca inflacja spowodowała zmianę w nastrojach zwykłych Kowalskich. A fala niezadowolenia widoczna w protestach płacowych kontrolerów lotniczych i kolejarzy z PKP jeszcze nie osiągnęła szczytu. Dlaczego więc Tusk miałby śpieszyć się do wyborów?

CO NAGLE, TO PO DIABLE

Przyspieszona elekcja jesienią tego roku w każdym wypadku oznaczać będzie wizerunkową porażkę rządzącej partii. Nikt, kto głosi, że dobrze rządzi, nie oddaje dobrowolnie władzy. „Lepiej rządzić jeszcze półtora roku niż krócej" – ta wypowiedź jednego z polityków PiS dla „Polityki" doskonale oddaje nastroje w partii.

Maszyneria wyborcza PiS dopiero się przygotowuje na nową kampanię. W planach ma być wiosenno-letni objazd kraju przez najbardziej popularne twarze partii i konsekwentne przypominanie Polakom błędów Platformy. Także do opracowania kampanii w celu zdobycia wyjątkowo dla PiS cennego elektoratu wiejskiego sztabowcy z Nowogrodzkiej chcą mieć więcej czasu. Są i korzystne dla PiS okoliczności. Osłabła siła COVID, który oddalał od PiS część elektoratu nieufnego wobec przymusowych szczepień.

Ostatni sondaż agencji Estymator dla „Do Rzeczy" pokazuje całkiem niezły punkt wyjściowy do kampanii: PiS – 38,4 proc., KO – 27,5 proc., Lewica – 10,5 proc., Ruch Hołowni – 8 proc., Konfederacja – 7,3 proc. i PSL – 6,7 proc. Dystans 10, 9 proc. oddzielający rządzącą partię od Koalicji Obywatelskiej dobrze rokuje Jarosławowi Kaczyńskiemu. Problemem może być coś innego. Wygrana bez uzyskania większości sejmowej. Nie jest tajemnicą, że Prawu i Sprawiedliwości rządzenie z udziałem koalicjantów niespecjalnie wychodzi. A sprzeciw wobec pomysłów koalicji z PSL czy Konfederacją może być w partii całkiem silny. Nie wiadomo zresztą, czy Władysław Kosiniak-Kamysz czy Krzysztof Bosak byliby zdolni do takiej zmiany frontów.

Mateusz Morawiecki z coraz większym trudem żongluje pieniędzmi w konstruowaniu spinającego się budżetu. A Bruksela na razie blokuje środki z KPO.

Uparte plotki o planach osobnego startu Ziobry w kolejnych wyborach brzmią coraz mniej wiarygodnie. Konfederacja pokazała się w ostatnim czasie jako partia dogmatyków, niepokojąco pobłażliwych dla Moskwy. Życzliwe wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego na temat Rosji uświadomiły Solidarnej Polsce, z jak nieprzewidywalnym koalicjantem musieliby się zderzyć. Z PiS ziobrystom źle, ale poza PiS zbyt wielu sojuszników nie widać.

A PiS przy wszystkich swoich kłopotach objawił się wielu Polakom w czasie wojny na Ukrainie jako partia, która odpowiednio przewidziała bandytyzm Putina, wzmocniła armię, dogadała się odpowiednio wcześniej z Amerykanami i przygotowała Polskę do zakończenia importu ropy i gazu z Rosji. Słowem: najbardziej kompetentna siła polityczna na czas, gdy wokół szaleją wichry wojny. Te laury mogą oczywiście z czasem nieco blednąć, ale na razie trudno ich nie doceniać.

Plotki, że rządząca partia już zamawia bannery, usłyszymy jeszcze nieraz. Są dziennikarze, którzy od lat podnoszą napięcie takimi newsami znikąd.

Do porozumienia Kaczyński-Ziobro wokół ustawy o Sądzie Najwyższym wciąż nie doszło. PiS-owska alchemia uczuć koalicyjnych to wciąż nauka skomplikowana i tajemnicza. Przyspieszonych wyborów to jednak jeszcze nie oznacza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Z Markiem Brzezinskim, ambasadorem USA w Polsce
rozmawia Jacek Przybylski

Jesteśmy gotowi na każdy ruch Putina

JACEK PRZYBYLSKI: „Najwyższy czas, by Polska stała się poważnym państwem, a nie żyła ciągle w zawieszeniu między niebem a piekłem. Niebo jest wówczas, gdy Ameryka nas kocha i uważa za najbliższych sojuszników, a piekło, kiedy można zakrzyknąć: znowu nas zdradziliście, znowu nas sprzedaliście itd.” – radził Zbigniew Brzeziński w wywiadzie udzielonym mi w roku 2009. Polska już dorosła?

MARK BRZEZINSKI: Relacje polsko-amerykańskie nigdy nie były bliższe, nigdy nie były mocniejsze i nigdy nie były ze sobą bardziej splecione niż obecnie. I to nie tylko z powodu wojny na Ukrainie. Amerykanie i Polacy od wieków walczą wzajemnie o swoją wolność. Chodziłem do szkoły w Wirginii Północnej, która nosiła imię Jamesa Fenimore’a Coopera, jednego z wielkich amerykańskich powieściopisarzy, który pisał o powstaniu listopadowym, aby wesprzeć Polaków, którzy walczyli o swoją niepodległość. Nie sposób nie wspomnieć o Ignacym Paderewskim, zasłużonym Polaku, który pracował wraz z Amerykanami nad tym, aby Polska mogła odzyskać niepodległość.

Obecnie nasze relacje są bliższe niż kiedykolwiek wcześniej, bo Polska jest już nie tylko suwerennym państwem, lecz także wyjątkowym przyjacielem Ameryki. Nasze relacje są dojrzałe i dobrze rozwinięte.

Obecny kryzys nie jest zaś tylko problemem Polski. To kwestia międzynarodowa i tak ją wspólnie traktujemy. Współpracujemy z polskim rządem tak, aby jak najlepiej chronić Polaków i mieszkańców regionu. Bardzo doceniamy przywódczą rolę, której podjął się obecny polski rząd. I skutecznie działamy razem, aby Polska była bezpieczna oraz by była zabezpieczona.

Mamy w Polsce myśliwce F-35, pierwszy raz w historii rozmieściliśmy tu system AEGIS. Mamy też wyrzutnie Patriot służące do ochrony kluczowych miejsc

eprasa.pl 63687049a4

Ambasador Mark Brzezinski: – Polska jest bezpieczna i jest dobrze zabezpieczona. Putin doskonale rozumie zaś, jakie konsekwencje dla Rosji miałby atak na NATO

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Tę wspólną historię walki o wolność Polaków i Amerykanów świetnie pokazują losy pańskiej rodziny. Pański dziadek, polski dyplomata Tadeusz Brzeziński, przeżył drugą wojnę światową zapewne dlatego, że rok przed jej wybuchem został wysłany na placówkę do Kanady. Pana ojciec jest w Polsce pamiętany jako doskonały strateg, który pomógł doprowadzić Związek Sowiecki do upadku. Chce się pan zapisać na kartach historii jako ten Brzeziński, który uratował Polskę przed rosyjską inwazją?

Jestem przyjacielem Polski, podobnie jak mój dziadek i mój ojciec. Warto wiedzieć, że w 1977 r., gdy Jimmy Carter był dopiero prezydentem elektem, a mój ojciec był świeżo mianowanym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego, jednym z pierwszych krajów na świecie, które odwiedzili prezydent elekt Carter, Rosalynn Carter wraz z moim ojcem była Polska. Polska była dla mojego ojca najważniejszym punktem odniesienia. I ja również wierzę w nasze relacje, które warte są wielkich inwestycji. Polacy są wyjątkowo utalentowani i mają ogromny, jeszcze nie do końca ujawniony potencjał.

Podziwiam postawę Polaków wobec kryzysu uchodźczego. Wszyscy podziwiamy Polaków, którzy pojechali na granicę, aby zabrać ukraińskich uchodźców do swoich domów i mieszkań. Mówię wszystkim dookoła, że mam szczerą nadzieję, iż w tym roku, gdy magazyn „Time” będzie wybierał Człowieka Roku, to połowę okładki zajmą ukraińscy żołnierze z ich przywódcą prezydentem Zełenskim, a drugą połowę zdjęcie młodej Polki lub młodego Polaka, jadących późnym wieczorem na granicę, aby odebrać ukraińską rodzinę i zapewnić jej lokum w Polsce.

Za tę ogromną hojność i za danie światu przykładu człowieczeństwa dziękujemy Polakom my wszyscy w Ameryce, nasz prezydent, wiceprezydent, przewodnicząca Izby Reprezentantów...

Zapewnia pan, że Polska jest bezpieczna. Również prezydent Biden wielokrotnie powtarzał, że NATO jest gotowe do obrony każdego skrawka terytorium Polski. Jak duże jest ryzyko, że Rosja jeszcze w tym roku spróbuje zaatakować Polskę lub kraje bałtyckie?

Nie mam pojęcia, co siedzi w głowie Putina. Wiemy, że na jego rozkaz rosyjscy żołnierze dokonali strasznych rzeczy i popełnili odrażające okrucieństwa. Dopiero zaczynamy dowiadywać się prawdy o krzywdach, które Putin i jego ludzie wyrządzili Ukrainie. Jaki będzie jego następny krok? Nie wiem. Chcę jednak kategorycznie podkreślić, że gdy prezydent Biden stwierdził w Warszawie, że Stany Zjednoczone będą bronić każdego skrawka terytorium NATO, czyli też Polski, mówił to z absolutnym przekonaniem. Fakt, że to samo powtórzyli też podczas wizyty w Polsce wiceprezydent Kamala Harris oraz przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, mówi sam za siebie: Polska jest bezpieczna i jest dobrze zabezpieczona. Putin doskonale rozumie zaś, jakie konsekwencje dla Rosji miałby atak na NATO.

W różnych polskich bazach, rozsianych po całym kraju, stacjonuje 12,5 tys. żołnierzy USA. To ponad 10 proc. wszystkich amerykańskich wojsk rozmieszczonych w Europie

Białoruskie siły zbrojne rozpoczęły w środę niespodziewane manewry. Część zachodnich informatorów ostrzega zaś, że 9 maja Putin może oficjalnie wypowiedzieć Ukrainie wojnę. Jak wpłynie to na bezpieczeństwo w Europie?

Co prawda, nie wiemy, co zrobi Putin, ale jesteśmy gotowi na każdy

eprasa.pl 63687049a4

scenariusz. Gdy mówimy, że jesteśmy gotowi bronić każdego skrawka NATO, to nie jest to czcze gadanie. Już teraz mamy w Polsce 12,5 tys. amerykańskich żołnierzy w różnych polskich bazach, rozsianych po całym kraju. To ponad 10 proc. wszystkich amerykańskich wojsk rozmieszczonych w Europie. Do tego mamy w Polsce najnowocześniejszy sprzęt, który może zostać wykorzystany. Mamy tu myśliwce F-35, po raz pierwszy w historii rozmieściliśmy w Polsce system AEGIS [służący do wykrywania, naprowadzania i kierowania ogniem – przyp. J.P.]. Mamy też wyrzutnie Patriot służące do ochrony kluczowych miejsc. Jesteśmy więc gotowi na każdy scenariusz, który wymyśli Władimir Putin.

Warto zrozumieć, że amerykańska armia nie reaguje spontanicznie czy odruchowo. Wszystkie nasze ruchy dokonywane są na podstawie niezwykle dokładnej oceny zagrożenia. Z niezwykłą precyzją umieściliśmy więc naszych ludzi i nasz sprzęt dokładnie tam, gdzie muszą być, aby zapewnić bezpieczeństwo Polsce i całemu NATO. Nasze działania opierają się na wyjątkowo wnikliwej i uważnej ocenie tego, co może zrobić druga strona.

Druga strona, czyli Władimir Putin oraz wysocy rangą przedstawiciele Rosji, wiele mówi o trzeciej wojnie światowej. Czy jesteśmy już jej świadkami czy może raczej mamy do czynienia z sytuacją porównywalną do kryzysu kubańskiego?

Trzeba pamiętać, że to Rosja i grupa skupiona wokół Putina mówią o trzeciej wojnie światowej. Ta sama grupa z Putinem na czele używa terminu „nuklearny". Tego nie robi się przypadkowo i bezcelowo. Gdy ktoś używa słowa „nuklearny", to – jak zauważył gen. Milley – musi być świadomy tego, jak poważne jest znaczenie tego terminu. Prezydent Biden zauważył, że nie można bezmyślnie odwoływać się do arsenału jądrowego. My z pewnością tego nie zrobiliśmy, a fakt, że druga strona zrobiła to już wielokrotnie, wiele mówi o ich zamiarach. I to jest przerażające. Nikt tego nie chce.

Jesteśmy gotowi na scenariusz, w którym Rosja używa taktycznej broni nuklearnej przeciw Polsce?

Polska jest członkiem NATO. NATO i USA są zaś przygotowane na każdą ewentualność.

Polska wciąż nie ma jednak na swoim terytorium głowic nuklearnych. Wicepremier i przewodniczący PiS Jarosław Kaczyński kilka tygodni temu jasno zadeklarował, że chciałby widzieć tego typu broń na naszym terytorium. Czy Ameryka rozważa przesunięcie w najbliższym czasie do Polski części swojego arsenału jądrowego w Europie w ramach NATO-wskiego porozumienia o współdzieleniu taktycznej broni nuklearnej?

Nic o tym nie słyszałem. Mogę powiedzieć, że współpracujemy z Polakami w zakresie kolektywnej obrony. Polacy są wyjątkowo skutecznymi partnerami, którzy świetnie wykorzystują interoperacyjność naszych różnych zasobów wojskowych. Naszym wspólnym celem jest zagwarantowanie, by mieszkańcy tego wspaniałego kraju byli bezpieczni i mogli zajmować się swoimi sprawami.

System zainstalowany w Redzikowie to najlepsza technologia w swojej klasie. Jestem całkowicie pewien, że będzie on w stanie zapewnić bezpieczeństwo, i zbliżamy się do jego uruchomienia

Lubię jeździć po Polsce i patrzeć, jak ludzie normalnie chodzą do szkół, do restauracji czy do pracy, i widzieć, że nie ma w nich niepokoju, troski i niepewności, które mogłyby towarzyszyć obecnej sytuacji. Wówczas widzę, że nasze wspólne zaangażowanie w kolektywną obronę działa.

Jednym ze sposobów, w jaki pomagamy Polakom demonstrować swą wielką hojność i człowieczeństwo, gdy przyjmują uchodźców do swoich domów i mieszkań, jest zapewnienie im bezpieczeństwa, aby ludzie byli spokojni. Jestem dumny, że kiedy wracam do Ameryki i rozmawiam z amerykańskimi mediami, mogę powiedzieć, że to była nasza cegiełka, że kolektywna obrona daje Polakom wolność od zmartwień, aby mogli pomagać innym mimo całego tragizmu obecnej sytuacji.

Stany Zjednoczone już od kilku lat budują bazę antyrakietową w Redzikowie koło Słupska. Kiedy zacznie ona działać i czy będzie w stanie w jakikolwiek sposób zwiększyć bezpieczeństwo nie tylko Stanów Zjednoczonych, lecz także Polski?

Redzikowo i Słupsk są częścią partnerskiego programu obrony, realizowanego wraz z Polską, w celu stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej AEGIS, chroniącego tę część świata przed atakami spoza Europy. Jest on już bliski uruchomienia. Jesteśmy dumni ze współpracy w dziedzinie obronności, której przykładem jest ten system, jeden z naszych najbardziej zaawansowanych systemów bezpieczeństwa obronnego. Mogliśmy go umieścić w dowolnym miejscu na świecie, ale wybraliśmy Polskę, ponieważ ufamy Polakom i wierzymy w was.

System zainstalowany w Redzikowie to najlepsza technologia w swojej klasie. Osobiście współpracowałem z inżynierami i z przedstawicielami resortu obrony, którzy są bezpośrednio odpowiedzialni za wdrożenie tego systemu. Jestem całkowicie pewien, że będzie on w stanie zapewnić bezpieczeństwo, i zbliżamy się do jego uruchomienia.

Sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych Lloyd Austin powiedział niedawno, że Ameryka chce na tyle osłabić Rosję, aby ta nie mogła więcej nikogo zaatakować. Jaki jest cel czy też innymi słowy: co Ameryka uzna za zwycięstwo w tym konflikcie?

Sekretarz obrony powiedział, że nie chcemy, aby Rosja mogła ponownie zaatakować i robić to, co robi obecnie w Ukrainie. To ważne, ponieważ to, co zrobili rosyjscy żołnierze, jest przerażające. Pamiętajmy, że mamy rok 2022 i słowa „nigdy więcej" powinny jednak coś znaczyć. Zwłaszcza w kontekście ludobójstwa czy łamania praw człowieka. Im więcej dowiadujemy się o rosyjskich zbrodniach, tym bardziej jesteśmy przerażeni. A przecież dopiero zaczynamy dochodzenie prawdy. Trzeba pamiętać, że ta wojna trwa 14 tygodni i już tyle się dowiedzieliśmy. A co dopiero będzie za rok! Te straszne rzeczy, które już się wydarzyły, są absolutnie nie do zaakceptowania. I taka była intencja wypowiedzi sekretarza Austina: nie chcemy, aby Rosja kiedykolwiek mogła zrobić ponownie coś podobnego.

Właśnie dlatego wspieramy ukraińskich żołnierzy. A ostateczną definicją naszego celu jest całkowite zwycięstwo Ukraińców. Umożliwienie im wyrzucenia z Ukrainy rosyjskich najeźdźców, rosyjskich napastników. Będziemy ich wspierać dopóty, dopóki im się to nie uda. Niezależnie od tego, jak długo to będzie trwało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Teoria prezentowana przez Antoniego Macierewicza zawiera logiczne luki

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

„Polegli w Smoleńsku"? To nie chwyci

Rafał A. Ziemkiewicz

W czasie, kiedy Ukraina zyskuje narodowy założycielski mit, Polska właśnie swoje dotychczasowe mity straciła. Przewaga PiS nad obozem lewicowo-liberalnym polega na tym, że próbuje dla nas nowy mit zbudować. Słabość – na tym, że tragedia w Smoleńsku, którą chce uczynić jego podstawą, zwyczajnie się do tego nie nadaje

Problem, z punktu widzenia narodowego „rządu dusz", nie polega nawet na tym, że narracja o zamachu Putina, niezbędna, by uwznioślić śmierć prezydenta Kaczyńskiego i delegacji, jest pełna logicznych sprzeczności i trudna do obronienia (choć oczywiście jest, pisaliśmy i mówiliśmy o tym wielokrotnie). Tym, co ma przekonać Polaków, by uwierzyli w „zbrodnię smoleńską", wymiennie zwaną też przez PiS-owskich mitotwórców „drugim Katyniem", są drobiazgowe analizy fotografii, na których uwieczniono sposób rozrzucenia w miejscu katastrofy szczątków samolotu oraz przekonanie, upowszechnione zwłaszcza po agresji na Ukrainę, że Putin jest zdolny do każdej zbrodni.

Zarzucenie laika tysiącem szczegółów w rodzaju kąta, pod jakim wbiły się w ziemię drzwi prezydenckiej salonki, może go zniechęcić do podejmowania sporu, ale nie przekonuje, bo nie wyjaśnia elementarnej logiki domniemanego zamachu. Zbierzmy to jeszcze raz pokrótce.

PROBLEMY Z TEORIĄ ZAMACHU

Przyjmijmy, że Putin postanowił dokonać zamachu na prezydenta Polski w zemście za to, że ten uniemożliwił był mu zajęcie Tbilisi i publicznie rzucił mu tam wyzwanie. Przypuśćmy, że jako sposób zamachu wybrano podłożenie w polskim samolocie bomb. Dlaczego nie wystarczała do tego jedna bomba, tylko dwie? Ta liczba wybuchów, jak rozumiem, wynika z rozłożenia szczątków samolotu, które wskazywać ma na jego stopniowy rozpad w dwóch fazach – ale hipotetyczny zamachowiec nie kierowałby się przecież potrzebą osiągnięcia na ziemi odpowiedniej kompozycji. Dwa ładunki wybuchowe – zwłaszcza jeśli, jak twierdzi Antoni Macierewicz, podłożono je na wiele

eprasa.pl 63687049a4

miesięcy przed feralnym lotem, podczas remontu w Samarze – to ani odrobinę większa skuteczność, a za to dwa razy większe ryzyko wykrycia bomb podczas rutynowej kontroli pirotechnicznej, którą teoretycznie przechodzić powinien samolot przed każdym lotem.

Głównym problemem teorii zamachu jest jednak to, że katastrofa nastąpiła w unikalnych okolicznościach, których żaden zamachowiec nie mógłby przewidzieć. Gdyby nad lotniskiem nie zalegała mgła, gdyby samolot podchodził do lądowania normalnie, nie nad jarem, w którym zszedł poniżej poziomu płyt lotniska, wybuchy i rozpad maszyny w powietrzu dokonałyby się na oczach licznych świadków (i licznych satelitów szpiegowskich, bo formalnie zamknięte lotnisko w Smoleńsku było używane do nielegalnego handlu bronią, co dodatkowo zmniejsza prawdopodobieństwo wybrania właśnie takiego miejsca na zamach). Czy gdyby na Siewiernym była tego dnia piękna pogoda, Rosjanie mimo wszystko zdetonowaliby podłożone w tupolewie ładunki czy samolot dalej latałby z nimi?

Aby zamach się powiódł, nie wystarczały więc same eksplozje, musiały one jeszcze nastąpić w takim właśnie miejscu – stąd hipoteza dwóch wybuchów musi być uzupełniona hipotezą celowo złego naprowadzania. Ale przecież piloci nie daliby się sprowadzić nad jar, gdyby mieli kontakt wzrokowy z ziemią. Oczywiście można wytworzyć mgłę w sposób sztuczny (każda jednostka wojskowa ma takie agregaty), ale że nie jest to naturalna mgła, widać byłoby jasno na zdjęciach ze wspomnianych satelitów. Poza tym, gdyby montując ładunki termobaryczne podczas remontu w Samarze, zamachowcy mieli pewność, że uda się tupolewa ściągnąć we mgle nad porośnięty lasem jar poniżej poziomu bezpiecznego zniżania, zrezygnowaliby z ich zakładania, uznawszy, że w takiej sytuacji samolot rozbije się już bez żadnych wybuchów.

Teorię zamachu trudno też pogodzić z tym, że bezpośrednio po katastrofie Rosjanie sami zaproponowali międzynarodowe śledztwo. Do wybuchów i celowego sprowadzenia nad jar przez kontrolerów trzeba więc dodać jeszcze teorię o świadomym współudziale w spisku Donalda Tuska, bo tylko to dawałoby gwarancję prezydentowi Miedwiediewowi, że złożona przez niego propozycja zostanie przez polskiego premiera wbrew elementarnym polskim interesom odrzucona.

Ale, jako się rzekło, dla budowania mitu ani fakty, ani logika nie mają decydującego znaczenia. Wiele z naszych narodowych legend (zresztą nie tylko naszych) jest zupełnie kontrfaktycznych – Legiony np. wcale nie były stworzone ani dowodzone przez Piłsudskiego, ich wpływ na przebieg wojny, nawet na szczeblu taktycznym, był niezauważalny, nie dotrwały do roku 1918 i nawet po odtworzeniu stanowiły tylko drobną część zbudowanej przez Rozwadowskiego i Zagórskiego armii, a nie przeszkodziło to zbudować piłsudczykom do dziś żywego mitu o „czynie legionowym", który rzekomo przyniósł Polsce niepodległość.

Teorię zamachu trudno też pogodzić z tym, że bezpośrednio po katastrofie Rosjanie sami zaproponowali międzynarodowe śledztwo. Do wybuchów i celowego sprowadzenia nad jar przez kontrolerów trzeba więc dodać jeszcze teorię o świadomym współudziale w spisku Donalda Tuska

Podstawowe przeszkody w uczynieniu opowieści o „poległych w Smoleńsku" narodowym mitem mają charakter antropologiczny. Nie trzeba wielkiej kulturoznawczej wiedzy, żeby znać typowe cechy prometejskich mitów założycielskich i warunki, jakie muszą one spełniać. Przede wszystkim bohater czy bohaterowie mitu muszą ginąć w sposób heroiczny, walcząc o wspólne dobro i wskazując swą śmiercią misję, którą mają kontynuować potomni.

W wypadku Lecha Kaczyńskiego od razu pojawia się ten zasadniczy problem, że – może to zabrzmi dziwnie, ale mówię to w sensie antropologicznym – w Smoleńsku nie do końca on zginął. Zginął faktycznie, ale symbolicznie żyje nadal w osobie brata bliźniaka, który pozostaje centralną postacią bieżącej sceny politycznej, a więc i głównym obiektem generowanych przez politykę namiętności i sporów. Jako nie do końca przeniesionego do Walhalli nie da się więc Lecha „ubrązowić" czy też „uspiżowić", bo każda taka próba wywołuje energiczną kontrakcję środowisk wobec Jarosława Kaczyńskiego opozycyjnych. Im mocniej próbuje PiS wprowadzić Smoleńsk do debaty publicznej, tym bardziej namiętną wywołuje kontrreakcję, czego niedawnym przejawem było groteskowe oburzenie lewicowo-liberalnych autorytetów uruchomieniem w rocznicę tragedii syren.

Wyparcie pamięci o Smoleńsku, agresja wobec stawianych przez PiS pomników, niechęć wobec samych ofiar nie są dziś w Polsce niszowymi, odosobnionymi emocjami. Ten syndrom, który nazwałem kiedyś „oplutą Antygoną", wynika z autentycznych emocji społecznego przesilenia, które przeżywamy i jeszcze przez jakiś czas przeżywać będziemy, ze strachu zakwestionowanej przez PiS w swej elitarności elity III RP i grup społecznych do niej aspirujących przed uzyskaniem przez PiS potężnej przewagi w symbolach. Stąd żenująca skądinąd wojna z wawelskim pochówkiem, wskutek którego obóz Kaczyńskiego nie tylko przełamał stanowiący oczko w głowie lewicowo-liberalnych salonów dyktat w dziedzinie „dystrybucji szacunku", lecz także od razu zyskał przy tym „swój" sarkofag w najbardziej prestiżowej narodowej nekropolii, podczas gdy obóz przeciwny swoich bohaterów ma tylko na krakowskiej Skałce i warszawskich Powązkach.

Ten strach sprawia, że dla pewnego wcale rozległego segmentu elektoratu obietnica, iż nie dopuści się do stawiania Kaczyńskiemu pomników ani nazywania jego imieniem ulic, jest ważniejszym argumentem w wyborach niż obietnica likwidacji korupcji czy naprawienia służby zdrowia.

LOGIKA JĘZYKA

Na użytek budowanego mitu środowiska związane z PiS próbowały dokonać zreinterpretowania pojęcia „polec". Nie chodzi w tym wcale, jak się to błędnie niektórym wydaje, o podkreślenie, że tragedia była skutkiem zaplanowanego i przeprowadzonego z zimną krwią mordu. Ofiary zamachów i zbrodni nie są w polszczyźnie „poległymi", nie mówimy przecież o „poległych w Auschwitz" czy

eprasa.pl 63687049a4

„poległych w World Trade Center". Chodzi o to, że całe nasze narodowe imaginarium roi się od poległych, więc uznając za poległych bohaterów mitu smoleńskiego, automatycznie wprowadzilibyśmy ich do narodowego panteonu.

Była to jednak daleko idąca ingerencja w logikę języka. „Poległym" nazywamy kogoś, kto zginął, świadomie podejmując ryzyko śmierci, kto w imię wartości świadomie naraził swoje życie – dlatego w zasadzie słowo to zarezerwowane jest dla żołnierzy ginących w walce. Ponieważ niekiedy używa się go także wobec ginących na służbie funkcjonariuszy państwowych, jak policjanci czy strażacy, pojawiła się interpretacja, że uczestnikom delegacji do Smoleńska przysługuje to określenie, ponieważ lecieli do Katynia w ramach służby państwowej. Ten argument też raczej nie przebił się do publicznej świadomości.

Aby nie dłużyć, odnotujmy jeszcze jedną przyczynę, dla której tragiczna katastrofa, mimo jej rozmiarów i rangi ofiar, nie ma potencjału mitotwórczego. Mit musi uczyć tych, którzy go wyznają, czegoś dobrego o nich samych. Dlatego najlepiej się do zmitologizowania nadają zwycięstwa, a jeśli klęski, to takie, w których można znaleźć wzór bezprzykładnego heroizmu i poświęcenia. Natomiast nie nadają się do tego wydarzenia, które na szukającą mitu zbiorowość rzucają cień. Tragedii w Smoleńsku towarzyszyło zbyt wiele przejawów „polskiego piekła" – kłótnie o pierwszeństwo, prowadzące do rozdzielenia wizyt premiera i prezydenta, żenujące zabieranie prezydentowi samolotu, bałagan i bylejakość w specjalnym pułku lotniczym oraz przy organizacji lotu (zwróćmy uwagę, że pojęcie „tupolewizm", w przeciwieństwie do „poległych w Smoleńsku", bardzo łatwo się w potocznej polszczyźnie zadomowiło i wszyscy wiedzą, co ono oznacza), wreszcie zupełnie pętackie zachowanie polskiego rządu po tragedii i żałosne kłamstewka Ewy Kopacz o „przekopywaniu ziemi na metr w głąb"… Sprawia to wszystko, że odruchem przeciętnego Polaka, nieuczestniczącego w plemiennej wojnie PiS z PO, jest raczej reakcja „ciszej nad tą trumną" niż patriotyczne uniesienie.

MIT TYLKO WEWNĘTRZNY?

Może ktoś zwrócić uwagę, że temperatura politycznego sporu jest u nas tak gorąca, iż żaden mit, nawet najdoskonalej pasujący do antropologicznych wzorców, nie ogarnie dziś wszystkich mieszkańców Polski: zbyt silny jest odruch urbanowo-palikociarskiego „panświnizmu" upadających, ale wciąż silnych instytucjonalnie elit lewicowo-liberalnych. Zobaczmy, z jaką agresją traktują np. Jana Pawła II czy Żołnierzy Wyklętych. To oczywiście prawda, ale każdy mit zawsze będzie miał swoich szyderców i nienawistników: chodzi o ową „milczącą większość", która przeżyła po Smoleńsku głęboką, ale krótką żałobę i na próby jej przedłużenia okazała się odporna.

Próba podniesienia „zbrodni smoleńskiej" do rangi narodowego mitu jest równie chybiona jak podejmowane przez poprzednią władzę próby zbudowania legendy Lecha Wałęsy czy świętowania rocznicy „zwycięskich" kontraktowych wyborów 4 czerwca

Może więc „zamach smoleński" może stać się przynajmniej formacyjnym mitem wewnętrznym, który scementuje PiS i nada mu spójność „obozu patriotycznego", w który partia ta próbuje się przekształcić? Nawet tak skromny sukces wydaje się mało prawdopodobny. Po tym, jak potężnego wsparcia narracji „drugiego Katynia" udzielił sam Jarosław Kaczyński, żaden z liczących się polityków jego partii nie waży się tej narracji otwarcie krytykować – ale trudno doprawdy wskazać przykłady entuzjazmu w podążaniu za nią. Politycy PiS, poza tymi, którym do Macierewicza blisko, nabrali wody w usta. Nie mówiąc już o tym, że ogłoszenie po raz kolejny „ostatecznego raportu" Macierewicza, który zresztą zniknął z rządowych stron internetowych po niecałych dwóch dniach, nie pociągnęło za sobą żadnych działań instytucji państwowych, które, gdyby istniały realne dowody na zamach, narzucałyby się jako oczywiste.

Oczywiście politycy czy liderzy opinii związani z obozem władzy wiedzą, jak ważna jest pamięć o bracie dla Jarosława Kaczyńskiego, i wielu demonstracyjnie uczestniczy w różnych rytuałach, symbolicznie uwznioślających jego śmierć. Nic z tego jednak, poza ewentualnym zwróceniem na siebie uwagi prezesa, nie wynika. Paradoksalnie, nawet jako oręż rzekomej „gry trumnami", tak często zarzucanej Kaczyńskiemu przez opozycję, narracja o „dwóch wybuchach" jest bezużyteczna, a wręcz przeciwskuteczna. Skoro bowiem wybuchło – to wszystkie zaniedbania przed tragedią i zwłaszcza po niej, za które w normalnym kraju Tusk i kilku jego ministrów siedzieliby dziś w więzieniu, tracą na znaczeniu, a wręcz znikają z pamięci, przykryte przez teorie Macierewicza i szyderstwa z niej.

Mówiąc krótko, próba podniesienia „zbrodni smoleńskiej" do rangi narodowego mitu jest równie chybiona jak podejmowane przez poprzednią władzę próby zbudowania legendy Wałęsy czy świętowania rocznicy „zwycięskich" kontraktowych wyborów 4 czerwca. Jako człowiek przez wiele lat zaangażowany w próby budowy w Warszawie Łuku Triumfalnego na stulecie Cudu nad Wisłą mogę tylko wyrazić żal, że w udaremnieniu tej akurat inicjatywy skłócone w każdej innej sprawie PO i PiS okazały się zdumiewająco zgodne. A przecież inaczej brzmiałyby dziś słowa o konieczności pokonania Rosji i wsparciu dla walczącej Ukrainy, gdyby polscy przywódcy mogli wygłosić je w miejscu upamiętniającym „dziewiętnastą decydującą bitwę w dziejach świata" i wielki sukces państwa polskiego, które świeżo po swym odrodzeniu pokonało odwiecznego wroga, ocalając przed nim nie tylko siebie, lecz także całą Europę.

Ale to tylko gorzka dygresja. Dziś po prostu stosownego do obecnych czasów mitu nie mamy i tyle. „Ciepła woda w kranie" czy „bycie w Europie" to za mało, by uzasadnić istnienie i suwerenność narodu, i za mało, by naród ten miał czym przekonać sam siebie, że warto za te wartości dać cokolwiek więcej niż, mówiąc słowami Piłsudskiego, „dwa grosze i dwie krople krwi". Może po prostu wystarcza nam, że możemy czuć się wspólnotą tylko wtedy, gdy jakiś Polak albo Polka wygrają w turnieju sportowym?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Koniec tej fikcji?

Łukasz Warzecha

FOT. ADOBE STOCK

Czas na gruntowne uporządkowanie ładu prawnego wokół broni. Kolejne łatanie PRL-owskiej w duchu ustawy sprawi, że szybko pojawią się znów wątpliwości interpretacyjne, niejasności, punkty zaczepienia dla przeciwników posiadania broni. Nie ma żadnego uzasadnienia dla legislacyjnej bylejakości

Jedną z dobrych rzeczy, które mogłyby wyniknąć z wojennej atmosfery, byłoby uporządkowanie kwestii dostępu do broni w Polsce. Dziś panuje bowiem bałagan i dominuje absurd, do niedawna podszyty niemal powszechną społeczną hoplofobią, czyli irracjonalnym sprzeciwem wobec posiadania broni. Hoplofobia pod wpływem wydarzeń na Ukrainie nieco osłabła, otwiera się więc okno możliwości. Niestety, mamy w tej sprawie nadmierny urodzaj, do Sejmu trafiły bowiem dwa konkurencyjne i mocno różniące się projekty.

Najpierw wypada przypomnieć kontekst i fakty.

Polska jest wciąż najbardziej rozbrojonym krajem w Europie. W Polsce na 100 mieszkańców przypada – według najbardziej miarodajnej globalnej statystyki Small Arms Survey – 2,51 sztuki broni. Następna w kolejności jest Rumunia, ale tam to już 2,63 sztuki broni na 100 mieszkańców. Wyprzedzają nas znacząco nawet tak rozbrojone kraje jak Wielka Brytania, gdzie większość policjantów chodzi bez broni, a na ulicy nie można mieć nawet większego scyzoryka – 4,64, nie mówiąc o Niemczech – 19,62 – czy Skandynawii: 28,82 w Norwegii, 23,14 w Szwecji, aż 32,36 w Finlandii. Tu ważna uwaga: liczba sztuk broni na 100 mieszkańców nie oddaje liczby faktycznych posiadaczy broni, ponieważ w kilku kategoriach pozwoleń – m.in. do celów sportowych czy kolekcjonerskich – zwykle ma się po kilka, kilkanaście, a czasem nawet kilkadziesiąt sztuk broni. Pod koniec 2021 r. było w naszym kraju ok. 132 tys. osób z pozwoleniem do celów łowieckich, posiadających łącznie ponad 356 tys. sztuk broni, ok. 44 tys. z pozwoleniem do celów sportowych (tu widać bardzo dynamiczny wzrost), posiadających ponad 123 tys. sztuk broni, ok. 40 tys. z pozwoleniem kolekcjonerskim (132 tys. egzemplarzy broni) i tylko 31 tys. z pozwoleniem do ochrony osobistej. Ta ostatnia liczba w niektórych latach nawet spadała, bo policja potrafiła więcej takich pozwoleń odbierać, niż przyznawać.

NONSENSY PRAWNE

Polska, mimo antycznej ustawy, wielokrotnie zmienianej, ma jednak – o czym mało kto wie – pewną przewagę nad częścią państw z dużym nasyceniem bronią. W Skandynawii, Niemczech, we Francji stosunkowo łatwo wejść w posiadanie broni gazowej, tępionych w Polsce przez policję rewolwerów lub pistoletów na amunicję hukową o kalibrze 9 mm czy broni myśliwskiej, ale już dużo trudniej zdobyć pozwolenie na posiadanie broni krótkiej bojowej czy nawet małego kalibru albo pistoletu maszynowego, czyli tzw. broni samoczynnej, oczywiście przerobionej na wyłącznie samopowtarzalną (a więc bez możliwości strzelania seriami). Tymczasem w Polsce w ramach pozwolenia sportowego albo kolekcjonerskiego takich ograniczeń szczęśliwie nie ma, a w dodatku bez pozwolenia, a nawet rejestracji można posiadać broń czarnoprochową. Co więcej, zgodnie z obowiązującymi przepisami strzelcy sportowi, a nawet kolekcjonerzy mogą również swoją broń nosić „w sposób jak najmniej widoczny, w kaburze przylegającej do ciała" (cytat z rozporządzenia) z podpiętym i załadowanym magazynkiem. Zgodnie z rozporządzeniem obowiązują ich takie same zasady noszenia broni jak osoby posiadające zezwolenie do ochrony osobistej.

Politycznie klimat natomiast strzelcom wciąż nie sprzyja. Jarosław Kaczyński wielokrotnie stwierdzał publicznie, że Polacy do posiadania broni nie dojrzeli. Pod okiem ministrów spraw wewnętrznych w Komendzie Głównej Policji nieraz inicjowano po cichu działania mające na celu przepchnięcie przepisów utrudniających obywatelom dostęp do broni. Zresztą ostatnia ważna nowelizacja prawa do posiadania broni miała miejsce za Platformy Obywatelskiej. Wówczas, w 2011 r.,

eprasa.pl 63687049a4

zniesiono uznaniowość w przyznawaniu pozwoleń do celów sportowych i była to prawdziwa rewolucja. Nic podobnego za PiS się nie wydarzyło.

Mało tego, były próby wręcz odwrotne. Do najpoważniejszej doszło w 2018 r. Wówczas w środku wakacji w resorcie spraw wewnętrznych stworzono nowelizację Ustawy o wykonywaniu działalności gospodarczej w zakresie wytwarzania i obrotu materiałami wybuchowymi, bronią, amunicją oraz wyrobami i technologią o przeznaczeniu wojskowym lub policyjnym, dotyczącej rusznikarzy, sklepów z bronią i podobnych podmiotów. W projekcie zaszyto bardzo głębokie zmiany w Ustawie o broni i amunicji, które poważnie ograniczałyby prawa posiadaczy broni. Na szczęście zrobiła się awantura, osobiście interweniował ówczesny szef MSWiA Joachim Brudziński i projekt upadł. Podobno minister miał problemy z ustaleniem, kto ten projekt zainicjował.

W tamtej kadencji klub Kukiz'15 proponował projekt całkiem nowej ustawy. Ten, który trafił do parlamentu obecnie i który ma poparcie kilkunastu posłów PiS, choć wnioskodawcą jest Kukiz, bazuje właśnie na tamtym, ale jest poprawiony i uzupełniony. Drugi projekt jest natomiast autorstwa Republikanów, czyli partii Adama Bielana. Podejścia zaprezentowane przez wnioskodawców są bardzo odmienne.

Pierwsza fundamentalna różnica jest taka, że projekt Kukiz'15 to całkowicie nowa, napisana od zera ustawa, a projekt Republikanów to jedynie łaty na ustawie dotychczasowej. Z tym łączy się bardzo ważna kwestia: jedynie projekt Kukiza zrywa ostatecznie z absurdem pozwoleń „do celu", przyjmując podział na kategorie broni zawarte w aktualnej dyrektywie unijnej. O co tu właściwie chodzi?

W polskim prawie od dziesięcioleci rządzi nonsensowny podział pozwoleń na broń nie według jej rodzaju, lecz według celu, któremu broń ma służyć. W ten sposób ten sam, dajmy na to, Glock 19 może być bronią do ochrony osobistej, sportową albo kolekcjonerską. A nawet w pewnym okresie mógł być bronią myśliwską, bo przez jakiś czas wydawano również pozwolenia na broń krótką do celów łowieckich, do dostrzeliwania zwierzyny. W teorii – choć jest to egzekwowane tylko w przypadku nadgorliwych jednostek policji – jest więc tak, że posiadacz tegoż Glocka do celu ochrony osobistej albo do celów kolekcjonerskich nie może z nim wystartować w zawodach. Z kolei strzelec sportowy w zasadzie nie powinien swojej broni nosić na co dzień, bo przecież ma pozwolenie do celów sportowych, a nie ochrony osobistej. Mimo że rozporządzenie właściwie mu na to pozwala, ale ustawa już niekoniecznie.

Jest to oczywiście jedna wielka fikcja. Wiele osób traktuje dziś najprostsze do zdobycia i utrzymania pozwolenie do celów sportowych jako drogę do zdobycia broni służącej faktycznie do ochrony osobistej. Zawodów w roku odbębniają tylko tyle, ile jest konieczne, by nie stracić licencji zawodniczej, a tym samym pozwolenia.

DWA PROJEKTY

W 2017 r. w UE przyjęto powszechnie krytykowaną w środowiskach strzeleckich dyrektywę w sprawie kontroli nabywania i posiadania broni, zwaną „dyrektywą Bieńkowskiej", od nazwiska ówczesnej polskiej komisarz, która ją firmowała, aczkolwiek o tematyce broni nie miała zielonego pojęcia. Dyrektywa przechodziła od tego czasu zmiany – obecna wersja pochodzi z marca 2021 r. i ostateczny kształt przepisów jest lepszy, niż wiele osób się obawiało. Dyrektywa wprowadziła podział broni na trzy kategorie: A – broń, której cywilom posiadać nie wolno, B – broń wymagającą pozwolenia oraz C – broń wymagającą rejestracji (oświadczenia). Polska jest zobowiązana do implementacji dyrektywy m.in. poprzez harmonizację kategorii broni. Dziś mamy chaos. Wspomniana wcześniej Ustawa o obrocie materiałami wybuchowymi i bronią używa już kategorii unijnych, ustawa o broni i amunicji – nie. Projekt Kukiz'15 wprowadza unijne kategorie, projekt Republikanów wprowadza natomiast zamieszanie, bo utrzymuje pozwolenia do celu, ale jednocześnie odwołuje się do ustawy o obrocie i istniejących tam kategorii.

Odejście od nonsensu pozwoleń do celu to konieczna i potrzebna rewolucja. Posiadacz broni wreszcie bez problemu mógłby się nią posługiwać do dowolnego celu (w granicach prawa oczywiście), nie martwiąc się, czy nie przyczepi się do niego jakiś nadgorliwy policjant. Ma to jednak również znaczenie polityczne. Jeżeli do naszego prawa nie zostanie w końcu implementowana unijna dyrektywa, to będzie to zawsze pretekst dla niechętnych posiadaczom broni środowisk, aby postulować kolejną nowelizację, tym razem niekorzystną. Dlatego tę kwestię należy zamknąć raz na zawsze.

Przy tym projekt Kukiza całkowicie i bez wątpliwości odchodzi od policyjnej uznaniowości. Pozwoleniami nadal zajmuje się policja, ale po spełnieniu przez obywatela obiektywnych kryteriów pozwolenie musi wydać. Projekt Republikanów tego nie gwarantuje w kategorii pozwoleń do ochrony osobistej.

Część osób chcących większego dostępu do broni twierdzi, że projekt Kukiza ogranicza prawo do posiadania i noszenia broni. To nieprawda. Projekt Republikanów pozostawia bowiem nietknięty przepis, pozwalający policji ograniczyć możliwość noszenia broni przez konkretną osobę. Projekt Kukiza tę możliwość policji odbiera i wprowadza czytelne kryterium. Jeśli ktoś chciałby posiadać i nosić broń kategorii B (krótką), ma do wyboru: pięć lat posiadania pozwolenia w kategorii C albo, jeśli nie chce czekać, wystandaryzowany egzamin na kategorię B.

Jedynie projekt Kukiza ujmuje w ustawie dwie kwestie, dotąd zapisane w rozporządzeniu: zasady przechowywania broni oraz jej noszenia. To ważne, bo rozporządzenie można zmienić jednym podpisem ministra, a zmiana ustawy to już znacznie trudniejsza rzecz.

NIE CZAS NA BYLEJAKOŚĆ

Zwolennicy podejścia Republikanów – np. Jacek Hoga, prezes fundacji Ad Arma – dowodzą, że nie czas na drobiazgowe klasyfikacje prawne i dzielenie włosa na czworo. Tu się mylą: to jest właśnie czas na gruntowne uporządkowanie ładu prawnego wokół broni. Kolejne łatanie PRL-owskiej w duchu ustawy sprawi, że szybko pojawią się znów wątpliwości interpretacyjne, niejasności, punkty zaczepienia dla przeciwników posiadania broni, podchody w KGP i MSWiA – obie instytucje są posiadaczom broni niechętne. Na końcu zaś będzie następna zmiana ustawy, tym razem w niekorzystnym kierunku. Nie ma żadnego uzasadnienia dla legislacyjnej bylejakości.

Można się jednak obawiać, że ostatecznie nie zmieni się nic. Rządzący, od początku sprawowania władzy nieprzychylni wobec choćby najlżejszej liberalizacji prawa do posiadania broni, wzmożenie wojenne przeczekają, kierując oba projekty do komisji, gdzie te doleżą do końca kadencji Sejmu, i sprawa upadnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Początek procesu Justyny W. w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga, oskarżonej o pomoc w aborcji

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Koniec bezkarności?

Zuzanna Dąbrowska

„Niech pomaganie sobie nawzajem w aborcjach stanie się nową polską tradycją" – nawołuje Aborcyjny Dream Team. Organizacja staje w obronie swojej współzałożycielki Justyny W., oskarżonej o pomocnictwo w zabiciu dziecka nienarodzonego. Czy ten przełomowy proces zakończy bezkarność aborcjonistów w Polsce?

Proces Justyny W. rozpoczął się 8 kwietnia. Dotyczy wydarzeń z 2020 r. Działaczka Aborcyjnego Dream Teamu (ADT) jest oskarżona o pomoc przy dokonaniu aborcji. Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła postępowanie w odpowiedzi na zawiadomienie złożone przez ojca dziecka (według relacji mediów lewicowo-liberalnych stosował wobec żony przemoc), które miało zostać uśmiercone. Matka chciała dokonać aborcji w zagranicznej klinice wbrew woli ojca. Mężczyzna nie zgadzał się na zabicie wspólnego dziecka. Miał zapowiadać, że jeśli kobieta przekroczy granicę z ich pierwszym synem, to zgłosi porwanie na policję. Ciężarna zwróciła się o tabletki do Aborcji Bez Granic. Ze względu na pandemiczne opóźnienia nie dotarły. Wtedy pigułki poronne przekazała jej pocztą Justyna W. Ojciec dziecka, dowiedziawszy się o przesyłce, postanowił wezwać policję, z którą czekał na powrót żony z kopertą. I tak w konsekwencji W. zasiadła na ławie oskarżonych. Sama ciężarna nie złamała prawa, a w całej sprawie jest świadkiem.

Oskarżona tłumaczyła w jednym z wywiadów, że „musiała pomóc, bo zna przemoc". Justyna W. przekonuje, że nie interesuje jej polityka – chce „bezinteresownie wspierać osoby, by mogły godnie przerwać ciążę". Jest matką trojga dzieci. Nie ukrywa, że sama dokonała aborcji, co pomogło jej odejść od „przemocowego partnera". Bez ogródek przyznaje, że kiedyś uważała, iż do aborcji potrzebny jest ważny powód; teraz twierdzi, że to nie jej sprawa, „kto, kiedy i dlaczego przerywa ciążę". Justyny W. nie obchodzi też, czy procedura jest zgodna z prawem.

PRECEDENS COŚ ZMIENI?

Przestępstwo polegające na pomocy w aborcji zostało określone w art. 152 §2 Kodeksu karnego. Pomoc i nakłanianie kobiety do zabicia dziecka jest zagrożone karą trzech lat więzienia. Nie jest to więc wymysł pro-liferów czy „katolibanu". Dura lex, sed lex. Instytut Ordo Iuris, który bierze udział w postępowaniu jako strona społeczna, wskazuje, że sprawa Justyny W. daje nadzieję na zakończenie funkcjonowania biznesu aborcyjnego w Polsce.

Dotychczas wymiar sprawiedliwości, mimo wpływających zawiadomień, nie wszczynał postępowań w sprawach dotyczących pomocnictwa w zabijaniu dzieci nienarodzonych. Jest więc szansa, że dojdzie do precedensu, który ukróci

eprasa.pl 63687049a4

łamanie prawa. Jak przyznaje oskarżona aktywistka, do tej pory ADT miał niewielkie problemy z prawem: „Oczywiście były, ale incydentalne. Podam przykład – ktoś, widząc naklejkę z numerem Aborcji Bez Granic, zgłosił sprawę na policję. Kontaktował się z nami funkcjonariusz i pytał, czy to my rozklejałyśmy wlepki, po czym sprawę umorzono".

O tym, jak dalece aktywiści aborcyjni z Aborcyjnym Dream Teamem na czele czują się bezkarni, świadczą treści udostępniane na profilach tej organizacji w mediach społecznościowych. W dniu rozpoczęcia procesu, po złożeniu wyjaśnień w sądzie, Justyna W. kontynuowała swoją działalność. „Pytacie, jak Justyna. Więcej powiemy później, bo Justyna oczywiście od razu zaczęła odbierać aborcyjny telefon i już ma dyżur" – relacjonuje ADT na Facebooku. Oczywiście do wpisu dołączono informację o tym, gdzie zamówić tabletki poronne.

Napisać, że aborcjoniści śmieją się państwu w twarz, to nic nie napisać. „Jeździmy po Polsce i rozmawiamy o aborcji farmakologicznej oraz o innych metodach przerywania ciąży. Robimy to, bo jest to ważne i potrzebne. Chcemy z tą wiedzą docierać jak najszerzej – poprzez spotkania, warsztaty i przez Internet, publikacje oraz obecność w mediach" – organizacja nie ukrywa i nigdy nie ukrywała swoich celów i metod działania. ADT uruchomił stronę internetową, na której podpowiada, jak wyrazić solidarność z Justyną W. Oczywiście namawia także do wpłacania pieniędzy: „Ty też możesz zostać aborcjonistką! Jedną z form wsparcia naszego działania jest pomoc finansowa. Zachęcamy Cię do dorzucenia się do naszych działań". Aktywiści wiedzą, jak obchodzić prawo. Aborcyjny Dream Team nie wysyła tabletek. Są one nadawane przez organizacje zarejestrowane w Kanadzie i w Holandii.

Aborcjoniści zaprzeczają sami sobie – twierdzą, że legalna aborcja jest lepsza niż rygorystyczne prawo, ponieważ zlikwiduje „podziemie aborcyjne", a to z kolei sprawi, że procedura będzie bezpieczniejsza dla kobiet (podobny argument przywołują zwolennicy legalizacji tzw. miękkich narkotyków: lepiej, żeby na sprzedaży marihuany zarabiało państwo i żeby było wiadomo, co się pali). Tylko przecież nie ma mowy o żadnym „podziemiu". Organizacje aborcyjne prowadzą swoją działalność przy zapalonym świetle. Osoby pokroju Justyny W. nie przemykają ciemnymi uliczkami w długim płaszczu, tylko brylują w mediach lewicowo-liberalnych, udzielają wywiadów i są kreowane na wybawicieli kobiet z opresji patriarchatu. Działaczki ADT weszły do mainstreamu, stając się celebrytkami – przypomnijmy słynną okładkę „Wysokich Obcasów", na której Natalia Broniarczyk (liderka organizacji) zapozowała z koleżankami, m.in. właśnie z oskarżoną dziś Justyną W., w cukierkowej oprawie pod hasłem „Aborcja jest OK". Choć od opublikowania okładki minęły zaledwie cztery lata, to wydaje się, że aborcyjne pranie mózgów odniosło sukces.

ROLA MĘŻCZYZN

W całej tej sprawie warto zwrócić uwagę na pomijany przez aborcjonistów, ale bardzo istotny wątek – prawo ojca do decydowania o dziecku. Według dewizy „moje ciało, moja sprawa" tylko kobieta może podejmować decyzję. Dziecko jest jej własnością, bo stanowi część jej ciała (na ten niewielki szczegół, że przecież jedno ciało nie ma dwóch serc i dwóch układów nerwowych, aktywiści nie zwracają uwagi). Mężczyzna jest tylko dawcą spermy. Po zapłodnieniu ma się nie wtrącać. I najlepiej, żeby w ogóle nie wtrącał się w „ciało kobiety", no chyba że będzie trzeba płacić alimenty. Wtedy mężczyzna staje się ojcem i musi wziąć na swoje barki odpowiedzialność. Wtedy, jeżeli uchyla się od wspierania kobiety, jest skończonym chamem i niedojrzałym chłopczykiem. Wtedy idzie się do sądu i domaga, aby mężczyzna nie uciekał od obowiązków. Jeżeli jednak ojciec dziecka sprzeciwi się planom kobiety chcącej zabić dziecko, to na ratunek przybywa Aborcyjny Dream Team. Już on nazwie go przemocowcem i w zgrabny sposób uzasadni, dlaczego taki mężczyzna nie nadaje się do niczego i trzeba go zostawić. Aktywistki otoczą „troskliwym" ramieniem, podadzą kolorowe pigułki i sprawią, że cały ból patriarchalnego systemu zniknie.

Stoimy być może przed jednym z najważniejszych rozdziałów polskiej walki o prawdziwe prawo człowieka, którym jest prawo do życia

„Nie ryzykuj bycia z mężczyzną, który nie wspiera cię w aborcji" – plakat z takim hasłem jest promowany przez lifestyle'owy magazyn „Vogue", skierowany przede wszystkim do młodych, podążających za trendami kobiet z dużych miast. Absurd. Popieranie „wolnej aborcji" to jedno z najgłupszych kryteriów, jakie można brać uwagę, wybierając partnera. Hedonistyczne podejście do życia, pozbawione łączenia faktów (seks może się kończyć ciążą, a ta z kolei narodzinami dziecka), nie uwalnia kobiety, ale zrzuca odpowiedzialność z barków mężczyzn. Wyuzdane i wyzwolone, nieoczekujące zaangażowania i życiowych deklaracji – to marzenie nastawionych na przyjemność, niechcących zmierzyć się z konsekwencjami swoich działań mężczyzn.

ŁAMANIE PRAWA

Kolejna rozprawa w procesie Justyny W. odbędzie się w lipcu. Jej koleżanki po błyskawicy nie składają broni. Mobilizują się w mediach społecznościowych. Produkują plakaty, hashtagi, nakładki na zdjęcia profilowe na Facebooku. Mają wsparcie Amnesty International. Organizacja przygotowała petycję w obronie oskarżonej aktywistki, którą określa mianem „obrończyni praw człowieka". AI wprost żąda od prokuratora generalnego „wycofania zarzutów postawionych Justynie za wspieranie w dostępie do bezpiecznej aborcji". Jeszcze przed rozpoczęciem procesu obrońcy aktywistki chcieli wyłączenia ze składu orzekającego sędzi wybranej przez tzw. nową KRS. Widać, że zwolennicy zabijania nienarodzonych będą próbować wszystkich dostępnych metod, aby W. uniknęła odpowiedzialności.

Jednak górnolotne, oparte na fałszu hasła o „praworządności" i „dobru kobiet" nie zmienią faktu, że stoimy być może przed jednym z najważniejszych rozdziałów polskiej walki o prawdziwe prawo człowieka, którym jest prawo do życia. Wyrok skazujący byłby pierwszym krokiem do lepszej ochrony najsłabszych, którzy nie mogą bronić się sami. „Dziś przed sądem stoi jedna W., ale zamordowanych dzieci jest rocznie nawet 35 tys. Należy jak najszybciej uszczelnić prawo i doprecyzować przepisy chroniące życie" – apeluje fundacja Życie i Rodzina. Co nie mniej istotne, państwo przestałoby być w końcu bezradne wobec ewidentnego, bezczelnego łamania prawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Pęknięta Lednica

FOT. PAWEŁ HOROSIEWICZ/ADOBE STOCK

Tomasz Rowiński

Dominikanie znów muszą sprzątać po czasach swoich największych „sukcesów", gdy wielu z nas myślało, że są kościelnymi superbohaterami

Gdybym kilka lat temu przeczytał na jednym z katolickich portali nagłówek brzmiący: „Dominikanie wezmą udział w spotkaniu lednickim", pomyślałbym: „Co to za wiadomość? Sprawa jest chyba oczywista". Zapewne i dziś osobom niezorientowanym w tym, co dzieje się ze spuścizną o. Jana Góry, taki tytuł artykułu może się wydawać niezbyt zrozumiały. A jednak trwające od 1997 r. spotkania lednickie, a także związane z nimi środowiska znajdują się w poważnym kryzysie.

Spór instytucjonalny pomiędzy Zakonem Kaznodziejskim a świeckimi ze Stowarzyszenia Lednica 2000, choć dość intensywnie obecny w katolickich mediach w postaci oświadczeń, listów i sprostowań, a także wywiadów i zaangażowanych omówień przebiegu konfliktu, wydaje się przede wszystkim narzędziem, za pomocą którego toczy się zmaganie znacznie poważniejsze. Dotyczy ono istoty, czyli tożsamości dzieła, które przetrwało śmierć swojego twórcy.

SPUŚCIZNA OJCA GÓRY

Zanim jednak przybliżymy się do samego sporu, przypomnijmy, co jest jego przedmiotem. W roku 1997 charyzmatyczny dominikanin o. Jan Góra zainicjował na Polach Lednickich – które od roku 2013 stały się osobną miejscowością – ogólnopolskie spotkania modlitewne. Odbywają się one co roku w wigilię święta Zesłania Ducha Świętego. Dość szybko wydarzenia te stały się największymi corocznymi spotkaniami religijnymi młodzieży w Polsce. Informowały o nich praktycznie wszystkie media, także największe stacje telewizyjne. Jan Góra w pewnym momencie nie był już tylko charyzmatycznym liderem religijnym o niezwykłych zdolnościach organizacyjnych, lecz także człowiekiem instytucją, kimś, kto potrafił do swojej idei zapalać wielu ludzi, w tym także Jana Pawła II.

Do dzieł o. Góry należały nie tylko spotkania i ośrodek na Polach Lednickich, lecz także „republika dominikańska" w Jamnej. To niezwykły klasztor-osiedle na Pogórzu Rożnowskim, gdzie cały rok przybywają pielgrzymi i turyści z całej Polski, by modlitwę przed wizerunkiem Matki Boskiej Jamneńskiej połączyć z kontemplacją pięknej przyrody ziemi tarnowskiej. O otwartym charakterze tego miejsca, które może się komuś wydawać połączeniem katolickości i klimatu nieco hippisowskiego, niech świadczy to, że wśród rozmaitych inicjatyw tam obecnych w Jamnej zakotwiczyli także katoliccy tradycjonaliści z liturgią trydencką.

Wróćmy jednak na Pola Lednickie. Ojciec Góra dbał, by spotkania młodzieży zawsze otaczała aura pewnego rodzaju niezwykłości. Na przykład w roku 2006 gromadzącym się rzeszom towarzyszył krzyż, który w swoich dłoniach trzymał Jan Paweł II w czasie słynnej – ostatniej w jego życiu – wielkopiątkowej drogi krzyżowej. Dzięki temu Poznań zyskał potem bardzo szybko cenną relikwię. Obiektem najbardziej charakterystycznym i znanym z Pól Lednickich jest Brama Milenijna w kształcie ryby – starożytnego symbolu chrześcijaństwa – przez którą przechodzą uczestnicy każdego ze spotkań. Kto uczestniczył w tych gromadzących przynajmniej po kilkadziesiąt tysięcy osób spotkaniach, wie, że co roku każdy obecny otrzymywał symboliczne pamiątki związane z hasłami kolejnych spotkań. Był to np. woreczek soli, ampułka z winem, różaniec, kieszonkowe Pismo Święte, różnego rodzaju krzyże czy

eprasa.pl 63687049a4

książki. Pomysł prosty, ale znakomity – zarówno ewangelizacyjnie, jak i społecznie. Wiązał ludzi z wiarą, dawał uczestnikom poczucie osobistego włączenia w inicjatywę o. Góry, a także zapewniał społeczny rozgłos. Na symbole-pamiątki z ciekawością oczekiwano, dawały też możliwość i pretekst do dodatkowych komentarzy i omówień w mediach, zresztą nie tylko katolickich.

21 grudnia 2015 r. o. Jan Góra w czasie odprawiania mszy świętej po liturgicznej lekcji z „Pieśni nad pieśniami" zasłabł i nagle zmarł w wieku 67 lat. Wiadomo, że starał się przygotować swoje dzieło na ten moment, dlatego założył Stowarzyszenie Lednica 2000, które stało się jednym ze współorganizatorów spotkań młodych katolików. Dziś jego członkowie uważają się za duchowych i rzeczywistych spadkobierców spuścizny o. Jana Góry. W tekście pt. „Stowarzyszenie Lednica polemizuje z dominikanami", który można znaleźć na stronie Katolickiej Agencji Informacyjnej (28 stycznia), czytamy: „Ojciec Jan W. Góra OP poprzez rozmaite przejawy swojej aktywności i twórczości zadbał o nakreślenie wielu ogólnych i konkretnych szczegółowych wytycznych dotyczących zasad funkcjonowania Lednicy oraz kontynuację i rozwój tego dzieła. W szczególności zawierają je różnego rodzaju publikacje Ojca Jana, jego pisma, artykuły i książki – zwłaszcza »Tropy lednickie« i »Podręcznik pokolenia JP2«. To jest gotowy, szczegółowy program Lednicy, oparty na homiliach św. Jana Pawła II i wynikający ze świadomości, że potrzebujemy nowego języka wiary, oraz zawierający wskazówki, jak dzielić się doświadczeniem wiary we wspólnocie z innymi ludźmi, między innymi poprzez wciąż ponawiany Wybór Chrystusa oraz uczestnictwo w brewiarzowej modlitwie Kościoła, którą Ojciec Jan propagował poprzez przygotowanie i edycję »Lednickiej liturgii godzin«. W wielu ludziach zaszczepił tę modlitwę, co widać w różnych środowiskach".

W wywiadzie (KAI, 24 stycznia), o który chodzi członkom stowarzyszenia, zatytułowanym „Stawianie granic nie oznacza odrzucenia", ciekawą rzecz – w kontekście powyżej przywołanej opinii – mówi o. Michał Śliż, przeor dominikanów w Poznaniu. „Ojciec Jan był twórcą spotkań lednickich, duszpasterzem całego środowiska i jednocześnie założycielem i prezesem Stowarzyszenia. Spajał wszystko swoją osobą. Nie byłoby Lednicy i całego tego duszpasterstwa, gdyby nie Jan Góra. Jan Góra, dominikanin. Niezależnie od tego, że w swoich niektórych wypowiedziach na temat Lednicy o. Góra dystansował się od swoich współbraci, sam przecież był dominikaninem, członkiem poznańskiego klasztoru. Bez tego nie miałby przecież żadnej misji do organizacji tych spotkań. W oczywisty sposób o. Góra był przedstawicielem Polskiej Prowincji Dominikanów do organizacji tego dzieła".

Chciałbym przywołać jeszcze jeden cytat, tym razem z listu Małgorzaty i Franciszka Wołochów, także opublikowanego na stronach KAI w dniu 25 stycznia br. Autorzy w latach 2017–2019 byli koordynatorami Wspólnoty Lednica 2000. „Ojciec Jan Góra OP wielokrotnie, zarówno w wypowiedziach publicznych, jak i prywatnych, określał swoją wizję tego, jak Lednica powinna funkcjonować pod względem organizacyjnym, jak również prawnym. Głównym założeniem, które przyświecało Ojcu Janowi, była podmiotowa rola świeckich nie tylko w sferze deklaratywnej, lecz także prawnej i organizacyjnej. [...] Myśli i pragnienia Ojca Jana dały wyraz w dokumencie, który powstał we współpracy w władzami Zakonu Kaznodziejskiego pod koniec życia śp. Ojca Jana. Był nim projekt statutu publicznego stowarzyszenia wiernych »Wspólnota LEDNICA 2000«. Dokument ten stawiał w podmiotowej roli świeckich, regulował stosunki Zakon – Świeccy oraz był komplementarną propozycją określającą zarówno strukturę organizacyjną, jak i sposób duszpasterstwa oraz duchowe priorytety Wspólnoty".

SEDNO SPORU

Co wynika z zestawienia tych trzech przywołanych powyżej cytatów? W pewnym sensie – strukturalnie – to samo, co ze sprawy o. Pawła M. Choć opinia ta brzmi brutalnie, to wydaje się uzasadniona. Oczywiście nie chodzi o analogię z aktywnością przestępczą Pawła M., ale o pewien model funkcjonowania zakonu dominikańskiego w minionych dekadach. Lednica, podobnie jak wspólnoty charyzmatyczne oskarżonego o przestępstwa seksualne zakonnika, wymknęły się braciom kaznodziejom spod duchowej kontroli. Zakonnicy przyciągający tłumy, zapewniający szeroką publiczność w pewnym sensie i dość łatwo stawali ponad regułami życia własnej wspólnoty, której byli przecież częścią i z którego duchowych soków i instytucjonalnego wsparcia nieustannie korzystali. Nie jestem w stanie rozstrzygnąć racji w sporze instytucjonalnym pomiędzy zakonem a Stowarzyszeniem Lednica, ponieważ obie strony wspierają swoje stanowiska gęstą argumentacją, którą trudno zweryfikować. Nawet gdy pytałem osoby związane ze środowiskami dominikańskimi o opinię w sprawie tego sporu, choć miały swoje zdanie, nie chciały udzielać głosu publicznie.

Jednak to nie spór instytucjonalny jest sednem sprawy. Sednem problemu jest to, że dominikanie celebryci – świadomie lub mimowolnie – korzystając z zasobów swojego zakonu, tworzyli środowiska traktujące ich samych jako współczesnych proroków, których pisma i wypowiedzi należy traktować niczym dekrety ustanawiające nowe i nienaruszalne duchowe reguły. Dobrze to widać w powyżej cytowanych fragmentach tekstów, w których literacką spuściznę o. Góry czy to prowadzony przez niego, a niedokończony projekt statutu wspólnoty lednickiej traktuje się niczym dokumenty zobowiązujące. Jednocześnie zmianę zamierzeń Zakonu Kaznodziejskiego co do przyszłości projektu lednickiego interpretuje się niemal w kategorii zdrady dziedzictwa o. Góry.

SPRZĄTANIE PO „SUPERBOHATERACH"

Od maja ma na Lednicę wrócić niedzielna msza święta, która zniknęła stamtąd w wyniku trwającego konfliktu o formułę działania tego miejsca oraz formułę współpracy stowarzyszenia i zakonu. Nie wraca jednak wycofane w tych samych okolicznościach przez dominikanów duszpasterstwo. Obecność jednego z ojców na tegorocznym spotkaniu młodzieży wygląda jak ratowanie dzieła lednickiego przed ostatecznym rozpadem. To wszystko jednak wygląda na konsekwencje długotrwale popełnianych błędów z czasów, gdy o. Góra był bożyszczem tłumów i – jak można usłyszeć w różnych wspomnieniach – mógł wszystko. Łatwo sobie wyobrazić poziom zgorszenia, jaki musi powodować dzisiejszy rozłam. Być może był on do uniknięcia, gdyby sam zakon bardziej przestrzegał własnych praw. Tymczasem dominikanie znów muszą sprzątać po czasach swoich największych „sukcesów", gdy wielu z nas myślało, że są kościelnymi superbohaterami. Niestety, nie byli, nie są i nie będą. Nie za superbohaterstwo powinniśmy cenić zakonników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Doktor Zbigniew Hałat – pożegnanie

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Jan Pospieszalski

Instytucje przemilczały tę śmierć, ale przedstawiciele społecznych ruchów powstałych na bazie sprzeciwu wobec rządowych restrykcji sanitarnych będą dr. Hałata pamiętać

Na twitterowym koncie dr. Zbigniewa Hałata 22 kwietnia w piątek wieczorem ukazał się krótki wpis: „Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 17 kwietnia zmarł Zbigniew Hałat – mąż, ojciec, dziadek. Uroczystości pogrzebowe już się odbyły. Pogrążona w smutku rodzina".

W nocy z piątku na sobotę dostałem kilka alarmujących SMS-ów z prośbą o weryfikację tej szokującej informacji. Mimo późnej pory bezskutecznie próbowałem się dodzwonić, ale ponieważ sam na noc wyłączam telefon, więc do rana jeszcze miałem nadzieję, że to jakieś włamanie na konto i ponury fejk. Chętnych, by dokuczyć doktorowi, jest pewnie wielu. Rano okazało się niestety, że wiadomość jest prawdziwa.

Nagła śmierć bardzo znanego lekarza, byłego wiceministra zdrowia, byłego głównego inspektora sanitarnego, bardzo aktywnego społecznika, fakt utrzymania tej informacji przez sześć dni w tajemnicy i w końcu podanie jej w tak lakonicznej formie otworzyły drogę do najdziwniejszych spekulacji. A ponieważ dr Zbigniew Hałat od początku ogłoszenia pandemii jednoznacznie i radykalnie zaangażowany był w krytykę oficjalnej polityki wobec COVID-19, na pojawienie się najróżniejszych spiskowych teorii nie trzeba było długo czekać. Mimo że rodzina zmarłego odmawia wszelkich kontaktów z mediami, od jednej z córek udało się uzyskać informację, że tata zmarł podczas snu w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną, a przyczyną wpisaną przez lekarza do aktu zgonu było zatrzymanie akcji serca.

Przyjaciele potwierdzają, że w Wielką Środę, będąc w Warszawie, Zbigniew Hałat miał chwilę gorszego samopoczucia, ale się nie skarżył. Doktor znany był z tego, że wolał interesować się zdrowiem innych, niż zadręczać otoczenie swoimi dolegliwościami. Starał się zawsze trzymać fason.

WYMAZYWANIE PAMIĘCI

Znamienne były reakcje mediów na wiadomość o jego śmierci. Internetowy Poradnikzdrowie.pl grupy ZPR już w tytule informował: „Przestrzegał przed szczepieniami na COVID-19, nazywał siebie dziewicologiem", natomiast Medonet.pl materiał zatytułował: „Polski guru antyszczepionkowców nie żyje". Podobnie „Rzeczpospolita" i wiele popularnych serwisów w tytułach albo zaraz na wstępie etykietuje zmarłego jako antyszczepionkowca. Z jednej strony lekko prześmiewczy ton, z drugiej milczenie.

Na oficjalnych stronach Ministerstwa Zdrowia, GIS, NFZ i w serwisie Gov.pl nie znalazłem ani słowa. A przecież zmarły był podsekretarzem stanu w MZ, głównym inspektorem sanitarnym i piastował ważne funkcje w NFZ. Takie wymazywanie osoby zmarłego przypomina najgorsze komunistyczne praktyki.

Przedstawiciele społecznych ruchów powstałych na bazie sprzeciwu wobec rządowych restrykcji sanitarnych na wiadomość o jego śmierci już następnego dnia spotkali się na modlitwie na cmentarzu Osobowickim, nad jego grobem.

Potem, zaledwie w tydzień, spontanicznie zawiązany społeczny komitet zorganizował 3 maja marsz pamięci Zbigniewa Hałata. Na uroczystość do Wrocławia ludzie przyjechali z całej Polski. O godz. 11. w kościele pw. św. Krzyża na Ostrowie Tumskim rozpoczęła się msza św. Ogromna gotycka świątynia nie zdołała pomieścić wszystkich uczestników, stąd sporo osób musiało stać przed kościołem. Po mszy ponadtysięczny pochód ruszył na plac Nowy Targ, gdzie na scenie przyjaciele i przedstawiciele różnych środowisk, w tym również niezależni lekarze, wspominali zmarłego. W przerwach między wystąpieniami z głośników odtwarzane były krótkie wypowiedzi doktora.

Potem w milczeniu wszyscy ruszyli na cmentarz. Na czele kolumny obok portretu zmarłego niesiony był ogromny banner z jego cytatem: „Polska wróci". Ten cytat dość celnie charakteryzuje postawę lekarza – uważał bowiem, że Polacy znajdują się w bardzo niekorzystnej i niesymetrycznej sytuacji wobec potężnych globalnych korporacji, co zagraża suwerenności państwa. A ponieważ jaskrawym przykładem globalnego dyktatu z jednej strony, a słabości państwa z drugiej były właśnie polityka walki z pandemią, opór i sprzeciw wobec absurdalnych zarządzeń niemających nic

eprasa.pl 63687049a4

wspólnego z nauką i troską o zdrowie Polaków uważał za swój obowiązek.

TRUDNY DO ZIGNOROWANIA

Oczywiście nie był sam. Tragiczne skutki restrykcji sanitarnych i szczepień widziało wielu, lecz głos dr. Hałata ze względu na jego kompetencje był najbardziej znaczący, bo niemożliwy do zakwestionowania. Był medykiem rzetelnie wykształconym, ale nie była to tylko książkowa wiedza. Doświadczenie z zakresu zwalczania epidemii nabywał w Afryce, gdy Kenia zmagała się z wirusem HIV i ebolą. Korespondował z największymi fachowcami z dziedziny chorób zakaźnych.

– Był do bólu uczciwy i szczery – mówi o nim zaprzyjaźniona z nim lekarka, Jadwiga Sokołowska. Nazywał rzeczy po imieniu, dlatego był tak znienawidzony. Nie mógł patrzeć, jak w konsekwencji fatalnych zarządzeń doprowadza się do kalectwa lub śmierci pacjentów. Odmowę leczenia śmiertelnie zagrożonych ludzi, przywożonych na SOR po wypadkach, z zawałem czy udarem, wielogodzinne oczekiwanie w karetkach na wynik testu i gdy – nie daj Boże – wynik był dodatni, wożenie ich od szpitala do szpitala na oddział covidowy, gdzie nie było fachowej opieki, nazywał ludobójstwem. Przerażało go, że tak wielu lekarzy tolerowało te praktyki lub świadomie się w nie włączyło. Przecież zawsze w pierwszej chwili ratuje się życie, a potem zdrowie. Za niedopuszczalne uznał podporządkowanie leczenia wszystkich innych groźnych chorób testom na jedno schorzenie, wcale nie aż tak groźne. W tym upatrywał przyczynę nadmiarowych zgonów.

Był przeciwnikiem szczepień, a szczególnie bezwzględnie krytykował aplikowanie preparatu wszystkim jak leci, nie sprawdzając historii choroby pacjenta, bez należytego wywiadu medycznego. Przymuszanie medyków, wojskowych i innych grup metodą szantażu, zastraszania, groźbami utraty pracy czy niedopuszczeniem do studiów nazywał wprost praktyką zbrodniczą. Hańbą zawodu lekarza było według niego reklamowanie i zachwalanie przez wielu ekspertów szczepionek jako sprawdzonych, bezpiecznych i skutecznych. Podkreślał, że taka nachalna propaganda, brutalnie wtłaczana przez telewizję, wprowadza Polaków w błąd i jest sprzeczna nawet z tym, co oficjalnie podają w ulotce producenci w charakterystyce produktu. Ostrzegał też przed powikłaniami poszczepiennymi, prognozując ich tragiczne, odroczone konsekwencje. Był zapraszany na wykłady i spotkania przez ośrodki i stowarzyszenia z całej Polski. Na szczęście wiele z nich jest zarejestrowanych i udostępnionych w sieci. Dla osoby w jego wieku ciągłe podróże, publiczne wystąpienia, wielogodzinne dyskusje musiały być wyczerpujące. Uznał jednak, że w ten sposób walczy o zdrowie Polaków, uświadamia, chroni ich i służy pacjentom.

Upominał się o racjonalność wydatków na ochronę zdrowia. Doktor Sokołowska podkreśla, że w rozmowach z nią nie krył oburzenia, opisując, w jaki sposób publiczne pieniądze są trwonienie na absurdalne zakupy: maseczki, respiratory, testy, szczepionki, a nie ma pieniędzy na konieczne leczenie pacjentów z ciężkimi schorzeniami, których odroczenie dla wielu oznacza kalectwo lub śmierć. Mówił, że Polacy są okradani – za opłacone składki zdrowotne nie otrzymują należytej opieki.

PREKURSOR

Od zawsze jego działania koncentrowały się wokół zdrowia publicznego. Założony w latach 90. Instytut Wody miał na celu ochronę zdrowia przed skutkami użytkowania wody (tzw. kranówki) zawierającej substancje toksyczne. Jego lobbingowe działania w tym zakresie wpłynęły nie tylko na wzrost świadomości społecznej, lecz także istotnie przyczyniły się do wymuszenia na dostawcach poprawy jakości wody w sieciach miejskich. Patrząc z perspektywy czasu, dr. Hałata można uznać za prekursora walki o zdrową żywność, o ekologię upraw i hodowli. Sprzeciwiał się wprowadzeniu do Polski upraw genetycznie modyfikowanych, ostrzegał przed tworzeniem wielkich ferm wiatrowych, wskazując szkodliwość działania potężnych łopat i turbin. Te najróżniejsze aktywności miały wspólne cechy. Po pierwsze, podejmowane były w trosce o zdrowie i bezpieczeństwo ludzi. Po drugie, zawsze były logicznie, naukowo i ekonomicznie uzasadnione. Po trzecie, były w kontrze do mainstreamu i obowiązującej narracji, wiążąc się niejednokrotnie z ryzykiem ośmieszenia lub w najlepszym wypadku ignorowaniem. Bywało tak, że jedynymi mediami, które miały odwagę zapraszać go do studia, były Radio Maryja i TV Trwam.

To samo motywowało go do aktywności na rzecz uświadamiania rodziców i wychowawców o zagrożeniach związanych z przedwczesną inicjacją seksualną. Wskazywał, że pełna odporność immunologiczna dziewczyny na choroby przenoszone drogą płciową kształtuje się jeszcze kilka lat po wystąpieniu pierwszego okresu. Dlatego mówił o dziewictwie jako wartości. Widział konieczność przygotowania młodych ludzi do życia w rodzinie. Ostrzegał przed skutkami, jakie niesie permisywna edukacja seksualna i demoralizacja młodych.

Pracę na rzecz zdrowia publicznego rozumiał jako zaangażowanie polityczne. Wychodził z założenia, że jeśli władza nakazuje coś, co jest sprzeczne z logiką, ze zdrowiem i z wiedzą naukową, to obowiązkiem uczciwego lekarza, a także każdego obywatela jest taką władzę zmienić. Ponieważ merytorycznie trudno było z nim polemizować, spotykały go inwektywy, szyderstwa, hejt i ostracyzm środowiska. Otrzymywał wezwania na przesłuchania do Izby Lekarskiej w Opolu, ale nawet ich nie otwierał. Mówił, że nie chce wiedzieć, co jest w środku, żeby nie podnosić sobie ciśnienia.

Żył w permanentnym stresie. Zwierzał się przyjaciołom, że męczy go poczucie winy wobec rodziny, dla której nie miał czasu. Miał też świadomość, że wychylając się, naraża nie tylko sobie, lecz także bliskich. Stan napięcia, ciągłe szykany i przepracowanie psychicznie go nie złamały, ale człowiek to nie tylko psychika. Uczestniczyłem w wielu konferencjach i spotkaniach z nim i momentami byłem na niego zły, ponieważ jego radykalna retoryka dla słuchaczy, którzy poddani byli wielomiesięcznej operacji dezinformacyjnej prowadzonej przez resort zdrowia, była trudna do przyjęcia. Nie dlatego, że nie miał racji. Oczywiście miał. Obawiałem się jednak, że tak podana prawda, owszem, utwierdzi przekonanych, ale dla nieprzygotowanych może być przeciwskuteczna. Być może sam uznał, że już trzeba walić prosto z mostu, bo czasu zostało niewiele.

Podczas uroczystości pożegnania wielu mówców zwracało uwagę na depozyt, który nam zostawił dr Hałat. Gdy pytam, jak najkrócej streścić testament zmarłego, jeden z organizatorów, prezydent Rafał Piech, odpowiada: – Zdawał sobie sprawę, że wycofanie się z restrykcji spowodowane agresją Rosji na Ukrainę jest chwilowe. Pod auspicjami WHO szykowany jest kolejny atak na naszą wolność. Narzędziem zniewolenia jest strach. Jeżeli w imię walki o prawdę wyzbędziemy się lęku, to wtedy nikt nam wolności nie odbierze. On to udowadniał swoim życiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

FOT. MAREK LAPIS/FORUM

Lans na sportowo

Agnieszka Niewińska

Wraz z nadejściem wiosny chwalą się tym, że biegają, pływają czy jeżdżą na rowerze. Sezon na maratony w wykonaniu polityków otworzył właśnie Donald Tusk

Filmy ze startu i mety, relacje na gorąco z kolejnych kilometrów maratońskiej trasy – tak były premier Donald Tusk uczcił swoje 65. urodziny. – Wbiegam albo wtaczam się jakoś w wiek emerytalny. Maraton, pełny. Mój ambitny cel to dobiec i jakoś przeżyć – rzucił w instagramowej relacji Tusk i ruszył biegiem trójmiejską trasą. Wygląda na to, że skupiał się nie tylko na bieganiu, lecz także na relacjonowaniu swojego wyczynu w sieci. Po przebiegniętych 20 km spocony mówił do kamery: – Sopockie molo to niewątpliwie siódmy czy tam ósmy cud świata, ale jakim cudem ja tu dobiegłem i jeszcze mam przebiec 20, bo to półmetek, nie wiem. Trzydziesty trzeci kilometr na myśl przywiódł mu naczelnego „Newsweeka". – Legendarny Tomasz Lis powiedział mi, że każdy biegacz zderza się w tym miejscu ze ścianą. No to się zderzam, tylko nikt mi nie powiedział, że to zderzenie jest tak cholernie bolesne – opowiadał Tusk.

KAZ NA JODZE

Na mecie Tuska przywitały wnuki. Jego wynik to 5 godzin i 44 minuty. Swój cel osiągnął. Może nawet więcej niż jeden, bo doniesienia o jego maratońskim wyczynie obiegły zarówno tabloidy, plotkarskie portale, jak i media nieco poważniejsze. W Radiu Zet zachwytów Tuskowi nie szczędził partyjny kolega Borys Budka, którego najlepszy czas w maratonie to 2:39:03. – Chciałbym przebiec maraton, mając 65 lat. Trochę Donaldowi Tuskowi mentalnie, z racji mojego biegowego doświadczenia, pomagałem w przygotowaniach, trzymałem mocno kciuki. Byłem na łączach do ostatniej chwili, nawet w trakcie biegu – przechwalał się.

– Były premier chciał najwyraźniej pokazać, że choć osiągnął wiek emerytalny, to wciąż jest fit i stawia sobie nowe cele – ocena Katarzyna Chołdzyńska, specjalistka w dziedzinie wizerunku. – Choć wyzwanie podjął z okazji urodzin, to widzę w tym komunikat skierowany do jego elektoratu – o tym, że wciąż jest w grze, idzie ze współczesnymi trendami. A bieganie bez wątpienia jest w tej chwili popularne.

O ile Tusk od lat znany jest z zamiłowania do sportu, głównie gry w piłkę nożną, o tyle inny były premier – Kazimierz Marcinkiewicz – obnosić się z uprawianiem sportu zaczął dopiero wówczas, kiedy trafił na polityczny aut. Od dobrych kilku lat zarzuca odbiorców mediów społecznościowych raportami ze sportowych dokonań. Wiadomo, ile przebiegł, ile przepłynął, ile spalił kalorii i jakie miał tętno. Statystyki ubarwia zdjęciami ze sportowych przybytków. Kaz – jak zwykły go nazywać w skrócie tabloidy – pręży się nad basenem, pozuje na siłowni, wypina pierś z medalem z kolejnej imprezy biegowej czy triathlonowej. Od sportowego lansu najwyraźniej już się uzależnił, bo nawet polityczne wynurzenia o prezesie Kaczyńskim, PiS

eprasa.pl 63687049a4

czy wojnie na Ukrainie ilustruje za pomocą selfie z basenu czy siłowni.

Ostatnio na Kanale Sportowym pytany o problemy i życiowe zakręty – a tych w związku z romansem, małżeństwem i trwającym dłużej od niego rozwodem z Isabel Olchowicz mu nie brakowało – opowiadał o tym, że remedium jest dla niego sport. – W pewnym momencie znalazłem jogę, w pewnym momencie znalazłem bieganie. Potem dodałem pływanie i triathlon. Znalazłem takie miejsca, w których mogę sobie rozważyć to, co robię, wytworzyć trochę endorfin w sobie i przerobić coś, co znów na mnie spadło, na coś pozytywnego. Ja nawet rzadko biegam z muzyką, bo mam tyle rzeczy do przemyślenia – mówił prowadzącej program Małgorzacie Domagalik.

Oprócz endorfin w uprawianych przez Marcinkiewicza sportach nie brakuje adrenaliny. Także tej pozasportowej. W 2019 r. informował w mediach społecznościowych, że komornik nasłany przez Isabel podczas zawodów Ironman (180,2 km na rowerze, 3,86 km pływania i maraton) chciał mu odebrać rower. Zawody jednak ukończył. Przebiegle zaopatrzył się w dowód na to, że kosztowny bicykl nie był jego własnością.

Doktor Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie komunikacji strategicznej z firmy Trzeciak|Chmal, zwraca uwagę, że wyczynowe uprawianie sportu – bieganie w maratonach, ultramaratonach czy starty w zawodach triathlonowych – to głównie domena byłych polityków: – Czynni politycy nie mają po prostu zbyt wiele czasu na uprawianie sportu. Nie jest przypadkiem, że np. były polityk PiS Adam Hofman wygląda w tej chwili dużo lepiej niż w czasach, kiedy był posłem. Poza tym trzeba zwrócić uwagę na to, że polityka dostarcza dużą dawkę adrenaliny, która jest uzależniająca. Ci, którzy odeszli z polityki, gdzie indziej szukają adrenaliny, endorfin i dopaminy. To mogą być alkohol, używki, hazard, a także sport wyczynowy.

Wspomniany Adam Hofman, który z PiS zniknął w efekcie tzw. afery madryckiej, już nie przypomina siebie z czasów, kiedy był rzecznikiem partii. Postawił na zdrową dietę, zrezygnował z mięsa i zaczął uprawiać sport. I to w wersji ekstremalnej. Biega w ultramaratonach – po górach na dystansach znacznie dłuższych niż maratońskie nieco ponad 42 km. W październiku ubiegłego roku ukończył zawody Ironman w Barcelonie.

W rozmowie z serwisem Biegowe.pl przyznał, że zapuścił się dopiero na studiach i w Sejmie. – Wódeczka, kolacyjki do drugiej, trzeciej, potem jeszcze jedzenie. Taki superniehigieniczny tryb życia. Dzisiaj, jak o nim myślę, to się budzę zlany potem, że tak można i że tak ludzie funkcjonują. Postanowiłem coś ze sobą zrobić, gdy już nie mogłem się schylić, aby zawiązać buty – mówił Hofman. W sieci dzieli się sportowymi pasjami, pokazuje, co ma na talerzu. Pokazał nawet bokserki z czasów, kiedy był otyły. Zmieściłoby się w nich nawet trzech obecnych Hofmanów.

Podobnie było w przypadku byłego polityka SLD Wojciecha Olejniczaka. – Trafiłem do polityki, zostałem ministrem w rządzie Millera... Przytyłem z 8 kg i tak żyłem bez ruchu przez sześć lat – opowiadał dekadę temu „Gazecie Wyborczej". O tym, że zmienił tryb życia, głośno zrobiło się w 2009 r., kiedy szykował się do wyborów do Parlamentu Europejskiego. Wystąpił wówczas na okładce tygodnika „Wprost" w rozpiętej koszuli. „Od kilku miesięcy ma figurę niczym model" – oceniał „Wprost". Im dalej było Olejniczakowi do krajowej polityki, tym bardziej angażował się w sport. Biegał, jeździł na rowerze, zaangażował się w triathlon. W 2013 r. został nawet prezesem Polskiego Związku Triathlonu. W 2014 r. nie został ponownie wybrany do europarlamentu. Zrezygnował z polityki na rzecz bankowości.

EUROPOSŁANKI: NA KAJAKU I Z KIJKAMI

Sport to jednak nie tylko domena byłych premierów, posłów czy ministrów. – W mediach społecznościowych wielu polityków i samorządowców chwali się aktywnością sportową. Zapanowała wręcz moda na bieganie, uprawianie spotu. Politycy wiedzą, że wyborcy chętniej głosują na ludzi, którzy dobrze się prezentują, są aktywni, sprawni, pełni energii i zaangażowania. Dlatego dzielą się swoimi osiągnięciami, zamieszczają zdjęcia z treningów – mówi dr Sergiusz Trzeciak.

Z zamiłowania do biegów słynie nie tylko wspomniany już Borys Budka, biegaczem jest także Antoni Mężydło, uczestnik wielu maratonów. Aktywnością sportową wśród polityków PO chwali się również Ireneusz Raś. Biega, gra w piłkę, dzieli się na Instagramie zdjęciami z meczu pingpongowego.

Wśród polityków PiS do aktywności sportowej zachęca europosłanka Jadwiga Wiśniewska. Pokazuje, że sama jeździ na rowerze, maszeruje z kijkami, spędza aktywnie wakacje, przemierzając górskie szlaki. Za jednego z najbardziej wysportowanych polityków PiS uchodzi jednak inna europosłanka tej partii i była minister – Elżbieta Rafalska. Zawodowo grała w koszykówkę w Pogoni Wschowa, była trenerem i uczyła studentów AWF. Choć w mediach społecznościowych aktywnością sportową się nie chwali, to zdarza się, że podpatrzą ją tabloidy, np. podczas kajakowania, które stało się nową pasją europosłanki.

Przed czterema laty w Orlen Warsaw Marathon pobiegł Patryk Jaki. Nie porwał się na dystans maratoński, wystartował w biegu na 10 km, co wytknęli mu internauci. „Biegam, bo chcę promować zdrowy styl życia. Nie mam już tyle czasu dla siebie co kiedyś, więc wynik pewnie za słaby (ok. 1 h), dystans za mały (10 km)" – tłumaczył na Twitterze. W jego instagramowych postach akcentów sportowych nie brakuje. Choć oszczędnie, to dzieli się sportowymi zdjęcia – z biegu po plaży, nurkowania, rowerowych wypraw czy pieszych wycieczek z dziećmi.

Doktor Sergiusz Trzeciak podkreśla, że o ile byli politycy nie muszą się specjalnie ograniczać w dzieleniu się w mediach społecznościowych sportowymi osiągnięciami, o tyle wizerunkowi czynnego polityka ciągłe obnoszenie się z aktywnością sportową może zaszkodzić. – Od polityków, zwłaszcza pełniących ważne funkcje państwowe, wymagamy tego, by poświęcali się pracy. Zbyt częstym informowaniem o aktywności sportowej mogą się narazić na uwagi o tym, że zajmują się sportem, zamiast pracować. Takie komentarze spotykają choćby prezydenta Andrzeja Dudę, kiedy widziany jest podczas jazdy na nartach. Czynni politycy o osiągnięciach sportowych powinni informować z umiarem, wtedy kiedy jest ku temu odpowiedni kontekst – długi weekend, święta albo wakacje. Wtedy wielu wyborców także spaceruje, biega czy jeździ na rowerze i jest zainteresowanych tym, jak wolny czas spędza polityk – wyjaśnia dr Trzeciak.

Sportowy sezon na maratony, wyścigi i zawody triathlonowe jest w pełni. Ilu polityków ruszy na trasy? Donald Tusk już zapowiedział, że przebiegnięty w kwietniu maraton jest pierwszym i ostatnim. Spragnieni doniesień o sportowych osiągnięciach byłych premierów mogą jednak liczyć na Kazimierza Marcinkiewicza. Nic nie zapowiada, by ten rezygnował z mediatyzacji swoich dokonań. W sieci już nawet staje na głowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Wino i wina

Łukasz Zboralski

Warszawski sąd usunął z kary wobec Beaty Kozidrak to, co było dla niej najbardziej dotkliwe – prace społeczne. Za okoliczność łagodzącą uznał „niekwestionowany dorobek artystyczny". Czy wymiar sprawiedliwości po raz kolejny pokazał nam właśnie, że niektórym wolno więcej?

Beata Kozidrak i jej pełnomocnik w sądzie byli zadowoleni z wyroku

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Wieczorem 1 września kierowcy jadący przez warszawską dzielnicę Mokotów zauważyli dziwnie poruszający się samochód marki BMW. Jego kierowca chaotycznie zmieniał pasy, niebezpiecznie zbliżał się do innych pojazdów, a także do krawężnika. Wszystko wskazywało na to, że za kierownicą siedzi ktoś pijany. Dlatego – co na szczęście jest w Polsce już powszechną reakcją społeczną – zawiadomili policję.

Kierowcy sami zatrzymali kobietę w bmw na skrzyżowaniu al. Niepodległości i ul. Batorego. Poczekali tam z nią do przyjazdu policji. Okazało się, że za kierownicą siedziała kompletnie pijana Beata Pietras – oficjalnie znana jako Beata Kozidrak, gwiazda polskiej sceny muzycznej. Jak wskazała potem prokuratura, liderka Bajmu przejechała tak ulicami stolicy ok. 12 km. Kozidrak przyznała funkcjonariuszom drogówki, że poprzedniego dnia balowała do godz. 2 w nocy i przez ten czas na spotkaniu towarzyskim wypiła sama litr wina. Musiało to być niezwykle mocne wino, bo policyjny alkomat wskazał w jej organizmie blisko dwa promile. Na komendzie Kozidrak przyznała się do winy, ale skorzystała z prawa do odmowy składania wyjaśnień.

Policja nie zastosowała wobec Kozidrak żadnych środków zapobiegawczych. Choć nieraz je stosuje – w policyjnych kronikach jest mnóstwo komunikatów o tym, że kierowca w stanie upojenia alkoholowego trafił prosto do aresztu. Piosenkarka musiała tylko oddać prawo jazdy i mogła oddalić się do domu.

Następnego dnia, gdy sprawa wyciekła już do mediów, Beata Kozidrak przyznała się do wszystkiego oficjalnie w mediach społecznościowych. „Kochani, przepraszam wszystkich. Wiem, że was zawiodłam. Z całego serca żałuję tego, co się wczoraj wydarzyło. Bardzo się tego wstydzę. Wiem, że muszę ponieść konsekwencje tego, co się stało. Jestem na to gotowa" – napisała. I już wtedy można było pośrednio zauważyć jej podejście do sprawy. W tym facebookowym wyznaniu pisała przecież, że to „się wydarzyło", a nie, że to ona do czegoś doprowadziła. Tak jakby po prostu prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwości było przypadkowym, losowym zdarzeniem, na które człowiek nie ma wpływu.

Chwilę później okazało się, że skruchy naprawdę nie wyraża, że zamiast posypać głowę popiołem, przy pomocy swojego pełnomocnika będzie walczyć o jak najmniejszy wymiar kary. Oczywiście, jak każdy oskarżony, ma do tego pełne prawo. Trudno jednak wówczas uznawać, iż naprawdę chciała odpokutować swój czyn.

KARA „ZBYT SUROWA"

Warszawska prokuratura zarzuciła piosenkarce prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości. W akcie skierowanym do Sądu Rejonowego Warszawa-Mokotów oskarżyła Kozidrak o popełnienie przestępstwa opisanego w art. 178a pkt 1, za co w Polsce grozi kara grzywny albo pozbawienia wolności do dwóch lat.

Sąd zadziałał dość szybko i już miesiąc później – 29 października 2021 r. – wyrokiem nakazowym (bez prowadzenia rozprawy – jeśli strony się na taki wyrok godzą, to sprawa zostaje zamknięta) skazał Beatę Kozidrak na zakaz prowadzenia pojazdów przez pięć lat, grzywnę w kwocie 10 tys. zł oraz sześć miesięcy prac społecznych po 12 godzin miesięcznie.

Biorąc pod uwagę kwotę grzywny społeczna percepcja tego wyroku nie była zbyt dobra. Polska diwa ujawniła jednak w sądzie, że tak naprawdę zarabia relatywnie niewiele – 10 tys. zł miesięcznie. Tymczasem bulwarówki wyliczały, że bmw XDrive, którym jeździ, w salonach kosztowało do 500 tys. zł i ma też inne auta oraz willę w stolicy, nieruchomości za granicą.

Wobec takiego wyroku nakazowego pełnomocnik Kozidrak złożył sprzeciw.

– Powód był prosty. Uważam, jako obrońca pani Beaty Kozidrak, że kara jest zbyt surowa. Dlatego też postanowiliśmy się odwołać od wyroku – tłumaczył wtedy Onet.pl adwokat gwiazdy mec. Marcin Mamiński.

Gdy w prasie pojawiły się sugestie, że gwiazdę zabolałyby prace społeczne, otoczenie Kozidrak zaprzeczało, że właśnie o to chodzi. W świetle najnowszego wyroku widać jednak, że niepotrzebnie się krygowano.

4 maja warszawski sąd wydał nowy wyrok. I znów zaskoczenie. Bez zmian pozostał jedynie zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na pięć lat. Grzywna się zmieniła. Sąd uznał, że Kozidrak powinna zapłacić więcej (na jakiej postawie więc w wyroku nakazowym szacował poprzednią liczbę stawek dziennych w relacji do zarobków, nie wiadomo). Polecił zapłatę 50 tys. zł grzywny oraz wpłatę 20 tys. zł na Fundusz Sprawiedliwości. Kara prac społecznych z orzeczenia zniknęła.

Tym razem reprezentujący artystkę prawnik nie ukrywał już, że właśnie prace społeczne były dla niej we wcześniejszym wyroku najbardziej niewygodne. Mecenas Maciej Żbikowski tuż po ogłoszeniu wyroku relacjonował „Faktowi", że ograniczenie

eprasa.pl 63687049a4

wolności w postaci obowiązku wykonywania prac społecznych utrudniłoby artystce koncertowanie i wykonywanie zawodu. „Dlatego złożyliśmy sprzeciw w tej sprawie. Sąd uwzględnił nasze stanowisko. Różnimy się tylko co do wysokości kwoty" – powiedział tabloidowi.

OKOLICZNOŚĆ ŁAGODZĄCA?

Sędzia, przychylając się do wniosku obrońców Kozidrak, stwierdził też, że istnieją okoliczności łagodzące. Wśród nich wymieniła m.in. „niekwestionowany dorobek artystyczny". Tak jakby to, że ktoś jest artystą, czyniło jazdę po pijanemu samochodem – zagrażającą innym na drodze – czymś mniej dotkliwym, niż gdy za kółkiem siada przeciętny Kowalski.

Warto zauważyć, że argumentację o okolicznościach łagodzących przedstawiała w warszawskim sądzie sędzia Agata Pomianowska. Ta sama, która wcześniej wywołała kontrowersje uniewinnieniem pirata drogowego Roberta N. pseudonim Frog. Uniewinniła go od zarzutu możliwości sprowadzenia zagrożenia katastrofą w ruchu lądowym przez jazdę z ogromnymi prędkościami przez stolicę. Argumentacja była kuriozalna. Sędzia uznała bowiem, że oskarżony „w krytycznym czasie panował nad swoim pojazdem".

Po wyroku w sprawie Kozidrak trudno uznać, że warszawski sąd zrozumiał cele, które ma w świetle współczesnych założeń prawa karnego spełniać kara. Te są bowiem trzy: kompensacyjny (naprawienie szkody powstałej w wyniku przestępstwa lub zadośćuczynienie w innej postaci), zapobieganie przestępczości oraz cel sprawiedliwościowy. Ten ostatni ma zaspokajać społeczne poczucie sprawiedliwości. Czy został osiągnięty?

Zamiast prostej odpowiedzi na to pytanie, podam przykład innej, dużo większej gwiazdy muzyki, bo rozpoznawalnej na całym świecie. Kilka lat temu piosenkarz Boy George zgłosił włamanie do swojego apartamentu w Nowym Jorku. Okazało się, że zgłosił fałszywe włamanie, a funkcjonariusze, którzy tam przybyli, znaleźli u niego w lokalu kokainę. Sąd w Nowym Jorku skazał wówczas gwiazdę na prace społeczne: pięć dni sprzątania miejskich ulic. Boy George – podobnie jak Kozidrak – bardzo nie chciał ich wykonywać. Wydano za to wobec niego nakaz aresztowania, a gdy zjawił się w sądzie, sędzia Anthony Ferrara powiedział mu: „To od ciebie zależy, czy zrobisz z tego ćwiczenia z upokarzania czy ćwiczenie z pokory". Krótko potem amerykańskie telewizje robiły relację live z tego, jak George w odblaskowej kamizelce zamiata ulicę.

Czy polski wymiar sprawiedliwości nie potrafi w ten sposób sprawiedliwości uczynić zadość? Dowiemy się za jakiś czas. Prokuratura zapowiedziała złożenie apelacji w tej sprawie. Domaga się dla Kozidrak: siedmioletniego zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych, świadczeń pieniężnych w kwocie 30 tys. zł i pokrycia kosztów sądowych oraz 10 miesięcy ograniczenia wolności polegającego na wykonywaniu nieodpłatnej pracy na cele społeczne w wymiarze 30 godzin miesięcznie.

Na koniec warto dodać, że gdyby w tym przypadku obowiązywały już zaostrzone kary według projektu Ministerstwa Sprawiedliwości – nowelizacja procedowana jest właśnie w Sejmie – Kozidrak straciłaby swoje bmw, bo przekroczyła próg półtora promila alkoholu, od którego konfiskata pojazdów będzie obligatoryjna. Groziłoby jej także pozbawienie wolności do lat trzech, a nie dwóch.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00 Pobyty: 09.05 - 19.06 oraz 19.06 - 25.09.2022r. www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 63687049a4

Sny o imperium

Piotr Gociek

Kilka lat przed atakiem na Ukrainę rosyjscy fantaści z lubością opisywali wojnę z NATO i mordowanie Ukraińców oraz Polaków. Putinowi się podobało

Nie warto się śmiać z fantastów. Wells opisywał okrucieństwo wojny powietrznej sześć lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej (i trzy dekady przed powstaniem doktryny Göringa wykorzystującej Luftwaffe). Arthur C. Clarke wymyślił satelity (i do końca życia żałował, że pomysłu nie opatentował), wyprawa na Księżyc opisana przez Roberta A. Heinleina w powieści science fiction została niemal idealnie powtórzona w rzeczywistości. Nie ma w tym żadnego wróżbiarstwa, wystarczy giętki umysł, zmysł obserwacji i odrobina wyobraźni. Wszystko to były rzeczy, które można było ekstrapolować, obserwując aktualny stan nauki i techniki. To pisarze. A co politycy i generałowie? Wspominałem o tym w innym miejscu, ale przypomnę: główna część ich roboty jest zadziwiająco podobna do pracy pisarza fantasty – chodzi o to, by wymyślając i testując rozmaite scenariusze, przygotować się na możliwe kryzysy w przyszłości.

PO DRUGIEJ STRONIE FRONTU

To, czego generał lub polityk nie może powiedzieć wprost, przekazać może w formie beletrystycznej; kilka lat temu głośno było na Zachodzie (także w Polsce) o książce jednego z wysokich oficerów NATO Richarda Schirreffa „2017: wojna z Rosją". Podobne pozycje powstawały i wcześniej, w tym podczas zimnej wojny. Zwykle były to lekko beletryzowane scenariusze konfliktów analizowanych na poważnie w sztabach. Czytają je także najważniejsi politycy. Czasem po cichu wspierają ich powstanie – emerytowany generał może napisać wprost to, czego politykowi powiedzieć nie wypada.

A po drugiej stronie linii frontu? Niewiele w Polsce pisano o podobnych publikacjach z Rosji zapewne dlatego, że zdecydowana większość z nich ma formę fantastyczną. Zatem traktaty Aleksandra Dugina i jemu podobnych bywały przedmiotem analizy. Powieściowe rozbudzanie imperialnych fantazji, a może zaspokajanie ważnych potrzeb rosyjskiego czytelnika (zapewne jedno i drugie) – już nie. Tymczasem jest co czytać, a lektura ta jeży włosy na głowie. Najgłośniejszą książką tego typu stało się „Trzecie Imperium. Rosja, jaka powinna być" Michaiła Juriewa, na którą uwagę zwrócił najpierw amerykański „Newsweek" w artykule o ulubionych lekturach Władimira Putina, a potem opisał na łamach portalu Jagiellonia.org jego redaktor naczelny Włodzimierz Iszczuk (a jego tekst był streszczany potem przez liczne portale). Żyliśmy już w świecie po aneksji Krymu przez Rosję i po rosyjskim ataku na Donbas. Zainteresowanie tym, kto i jak mebluje głowę Putina, było zatem w przyczyn oczywistych większe niż zwykle.

„Powieść Michaiła Juriewa jest bardzo popularna wśród rosyjskich elit politycznych, administracyjnych i wojskowych, nie można więc jej uznać jedynie za nieszkodliwą fantazję autora – pisał Iszczuk. – Opisaną w niej strategię wielu wysokich rangą Rosjan może postrzegać jako wskazówki do działania, szczegółowy, dobrze prze-

eprasa.pl 63687049a4

myślany plan. Wydarzenia na Ukrainie dają podstawy do przypuszczeń, że Putin działa zgodnie ze scenariuszem opisanym w tej książce". Jaki to scenariusz? Punktem docelowym nowego świata w roku 2053 jest podział globu ziemskiego na pięć bloków politycznych. Amerykanie rządzą obydwoma kontynentami amerykańskimi, Bliski Wschód i Afryka należą do nowego kalifatu, osobne są Indie, Chiny podbiły Australię, a piątą potęgą (tytułowym „Trzecim Imperium") jest Rosja obejmująca teren od Pacyfiku do Atlantyku – z całą Europą. Najciekawszy jest tu nie ów cel, lecz szczegółowo opisana droga, która ku niemu prowadzi. Najpierw Rosja wygrywa wojnę z Polską i Ukrainą (Lwów zostaje „dla przykładu" zrównany z ziemią), potem maszeruje dalej, ogniem i mieczem podbijając resztę Starego Kontynentu. Najzacieklej mordowani są ci, którzy najbardziej się bronią. Prócz Ukraińców i Polaków są to Brytyjczycy i Irlandczycy. Wojna z Ukrainą zaczyna się, dodajmy, w roku 2019. Michaił Juriew (już nieżyjący) nie był zawodowym fantastą, lecz politykiem, m.in. ministrem przemysłu i wiceprzewodniczącym Dumy Państwowej. Zamiłowanie do fantastyki odziedziczył zapewne po ojcu, pisarzu Zinowiju Jurjewie (w PRL ukazała się jego powieść „Sny szybkie").

Aż do roku 2019 nie chciało się czekać Fiodorowi Bieriezinowi, autorowi serii powieści o przyszłych wojnach Rosji. Pierwsza ukazała się w roku 2009 i nosiła tytuł „2010: Front ukraiński", potem powstały liczne kontynuacje. W artykule na łamach „Czasu Fantastyki" (2/2015) Adam Przechrzta nazywa Bieriezina „człowiekiem, który przewidział wojnę na Ukrainie". Jeszcze trafniejsze byłoby słowo „wymarzył". Bieriezin bowiem to nie kto inny, jak swego czasu prawa ręka Igora Girkina vel Striełkowa, czyli ministra obrony samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej oraz dowódcy „sił zbrojnych Noworosji", cokolwiek to miało znaczyć. Zauważmy zatem, że Bieriezin, który najpierw opisał, jak nowa wojna wybucha w obwodach donieckim i ługańskim, sam pięć lat później w takiej wojnie walczył. W jego fantastycznej wizji wojnę zaczyna NATO (desant na Krym), ale teren głównych walk się zgadza z dzisiejszym stanem faktycznym.

Sam Girkin też pisał, i to sporo – jego sylwetkę świetnie przybliżyła polskiemu czytelnikowi Renata Lis w artykule „Striełkow i wojna grafomanów" („Rzeczpospolita", 8 sierpnia 2014). Weteran wojny w Serbii (potem pułkownik specnazu) wrócił do ojczyzny nieusatysfakcjonowany, bo żądny dalszych walk. Tak bardzo żądny, że jego żołnierze zestrzelili malezyjskiego pasażerskiego boeinga 17 lipca 2014 r. Za tę zbrodnię Girkin/Striełkow ścigany jest międzynarodowym nakazem aresztowania przez holenderską prokuraturę. Jego miejsce pobytu i los są nieznane, wedle jednej z wersji może nawet już nie żyć – nie byłby to pierwszy raz, kiedy Moskwa likwiduje sprawców zbrodni, które sama zleciła.

Jeśli fantastyka jest rodzajem wspólnego zbiorowego snu, to w Rosji mamy do czynienia z wyjątkowo ciężkimi traumami i chorymi snami

Książki Juriewa i Bieriezina to w świetle obecnych wydarzeń na Ukrainie przykłady najbardziej dobitne, można rzec: doraźne, ale rosyjskie fantazje imperialne rozkwitały grubo wcześniej. Szczególnie wiele powstało ich w pierwszej dekadzie rządów Władimira Putina, między rokiem 2000 a 2010. Aby je opisać, potrzebna byłaby osobna książka, pokrótce jednak nakreślę główne kierunki tych rojeń. „Trzecie Imperium" i „Front ukraiński" to pozycje postulujące odbudowę pozycji Rosji w niedalekiej przyszłości. Należą do fantastyki optymistycznej (z punktu widzenia Moskwy), bo wreszcie nadchodzi w nich wyczekiwany czas rewanżu na znienawidzonej Ameryce.

Dużo bardziej ponure wizje znajdziemy w powieściach z nurtu liberpunku, które obszernie opisuje Andrzej Polak, m.in. w pracy „Antyutopia liberpunku i rosyjska fantastyka imperialna" (tom „Rosja w zbliżeniach", Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2016). Autorzy liberpunku z pozoru bliscy są zachodnim konserwatywnym krytykom globalizacji, ale trudno kibicować ich wywodom, nawet jeśli ma się słuszne pretensje do nadmiernych postępów politycznej poprawności czy zwyrodnień globalizacji oraz turbokapitalizmu.

Twórcy rosyjskich powieści tego typu „ostrzegają przed tym, co może się wydarzyć, jeśli tendencje liberalne i globalistyczne – służące, w ich przekonaniu, interesom Stanów Zjednoczonych i NATO – zdominują świat" – opisuje Polak. „W liberpunkowskich scenariuszach Rosja albo znika z mapy świata, albo podlega okupacji przez siły utożsamiane z Zachodem. Utwory te przepełnia poczucie klęski narodowej, powodujące wzrost nastrojów ksenofobicznych i żądzę rewanżu". Pesymizm tych wizji przełamywany bywa happy endem, który następuje jednak dopiero po bardzo długich i bardzo krwawych zmaganiach – otoczona i atakowana przez wszystkich Rosja przechodzi prędzej czy później przemianę (przebudzenie?), która pozwala jej przetrwać, a czasem i zatriumfować.

PRZESTAWIĆ ZWROTNICE DZIEJÓW

Dalej mamy liczne powieści alternatywne, w których złego losu udaje się uniknąć, bo przestawione zostają zwrotnice dziejów. Ulubionym momentem zmiany jest chwila wybuchu wojny między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim. W głośnej powieści Wasilija Zwiagincewa „Odyseusz opuszcza Itakę" to Rosjanie miażdżą Niemców w 1941 r. – książek tego typu jest dużo więcej. W innym cyklu Zwiagincewa przybysze z przyszłości trafiają do roku 1920, by pomóc białym w zwycięstwie nad bolszewikami. Wspomniany wcześniej Bieriezin (ten od „Frontu ukraińskiego") napisał też cykl książek, w których z pomocą Rosji przychodzi flota sowiecka z alternatywnej rzeczywistości. I tak dalej, i temu podobne. Jeśli nie roku 1941, to czasy rewolucji bolszewickiej – tam widzą rosyjscy fantaści możliwość skorygowania historii na rzecz przyszłej hegemonii Rosji.

Zauważmy wreszcie na koniec nurt utworów, które chwały szukają w sowieckiej alternatywie, to znaczy za niebyłą chcą uważać kompromitację zbrodniczego systemu i upadek Sowietów. Znów odwołam się do jednego z tekstów Pawła Laudańskiego z „Czasu Fantastyki" („Kraj Rad redivivus?", 3/2015), który opisywał konkurs literacki „ZSRR – 2061". Jego uczestnicy fantazjowali, jak wspaniała byłaby przyszłość, gdyby komunizm przetrwał. Nie ma oligarchów i żebraków, nie ma granic, jest „sprawiedliwość społeczna, przyjaźń między narodami, szacunek do samego siebie i przekonanie, że życie każdego ma głęboki sens".

Jeśli fantastyka jest rodzajem wspólnego zbiorowego snu o marzeniach i traumach, to w Rosji mamy do czynienia z wyjątkowo ciężkimi traumami i z wyjątkowo chorymi snami. Można skutecznie walczyć przeciw armiom. Ale jak zabić marzenie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

„Wieczór ateński" Jakowosa Rizosa można uznać za kwintesencję stylu belle époque FOT. STAVROS PSIROUKIS/ ALEXANDROS SOUTZOS MUSEUM/NATIONAL GALLERY

Taras z widokiem na Akropol

Wiesław Chełminiak

Dwusetna rocznica odzyskania przez Grecję niepodległości minęła bez fanfar. Co tu kryć, w ostatnich czasach Hellada, kiedyś maskotka Europy, straciła wiele ze swego powabu. Na odsiecz pośpieszył Luwr, otwierając wystawę „Paryż – Ateny. Narodziny nowoczesnej Grecji"

Rok 1821 był brzemienny w wydarzenia: gdy mieszkańcy Peloponezu porwali za broń, w Luwrze instalowano posąg Afrodyty, prawem kaduka wywieziony z wyspy Melos. Ta dwuznaczność już zawsze miała cechować relacje Greków z Zachodem. Szczerej sympatii towarzyszyły kalkulacje polityków i apetyt na starożytne zabytki. Dyplomaci, akredytowani w Konstantynopolu, brali udział w handlu i przemycie antyków. Ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych poważnie zastanawiali się, czy w hołdzie dla ojczyzny wolności i demokracji językiem nowego państwa nie ustanowić greki. W Petersburgu planowano rozbiór osmańskiego imperium i objęcie patronatem prawosławnych poddanych sułtana.

Filhellenizm żywił się wyidealizowaną wizją historii i teraźniejszości. Niedawne zauroczenie Orientem zamieniło się w pogardę dla barbarzyńskich wyznawców islamu. W każdym greckim łamignacie widziano zaś inkarnację Achillesa. Jak grzyby po deszczu powstawały komitety zbierające datki dla powstańców i ofiar wojny. Prezydent Haiti podarował transport kawy z prośbą, by pieniądze uzyskane ze sprzedaży zasiliły świętą sprawę wolności. Na Półwysep Bałkański ruszyli ochotnicy na czele z lordem Byronem, który konając w obleganej przez Turków Missolundze, dostarczył powstaniu męczennika z głośnym nazwiskiem. „Umarł dla Greków, jak drugi Jezus" – orzekł Aleksander Dumas starszy.

Rządom ta rebelia nie była w smak, zagrażała systemowi równowagi, ustanowionemu na kongresie w Wiedniu. Poza tym Turcję uważano za barierę dla zaborczości rosyjskich carów. Konserwatyści i liberałowie, wychowani na dziełach Homera i Herodota, musieli jednak przyznać, że ich ziomkom niepodległość należy się jak psu buda. „Wszyscy jesteśmy Grekami" – entuzjazmował się poeta Percy Shelley. Koalicja brytyjsko-francusko-rosyjska zmiażdżyła flotę i armię sułtańską. Była to pierwsza w historii zbrojna interwencja wymuszona przez opinię publiczną. Ten budujący przykład mieli przed oczami polscy powstańcy. Niestety, okazało się, że Europa wycenia nasze zasługi dla kultury i cywilizacji znacznie niżej. Odzyskaliśmy suwerenność sto lat po Hellenach, a i to na krótko.

KOLEBKA ZALANA KRWIĄ

Jubileuszową wystawę skrojono pod gust paryżan, więc narracja zaczyna się w 1675 r., gdy do tureckich jeszcze Aten przybył markiz de Nointel, ambasador Ludwika XIV. Król Słońce, ku zgorszeniu chrześcijańskiej Europy, spiskował z sułtanem przeciw Habsburgom. Markiz zadbał o pamiątkę z tej wizyty, zamówił wielki obraz: otoczony liczną świtą puszy się, mając za plecami malowniczą zatokę. Na Akropolu stoi meczet. Dwanaście lat później, podczas wojny turecko-weneckiej, potężna eksplozja obróci go w gruzy, razem z reliktami budowli, pamiętającymi Peryklesa.

eprasa.pl 63687049a4

Francuzi postrzegali ówczesną Grecję jako senną prowincję osmańskiego imperium. Hellenowie odgrywali w nim rolę podobną do Żydów. Od setek lat żyli w rozproszeniu – od Mołdawii i Wołoszczyzny do Egiptu i Gruzji. Niejeden zrobił oszałamiającą karierę, nie zmieniając nawet wiary. Kupcy i armatorzy greccy zdominowali śródziemnomorski handel, greckie duchowieństwo szarogęsiło się na Bałkanach i Bliskim Wschodzie. Gdy diaspora obrastała w bogactwo, matecznik podupadał. Grecy z Peloponezu i Wysp Egejskich wegetowali, odcięci od głównego nurtu historii. Ominęły ich europejskie rewolucje, przełomy cywilizacyjne i kulturowe. Analfabetyzm był powszechny, wiedza o świecie – znikoma. Panowanie sułtanów niczym zamrażarka przechowało tradycyjną niechęć prawosławia do rzymskich katolików. Opór przeciw władzy wyrażał się przede wszystkim w zbójnictwie.

Tymczasem na Zachodzie renesans uczynił grecko-rzymskie dziedzictwo intelektualnym spoiwem elit. Fascynacja antykiem przybrała na sile w epoce oświecenia. Poczet francuskich hellenofilów fetowanych w Luwrze otwiera hrabia Choiseul-Gouffier, autor wielce popularnej relacji z podróży do kolebki europejskiej cywilizacji, który zbudował sobie dom wzorowany na Erechtejonie. Greków, przybywających na Zachód w interesach lub po naukę, zdumiewały hołdy składane starożytnym filozofom, artystom, wodzom i politykom, o których istnieniu często nie mieli pojęcia. Filhellenizm przyczynił się do rozbudzenia w nich narodowej dumy, a paryska rewolucja ośmieliła do buntu.

Naród walczący o wolność stał się natchnieniem romantyków. Wiktor Hugo sławił irredentę w „Poezjach wschodnich", Berlioz skomponował na jej cześć kantatę. Pierre-Jean-David d'Angers wyrzeźbił małą dziewczynkę – personifikację Hellady, którą ustawiono na grobie Markosa Botsarisa – jednego z bohaterów powstania, zwanego Nowym Leonidasem. Eugène Delacroix namalował „Grecję umierającą na ruinach Missolungi" (obraz sprowadzono na wystawę z Bordeaux). Ary Scheffer, portrecista Chopina i przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, odpowiedział „Suliotkami", które wolały skoczyć z dziećmi w przepaść, niż poddać się muzułmanom.

Brakuje „Rzezi na Chios", ale przeniesienie tak sławnego obrazu z działu malarstwa francuskiego na biletowaną wystawę sprawiłoby przykrość tłumom turystów „zaliczających" Luwr. Delacroix i jego koledzy umocnili Francuzów w przekonaniu, że armia sułtana składa się z dzikich bestii, a grecka – z nieskalanych bohaterów. Mało kto wiedział, że na Chios Turcy mścili się za krwawą łaźnię sprawioną muzułmanom, a słynna Bubulina, kreowana na nową Joannę d'Arc, ozdobiła swój dom 300 głowami zamordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

NIEPEWNA TOŻSAMOŚĆ

Po zwycięstwie duma narodowa poszybowała do nieba. „Natura wyznaczyła granice ambicji innym ludziom, ale nie Grekom. Oni nie podlegli ani nie podlegają prawom natury" – przekonywał mnich Benjamin z Lesbos, autor traktatu o metafizyce i mentor lorda Byrona.

Przed zmartwychwstałym państwem stanęło karkołomne zadanie pogodzenia rodzimych tradycji z europejskością. Tymczasem jeszcze przed ostateczną klęską Turków bohaterowie powstania zdążyli się pokłócić i stoczyć wojnę domową.

Prozachodnia elita chciała ograniczyć wpływy Cerkwi. Dzięki prawosławiu lud zachował język i narodową tożsamość, ale hierarchia odmawiała poparcia rebelii nawet wtedy, gdy sułtan kazał wieszać biskupów. Konserwatyzm tudzież niski poziom umysłowy i moralny duchowieństwa drażniły liberałów. Forsowna europeizacja wzbudzała jednak protesty.

Książę Montpensier zwiedza ruiny świątyni Jupitera w Atenach
FOT. FRANCK RAUX/ RMN-GRAND PALAIS

Świątynia olimpijskiego Jupitera i Akropol, Ateny FOT. PASCAL SEBAH/ BILBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE

Pierwszy prezydent zlekceważył potęgę klanów i po trzech latach od wyboru został zasztyletowany. W efekcie międzynarodowych uzgodnień na tronie greckim zasiadł 18-letni Otto Wittelsbach.

Ateny liczyły 7 tys. mieszkańców. Dla porównania – w Konstantynopolu żyło w tym czasie grubo ponad 100 tys. Greków. Córka napoleońskiego generała, księżna Plaisance, osiedlając się w stolicy nowego państwa, wykazała się nie lada odwagą. Rezydencja ekscentrycznej damy (ku zaskoczeniu przyjaciół przeszła na judaizm) stała się mekką intelektualistów i polityków. Dzisiaj mieści się w niej Muzeum Bizantyjskie.

Ku żalowi Francuzów Ateny nie oglądały się jednak na Paryż. Greckim oknem na świat stało się Monachium. Co zdolniejsi artyści, korzystając z królewskiego stypendium, wyjeżdżali na studia do Bawarii, gdzie panował ojciec Ottona. Wracali jako wyznawcy akademizmu. Gdy w Atenach założono Szkołę Sztuk Pięknych, władzę w niej przejęli wychowankowie Königliche Akademie der Bildenden Künste, czyniąc z niej ostoję konserwatywnego gustu.

Rzeźbiarz Leonidas Drossis naśladował Fidiasza. Malarz Teodoros Wrizakis, którego ojca powiesili Turcy, sławił bohaterskie epizody wojny o niepodległość w stylu niemieckich romantyków. Monachijski sznyt widać też na płótnach Nikiforosa Lytrasa i Nikolaosa Gyzisa. Dzieła z kolekcji Galerii Narodowej w Atenach, do której turyści zaglądają z rzadka, w Luwrze mogą liczyć na większą publiczność.

eprasa.pl 63687049a4

Neoklasycyzm miał stać się antidotum na pięć wieków osmańskiego panowania, które wycisnęło piętno na krajobrazie Hellady. Sprowadzeni z Niemiec i Danii architekci wznosili gmachy rządowe i publiczne. Z kolei budowle wzorowane na helleńskich gmachach ozdobiły centrum Monachium. Plan urbanistyczny, który przygotował dla Aten Leo von Klenze, nie wytrzymał jednak konfrontacji z bałkańską żywiołowością: budował, kto chciał, jak chciał i gdzie chciał.

Z czasem fascynacja zaczęła ustępować miejsca rozczarowaniu. Romantyczni turyści skonstatowali, że pod wieloma względami ziomkowie Peryklesa przypominają Turków, których tak gorąco nienawidzą, a w ojczyźnie Solona bezkarnie plenią się korupcja, klientelizm oraz nepotyzm. Grecy ze swojej strony dostrzegli, że w polityce nie ma sentymentów i zaprzyjaźnione rządy traktują ich z góry, dbając w pierwszym rzędzie o własne interesy.

Wrogiem publicznym numer jeden stał się historyk z Tyrolu – Jakob Philipp Fallmerayer. Uznał on, że inwazje Słowian, Albańczyków i Turków całkowicie odmieniły etniczne oblicze południowo-wschodniej części Starego Kontynentu i że obecnie przeważa tam czynnik orientalny. Innymi słowy, w żyłach współczesnych mieszkańców Peloponezu i Wysp Egejskich nie płynie krew starożytnych Hellenów, a ich pretensje do europejskości są pozbawione podstaw. Dla Greków, na przekór Cerkwi nadającym potomstwu imiona pogańskich mędrców, bóstw i bohaterów, był to siarczysty policzek.

Kolumna „Tancerek z Delf"

FOT. HERVÉ LEWANDOWSKI/RMN-GRAND PALAIS

Eugène Delacroix, „Grecja na ruinach Missolungi"

FOT. F. DEVAL / MUSÉE DES BEAUX-ARTS DE BORDEAUX

Obsesja na tle chwalebnej przeszłości miała poważne konsekwencje dla kultury. Archaicznej greki nauczano w szkołach, pisano w niej poematy i sztuki teatralne. Akcja tępienia dialektów i obcych naleciałości trwała w najlepsze jeszcze w XX w. Tysiącletnią epokę Bizancjum ignorowano, bo kojarzyła się z mrokami średniowiecza. Antyczne dziedzictwo stało się tyleż atutem, co kulą u nogi. Zwłaszcza że w jego odkrywaniu główną rolę odgrywali cudzoziemcy.

KONIEC WIELKIEGO SNU

Francuzi od czasów Ludwika XIV przywykli potwierdzać swój mocarstwowy status w nauce, sztuce i kulturze. Korpus ekspedycyjny, który miał pomóc Grekom w wyzwoleniu Morei, czyli Peloponezu, zorganizowano na wzór egipskiej wyprawy Napoleona. Razem z żołnierzami zaokrętowano grupę uczonych i artystów z misją dokumentowania starożytnych zabytków. Następnym krokiem było założenie w 1846 r. École Française d'Athènes, która miała wychowywać kadry przyszłych hellenistów, a na miejscu szerzyć wpływy Paryża. Placówka, pierwsza tego typu poza Francją, zasłynęła z odkryć archeologicznych.

Władze greckie wprowadziły embargo na wywóz antyków, ale przyznawały koncesje na wykopaliska. Rywalizacja mocarstw objawiała się również w tej sferze. Niemieccy poszukiwacze rozgościli się w Mykenach i Olimpii, brytyjscy na Krecie, amerykańscy w Koryncie, francuscy w Delfach i na wyspie Delos (pracują tam zresztą do dzisiaj). Wystawa w Luwrze stworzyła okazję, by po raz kolejny pochwalić się bezcennymi znaleziskami. Czegóż tu nie ma! Brązy, ceramika, mozaiki i gipsowe repliki co bardziej efektownych posągów i fragmentów architektury. Tylko bezgłowa Nike z Samotraki po staremu strzeże schodów prowadzących na pierwsze piętro. Może nie chciano drażnić Aten, od dawna domagających się zwrotu arcydzieła?

Organizowane nad Sekwaną Wystawy Światowe umacniały stereotyp Greków zakochanych w antyku. Dopiero w 1900 r. ich narodowy pawilon przybrał kształt bizantyjskiej cerkwi, a w malarstwie skończyły się wpływy szkoły monachijskiej. Nagrodzony srebrnym medalem „Wieczór ateński" można uznać za kwintesencję stylu belle époque. Jego autor, Jakowos Rizos, Francuzom znany jako Jaques Rizo, wykształcił się, mieszkał i umarł w Paryżu. Obraz przedstawia eleganckie towarzystwo wypoczywające na tarasie z widokiem na Akropol. Doceniając dekoracyjne walory dzieła promującego ekspozycję w Luwrze, trudno nie zauważyć, że przypomina ono reklamę luksusowego hotelu. No cóż, takiej (i tylko takiej) Hellady Zachód potrzebował.

Datą końcową wystawy jest rok 1919. Rząd w Atenach, sądząc, że Turcja po przegranej pierwszej wojnie światowej leży na łopatkach, przystąpił wtedy do wcielenia w życie Wielkiej Idei. Grecja ze stolicą w Konstantynopolu, obejmująca Cypr, Trację, wschodnie wybrzeże Morza Egejskiego i południowe Morza Czarnego, to byłoby coś! Operacja, po obiecującym początku, zakończyła się katastrofą.

Tymczasem greccy artyści, sympatyzujący z różnymi odłamami europejskiej awangardy, skrzyknęli się w Paryżu. Temu projektowi również była pisana całkowita klęska. Publiczność, spodziewająca się tematów klasycznych lub przynajmniej orientalnych, zignorowała buntowników. Nie minął rok i grupa Techne się rozpadła. Helleńska sztuka znalazła się w impasie. Takim samym jak greckie elity, które uwierzyły, że wspaniała przeszłość może być kluczem do jeszcze wspanialszej przyszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Paris – Athènes. Naissance de la Grèce moderne 1675–1919" była prezentowana w paryskim Luwrze do 7 lutego 2022 r

eprasa.pl 63687049a4

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Rozmowa z więźniem sowieckiego łagru!

Piotr Zychowicz – **Rzeczpospolita Trojga Narodów**
Tomasz Stańczyk – **Kozacy u boku Polaków**
Maciej Rosalak – **Tajemnica hetmana Chmielnickiego**
Grzegorz Motyka – **Ukraina między Polską a Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Hiszpański komunista na Łubiance**
Arkadiusz Karbowiak – **Terror IRA**
Piotr Włoczyk – **DNA mamutów z Syberii**
Jakub Ostromęcki – **PRL atakuje Czechosłowację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 63687049a4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wejście na orbitę

★★★★★★

REŻ. JIMMY CHIN, ELIZABETH CHAI VASARHELYI „POWRÓT W KOSMOS" („RETURN TO SPACE") USA 2022

Choć do Netflixa wjechał już osobny dokument biograficzny o Elonie Musku, to ja chciałbym zachęcić do obejrzenia przede wszystkim filmu opowiadającego o jego własnym prywatnym programie kosmicznym. „Powrót w kosmos" to produkcja chwytająca za serce, przywracająca wiarę w ludzkie możliwości i wskrzeszająca ducha kosmicznego pionierstwa, który poprzednio obecny był w USA pół wieku temu, gdy Kennedy ogłosił plan wysłania człowieka na Księżyc.

Jimmy Chin i Elizabeth Chai Vasarhelyi, małżeński duet cenionych twórców filmów dokumentalnych (m.in. Oscar za „Free Solo"), towarzyszyli z kamerami pracownikom SpaceX przygotowującym misję Crew Dragon Demo-2. 30 maja 2020 r. prywatnej firmie stworzonej niemal dwie dekady wcześniej udała się rzecz zarezerwowana dotąd jedynie dla kosmicznych mocarstw – wysłanie kosmonautów na orbitę Ziemi. Lot odbywał się w ramach współpracy z NASA (SpaceX wygrał walkę o kontrakt), a pasażerowie lecieli na Międzynarodową Stację Kosmiczną, ale całość pozostaje przedsięwzięciem prywatnym.

W pierwszych partiach filmu sporo jest o Elonie Musku – co nie dziwi, w końcu od jego fortuny, jego pomysłów i marzeń rozpoczął się ten nowy rozdział w dziejach kosmicznej eksploracji. Potem coraz więcej miejsca zajmują kosmonauci Bob Behnken i Doug Hurley (oraz ich rodziny). Liczenie miliardów nagle okazuje się nieważne w obliczu najprostszych ludzkich lęków: czy mój mąż wróci żywy z tej misji? Co powiedzieć dzieciom – że tata ryzykuje życie? Pamiętajmy, że droga SpaceX do sukcesu okupiona była licznymi porażkami, był czas, kiedy rakiety Falcon płonęły jak zapałki.

Jednym z najbardziej wzruszających – ale i dających do myślenia – fragmentów filmu jest ten, kiedy widzimy Muska w głębokim stresie podczas przygotowań do odliczania i startu oraz gdy odpowiada na pytania dziennikarzy o bezpieczeństwo astronautów. Czym innym jest snucie pięknych planów na konferencjach prasowych i rzucanie frazesów o tym, że rasa ludzka musi stać się gatunkiem międzyplanetarnym, a czym innym mierzenie się ze świadomością, że jest się odpowiedzialnym za życie ludzi, których być może wysyła się na śmierć. Kamery uchwyciły ten lęk, tę samotność, to przygniatające brzemię odpowiedzialności. Fajnie być miliarderem – ale nie w takich chwilach. ©℗

NOWE SERIALE: „CAŁA PRAWDA O PAM" FOX

Kryminalna historia, która zdawać by się mogła wymyślona przez scenarzystów, gdyby nie to, że serial „Cała prawda o Pam" to właściwie fabularyzowane true crime. Wszystko to wydarzyło się naprawdę – o śmierć żony oskarżono jej naiwnego męża, proces wzbudził zainteresowanie dziennikarzy, bo na pierwszy rzut oka było widać, że coś tu nie gra, a najważniejszą figurą okazuje się tytułowa Pam (Pamela Hupp) – zakłamana, bez skrupułów, no i kluczowa dla zrozumienia wypadków z tamtej zimy. W roli tej świetnie wypada Renée Zellweger. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***miniseria „Cała prawda o Pam" („Thing about Pam"), USA 2022, dystr. FOX***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *miniseria* ***„Miasto jest nasze" („We Own This City"),*** *USA 2022* HBO max

• *sezon 1* ***„Lśniące dziewczyny" („The Shining Girls"),*** *USA 2022* tv+

• *sezon 1* ***„Bosch: Legacy",*** *USA 2022* IMDb TV

eprasa.pl 63687049a4

Cwałowanie walkirii

KINO

Jaki był świat Anno Domini 895? Z pewnością brutalny. Mężczyzna (jeśli chciał za takiego uchodzić) musiał zachowywać się jak dzikie zwierzę, lecz umrzeć wypadało mu honorowo – czyli od miecza. Kobieta (jeśli nie pasowała jej rola trofeum) mogła zostać zdrajczynią lub wiedźmą. W „Wikingu" gwałty, ćwiartowanie, podgryzanie gardła i picie krwi pokonanego wroga są na porządku dziennym. Władca cieszy się uznaniem, jeśli organizuje łupieżcze wyprawy, których głównym celem jest zdobycie niewolników. Książę Amleth, nieodrodny syn epoki, w odróżnieniu od szekspirowskiego Hamleta jest fatalistą pozbawionym skrupułów i wątpliwości. Przeznaczenie musi się dopełnić, bogowie na czele z Odynem łakną krwi, a najdzielniejsi wojownicy po śmierci trafią do Walhalli. Film Eggersa to wizualne cacko, choć Islandia i bez cyfrowego makijażu wygląda infernalnie. Szkoda, że historyczna wiarygodność nie idzie w parze z jakością scenariusza. Po obdarciu fabuły z pogańskiego mistycyzmu otrzymujemy zawstydzająco sztampową opowieść o zemście, która szczęścia nie daje, dokonywanej przy akompaniamencie bębnów tudzież wrzasków zabójców i zabijanych. Ogląda się tę rzeźnię z rosnącą obojętnością, a pod koniec ze znużeniem. Przodek Amletha, Conan z Cymerii, był przynajmniej zabawny. A Thorgal – bardziej ludzki. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. ROBERT EGGERS
„WIKING" („THE NORTHMAN")
USA/WIELKA BRYTANIA 2022

wyst. Alexander Skarsgård, Nicole Kidman, Claes Bang

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOM ZŁY

Rok 1927. Charków jest stolicą sowieckiej Ukrainy, a początkujący wierszokleta Wołodymyr dostaje kwaterunek w komfortowym gmachu, który partia podarowała literatom. Myśli, że otworzyły się przed nim wrota raju, tymczasem są to bramy piekła. Dom, wyposażony w stołówkę, pralnię, przedszkole, solarium i schron przeciwlotniczy, w rzeczywistości jest pułapką. Lokatorami, wzdragającymi się złożyć swoje talenty na ołtarzu kultu Stalina i socrealizmu tudzież niechętnymi rusyfikacji, zajmą się tajne służby. „Dajcie już spokój z tym ukraińskim, mówcie ludzkim językiem" – strofuje Wołodymyra „opiekun" Domu. To drugie podejście Tomenki do tematu, wcześniej nakręcił dokument o rozstrzelanym pokoleniu ukraińskich pisarzy. Przydałby się jeszcze serial, bo niektóre wątki i postaci potraktowano zdawkowo. Dom przetrwał drugą wojnę światową. Nie wiadomo, czy przeżyje „operację specjalną" Putina.

★★★★☆☆
REŻ. TARAS TOMENKO
„DOM »SŁOWO«. NIEDOKOŃCZONA POWIEŚĆ"
UKRAINA 2021

wyst. Dmytro Olijnik, Wiaczesław Dowżenko, Nina Naboka

TYLKO SPOKOJNIE

KINO

Polska klasa średnia spędza długi weekend na duńskiej plaży. Komedia? Bynajmniej, psychodrama rozpisana na związek z długim stażem, romans z Tindera i dzieciaki. Od początku w powietrzu unosi się zapach prochu, pozostaje tylko czekać na nieuniknioną eksplozję. Najwięcej do zagrania ma Agnieszka Grochowska – jej postać ewoluuje od zgorzkniałej kury domowej do kobiety niepodległej. Z kolei Maciej Stuhr występuje w innym filmie niż pozostała trójka. Nie jest to zarzut do aktora, lecz do scenarzystki i reżyserki. Anna Kazejak ułatwiła sobie sprawę, czyniąc z Huberta postać iście karykaturalną. Cóż to za orzeł Temidy, wyzuty z empatii i reagujący na każdą sytuację podbramkową słowami: „Tylko spokojnie"? Duńczycy raczej nie wykorzystają tej fabuły do promowania hygge, zwłaszcza że zamiast tytułowego Bornholmu oglądamy Koszalin, Mielno i Ustronie Morskie. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. ANNA KAZEJAK
„FUCKING BORNHOLM"
POLSKA 2022

wyst. Agnieszka Grochowska, Maciej Stuhr, Grzegorz Damięcki

GRA TYGODNIA: „NINTENDO SWITCH SPORTS"

★★★★☆☆

Familijna i imprezowa zręcznościówka, która wymaga użycia Joy-Conów i wstania z kanapy. Do wyboru gry będące wariacją sześciu dyscyplin: piłki nożnej (nieco w stylu „Rocket League", ale bez pojazdów), siatkówki, tenisa, badmintona, kręgli oraz chanbary, czyli walki na piankowe miecze. Gameplay i sterowanie za pomocą gestów są uproszczone, dzięki czemu wystarczy krótki trening, by dość pewnie czuć się pod siatką czy z rakietą w ręce. Jest też tryb dla zaawansowanych, który stawia nieco większe wymagania. Sześć prostych gierek za 200 zł. Czy warto? Tylko jeśli planujecie grać z rodziną lub ze znajomymi. Ale tak to już jest z grami towarzyskimi od Nintendo. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *Zręcznościowa*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, Conquest Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 63687049a4

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bośniackie dylematy

28 czerwca 1914 r. w Sarajewie Gavrilo Princip zabił austriackiego następcę tronu arcyksięcia Ferdynanda i jego żonę Zofię. Tak rozpoczęła się pierwsza wojna światowa.

Princip ze względu na młody wiek – był 20-latkiem – na procesie nie dostał kary śmierci, ale z 20 lat ciężkiego więzienia odsiedział niecałe cztery. Zachorował na gruźlicę kości, na ścianie w celi wyrył napis: „Nasze duchy będą się błąkać po Wiedniu i straszyć jaśniepanów" i umarł. Jeszcze wcześniej w tej samej twierdzy w Terezinie zmarli jego skazani towarzysze – Trifko Grabež i Nedeljko Čabrinović. Centralnymi postaciami książki Jergovicia „Nadprzyrodzony wyraz jego rąk" są właśnie ci „młodzieńcy, którzy chcieli zmienić rzeczywistość, bo w nią wierzyli, wierzyli w istnienie obiektywnego świata, który może być lepszy". Tak pisze Miłosz Waligórski, tłumacz tej ciekawej, choć skłaniającej do polemiki, postmodernistycznej powieści, w której fakty historyczne idą w parze z beletrystyką, a postaci znane z podręczników historii i literatury poddawane zostają przeróżnym zabiegom z liftingiem włącznie.

Arcyksiążę był dla swojego zabójcy kimś w gruncie rzeczy nieistotnym – przekonuje Miljenko Jergović. Nie widział w nim konkretnego człowieka, lecz symbol ucisku. Czy to go jednak w jakikolwiek sposób usprawiedliwia? Autor „Nadprzyrodzonego wyrazu jego rąk" przedstawia całą litanię politycznych zamachów, których na początku XX w. był istny wysyp. Zginęli w nich m.in. król włoski i amerykański prezydent, rosyjski premier i minister spraw wewnętrznych, premierzy Grecji, Bułgarii, Iranu i Egiptu, japoński książę i prezydent Meksyku, a jeszcze król Portugalii i głównodowodzący armii tureckiej. I tak dalej, i tak dalej. Tak „jak dziś na ulicach Kabulu, Ramallah czy Hajfy – pisze Jergović – giną tłumy cywilów, tak wtedy ginęli cesarze, królowie i premierzy. W tamtych czasach jednak zabijaniem trudnili się pojedynczy zamachowcy i członkowie tajnych organizacji, obecnie zaś dzieje się to w imię prawa i pod auspicjami międzynarodowych instytucji. Kiedyś ludzie strzelali do władzy, a teraz władza strzela do ludzi".

FOT. RAFAŁ GUZ/FORUM

Trudno nie zauważyć, że lewicowość autora nadto przystająca do poglądów Gavrila Principa pozwala mu dzielić włos na czworo i w jego zbrodni doszukiwać się wyższych, jakoby, pobudek. Nie inaczej postrzegano zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda w komunistycznej Jugosławii, w której Princip uchodził za bohatera, imieniem jego nazywano szkoły i ulice. Dziś jest nieco inaczej, bo jednak terror jest terrorem i niczym więcej, ale – powiada Jergović – „zapomina się, że zabójcy walczyli o wolność, i równocześnie zbyt łatwo im się wybacza, że strzelanie z ukrycia to nie jest bohaterski czyn, nawet jeśli strzela się do tyrana. Z drugiej strony jednak bohatersko jest bronić własnych ideałów. I właśnie ta myśl towarzyszyła Gavrilovi Principowi przed, w trakcie i po zamachu".

Miijenko Jergović to autor znany i uznany. Sławę przyniósł mu zbiór opowiadań o ogarniętej wojną Bośni i Hercegowinie „Sarajewskie Marlboro". U nas 10 lat temu otrzymał nagrodę Angelusa za powieść „Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki". A całkiem niedawno ukazała się inna książka tego samego pisarza – „Herkules". Mocno dyskusyjna, miejscami nie do przyjęcia, ale ciekawa. Nie tylko dlatego, że Jergović przekłuwa w niej futbolowy balon, w Chorwacji, po sukcesach reprezentacji w ostatnich latach, rozdęty do niebotycznych rozmiarów. Ale co począć z tymi, którzy jak wspominany w „Herkulesie" Aleksander Niksić nie znoszą „całego tego potu, całej nadaremnie mobilizowanej męskości, grymasów bólu na twarzach sportowców, piłkarzy, którzy tarzają się na trawie jak ciężko ranni z Wielkiej Wojny"? A co dopiero się dzieje, gdy przychodzi Chorwacji grać z Serbią? I właśnie tragiczne skutki takiego wydarzenia przedstawia Jergović w „Herkulesie", akcję powieści umieszczając – na szczęście – w niedalekiej, ale jednak, przyszłości.

„Herkules" to także książka o Sarajewie, mieście, w którym Jergović urodził się, przeżył młodość i opuścił je w 1993 r. A pisze o nim bez przerwy, bo – tak jak jego bohaterów – to ono go stworzyło i naznaczyło na zawsze. Przede wszystkim lękiem. ©℗

★★★★☆☆
MILJENKO JERGOVIĆ „NADPRZYRODZONY WYRAZ JEGO RĄK" SEDNO, WARSZAWA 2022

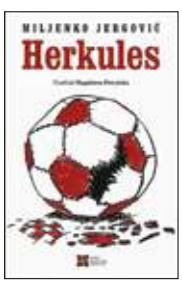

★★★★☆☆
MILJENKO JERGOVIĆ „HERKULES" SEDNO, WARSZAWA 2022

eprasa.pl 63687049a4

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na wschodzie bez zmian

Szanowni czytelnicy pamiętają zapewne książkę jednego z autorów „Do Rzeczy": „Jak nas piszą cyrylicą" Macieja Pieczyńskiego. Kto nie pamięta, niech sobie czym prędzej przypomni, a jednym i drugim rekomenduję lekturę wraz z książką „Pańska, szlachecka, faszystowska. Polska w sowieckiej propagandzie, kulturze i historiografii 1917–1945".

Książki te uzupełniają się doskonale. Maciej Pieczyński przeprowadził rozmowy z postaciami z Ukrainy, Rosji i Białorusi malującymi na różne sposoby obraz współczesnej Polski. Najbardziej szokująca była część poświęcona rosyjskiemu punktowi widzenia, gdzie od Dugina do Markowa płynęły opowieści o tym, jakimi jesteśmy faszystami, psami łańcuchowymi Ameryki i jak rozpętaliśmy drugą wojnę światową.

Wielu czytelników było kiedyś skłonnych bagatelizować te tezy: „Gadają od rzeczy, ale w końcu przecież wojny Zachodowi nie wypowiedzą". Dziś ten ton i te argumenty słyszymy każdego dnia w streszczeniach przekazu mediów rosyjskich (które zdążyły już faszystami ogłosić nawet Szwedów).

Doktor Tadeusz Paweł Rutkowski przypomina pośrednio w swojej imponującej pracy, że to żaden wykwit putinowskiego, nowego imperializmu, tylko po prostu polityka kontynuacji. Straszliwe propagandowe bzdury i bezczelne kłamstwa już wtedy miały się dobrze.

Narracja o Polsce głupiej szlachty, okrutnych jaśniepanów i oczywiście faszystów rozkwitała przecież pod rządami partii komunistycznej. Rutkowski prześwietla przekaz propagandy, wizerunki Polski i Polaków w kulturze, zagląda do prac historyków. Poniatowski bez portek grozi więc Leningradowi w wierszu Nikołaja Tichonowa. Prześladowana przez bogaczy, policjantów i księży biedota polska oraz żydowska marzy o komunistycznym wyzwoleniu w filmie „Granica" (1935) Michaiła Dubsona. Piłsudski kupuje Petlurę (to tytuł innego filmu). Dowiadujemy się wreszcie, że Warszawa to najlepszy sojusznik Hitlera i nawet kampanie prasowe oczerniające Sowietów są w Polsce i Niemczech ze sobą zsynchronizowane.

Oparta na obszernej kwerendzie książka Rutkowskiego jest trzeźwiąca i przerażająca, w dzisiejszej sytuacji wręcz bezcenna. Rosja nie ma przyszłości, tonie w skąpanej krwią teraźniejszości, a historia… Cóż, historia jest dla niej tylko jeszcze jednym narzędziem prowadzenia agresji. ©℗

★★★★★☆

TADEUSZ PAWEŁ RUTKOWSKI „PAŃSKA, SZLACHECKA, FASZYSTOWSKA"
NCK 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Brytyjska mistrzyni literatury grozy tym razem jako specjalistka od krótkiej formy. Zbiór opowiadań autorki „Kobiety w czerni", cenionej nie tylko za ghost stories, lecz także za kryminały, prozę psychologiczną i książki dla dzieci.

SUSAN HILL „ZAGRABIONE ŻYCIE"
ZYSK I S-KA

Biografia Bohdana Smolenia, czyli jednego z tych bohaterów polskiej estrady, których dorobek znają wszyscy, ale życia – nikt. Z licznych wspomnień i anegdot wyłania się postać daleka od kryształowej, a zarazem tragiczna.

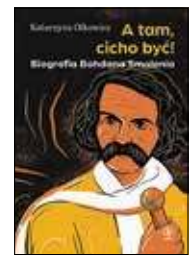

KATARZYNA OLKOWICZ „A TAM, CICHO BYĆ"
REBIS

„Upadek cywilizacji chrześcijańskiej" ukazał się w 1978 r. W polskiej edycji połączony został z inną pracą: „Odrodzenie cywilizacji chrześcijańskiej". Diagnozy z tej pierwszej znamy, druga jest inspirująca oraz intrygująca.

JOHN SENIOR „UPADEK I ODBUDOWA CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ"
DĘBOGÓRA

Obficie ilustrowana praca ukazująca, jak w sztuce polskiej lat 1920–1939 ukazywano Bitwę Warszawską. Od obrazów do pocztówek, medali czy nawet kartek żywnościowych. A można było pójść dalej (komiks, książki dla dzieci).

Piotr Gociek

TOMASZ NIKLAS „OBRAZ ZWYCIĘSTWA"
IPN

KOMIKS TYGODNIA: „WANTED LUCKY LUKE"

Kolejna udana próba nieco poważniejszego spojrzenia na legendarnego bohatera komiksu (Bonhomme narysował już świetny album „Człowiek, który zabił Lucky Luke'a"). W tomie „Wanted" samotny kowboj staje się dla trzech pięknych sióstr towarzyszem podróży, obrońcą i obiektem miłosnej fascynacji (mimo podejrzeń o prowadzenie podwójnego życia, bo po prerii walają się plakaty z nagrodą za jego głowę). Postaci mitycznej – a taką maluje Bonhomme – nie da się jednak okiełznać. Legenda zawsze pozostaje nieuchwytna: dla zakochanych dam i licznych przeciwników. ©℗

MATTHIEU BONHOMME „WANTED LUCKY LUKE"
EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 63687049a4

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Marc Chagall kameralnie

Otwartą tuż przed majowym weekendem w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawę zatytułowano po prostu „Chagall". To kameralna ekspozycja, na którą składa się 16 dzieł Marka Zacharowicza Szagala, malarza i grafika pochodzenia żydowskiego, obywatela rosyjskiego i francuskiego, czołowego przedstawiciela kubizmu, którego twórczość – za sprawą reprodukcji przedstawianych w różnych kontekstach – przeniknęła do kultury popularnej.

Czternaście z szesnastu prac na wystawie „Chagall" to kolekcja zakupiona jesienią ubiegłego roku przez Muzeum Narodowe w Warszawie ze środków rezerwy budżetowej prezesa Rady Ministrów. Zbiór zakupiony od rodziny Chagalla w szwajcarskim domu aukcyjnym to przykłady dojrzałej twórczości artysty, powstałe w latach 60. i 70. XX w.

Wystawa w MN to pierwsza okazja, by zobaczyć w Polsce zakupioną kolekcję. Okazja, którą warto wykorzystać, ponieważ ze względu na nietrwałość papierowego podłoża i stosowanych przez Chagalla technik kolekcja nie może być w stałej prezentacji. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Muzeum Narodowe***
KIEDY? ***do 24 lipca***

FOT. BARTOSZ BAJERSKI/MNW

FOT. PODLASKIE MUZEUM KULTURY LUDOWEJ

W ŚWIĘTYM KĄCIE

Tanie oleodruki, dzięki dodatkowi oleju w farbie lekko błyszczące, co miało odzwierciedlać niedostępne w wiejskich chatach malarstwo, wprowadziły wizerunki świętych pod strzechy. Podlaskie Muzeum Kultury Ludowej w Wasilkowie koło Białegostoku na wystawie „Święci patroni wiejskich chat na Podlasiu" prezentuje kilkadziesiąt oleodruków z około półtysięcznego zbioru, dzieląc ekspozycję na trzy części: 1. kult maryjny, 2. wizerunki Chrystusa, Boga Ojca i świętych, 3. aranżacja wnętrza domu wiejskiego z wyodrębnionym „świętym kątem". ©℗

GDZIE? ***Bobra Wielka***
KIEDY? ***do 30 czerwca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Produkt jubileuszowy

Po ponad pięciu latach T.Love powraca na scenę, by świętować 40-lecie istnienia. Z tej okazji odnowiony został skład zespołu, który 30 lat temu nagrał ceniony album „King".

Na „Hau! Hau!" dostajemy zestaw poprockowych piosenek aż nadto przyjaznych radiowym falom. Dominują „miłe" klawisze, gitary prowadzą small talk, a perkusja zepchnięta na tylny plan bezemocjonalnie wybija rytm. Jest melodyjnie, refreny powtarzane są do znudzenia, by wpadały w ucho. Duże rozczarowanie, szczególnie że za produkcję nagrań odpowiedzialny jest Janek Benedek, co Stonesów w genach ponoć ma. To on jest autorem tej gładkiej muzy.

Muniek trzy lata temu wydał świetny album „Syn miasta" z mocnymi tekstami. Na „Hau! Hau!" również i jego ogarnęła popowa nijakość. Nawet jeśli kąsa, to jakoś bezzębnie: „A ty wyłącz TVP", „rządowe brednie wokół mnie", „mym kumplem nie jest księżyca złodziej", „won Babilon"...

Dopiero siódmy na płycie, tytułowy „Hau! Hau!" wybija z letargu. Wreszcie gitary rzężą należycie, a Muniek podnosi głos. Hymnowe „Trzy czwarte" posiadają nowofalowego kopa, a zz-topowa „Ponura żniwiarka" nieźle wibruje w mózgownicy. Po tym niezłym tercecie w finałowej „Ziemi obiecanej" Muniek na tle muzyczki jakby z reklamy Doppelherz przesyła wiadomość: „Nie pytam, skąd jesteś, czy z tych bloków czy z pałaców krwi". ©℗

★★★☆☆☆
T.LOVE
„HAU! HAU!"
UNIVERSAL

★★★★☆☆
LAIBACH
„WIR SIND DAS VOLK"
MUTE

Słoweńcy wzięli na warsztat pisma Heinera Müllera, NRD-owskiego dramatopisarza, i stworzyli antymusical, w którym zapytują o istotę germańskiej duszy. Jest tradycyjnie wagnerowsko, choć mniej industrialnie, a bardziej symfonicznie. Ordnung und disziplin.

★★★★★☆
RY COODER/TAJ MAHAL
„GET ON BOARD"
NONESUCH

Zaczynali razem w zespole Rising Sons. Po 50 latach weszli do studia i nagrali piosenki bluesowego duetu Sonny Terry & Brownie McGhee. Weterani grają z radością, żywiołowością, zabójczymi wibracjami pokazując kunszt wykonawczy i instrumentalny. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

Rassija nasza – bolszynskoje błoto

FOT. MARIANNA KLIESZA

Grzegorz Kondrasiuk

„Nastia" to jedyne dziś aktualne przedstawienie grane w polskich teatrach. Jeszcze pół roku temu mogłoby się wydawać krwawym ekscesem, pogłosem modnego niegdyś brutalizmu. Ale nie dziś, kiedy przed wyjściem do teatru, zerkając na ekran, można nieopatrznie ujrzeć kadry z Kramatorska, gdzie Rosjanie zrzucili bomby kasetowe na peron pełen ludzi, i trzeba to sobie – to i kilka innych spraw – jakoś wyjaśnić. O dziwo, jak nigdy wyjaśnienie przychodzi od teatru

Spektakl pokazywany jest na małej scenie warszawskiego Teatru Powszechnego. Pomysł wyszedł od uciekinierów z Białorusi. Reżyser Jura Dziwakou i scenografka Tatsiana Dziwakoua postanowili przypomnieć o istnieniu Władimira Sorokina, rosyjskiego pisarza dysydenta, i zaadaptowali jego opowiadanie „Nastia" wydane w roku 2001.

Wersja robocza, stworzona dzięki ministerialnej rezydencji dla białoruskich artystów emigrantów, okazała się na tyle obiecująca, że przeobraziła się w spektakl włączony do repertuaru Teatru Powszechnego. W trakcie prób, pomiędzy pierwszym pokazem efektów rezydencji w grudniu 2021 r. a finalną premierą w kwietniu 2022 r., rozszalała się wojna i okazało się, że proza Sorokina nie jest chorym, obłąkanym rojeniem, ale precyzyjnym zapisem z zanurzenia w odmęty tzw. rosyjskiej duszy.

Oto w pewnym arcyrosyjskim dworku, na arcyrosyjskiej prowincji, emblematyczna, inteligencko-ziemiańska rodzina Sablinów urządza przyjęcie z okazji 16. urodzin ich córeczki – Nastki. Początkowe obrazy, sielankowe, pełne odwołań do klasycznych motywów z rosyjskiej prozy realistycznej w typie Turgieniewa zmieniają się w zgęszczony koszmar. Okazuje się, że uroczyste przyjęcie z udziałem przyjaciół rodziny, w tym popa, jest zaplanowane jako uczta kanibali, podczas której upieczona i zjedzona zostaje Nastia, w trakcie arcykulturalnej konwersacji.

Dysputa ma charakter filozoficzny: gospodarz w rozmowie z przyjacielem domu i z popem w sposób klarowny przedstawia zręby nihilistycznego światopoglądu, któremu zawdzięczamy dziś tzw. ruski mir. Ten śmiertelny koktajl idei przyrządzony jest z radykalnego darwinizmu, ze spotworniałej interpretacji myśli Nietzschego, z pansłowiańskiego mesjanizmu, z dialektyki pana i niewolnika, bez zrozumienia, że istnieją też inne oferty. Fizycznych form jego uprawiania dostarczają mu parodie prawosławnego rytu oraz sadomasochizm.

Jura i Tatsiana Dziwakou stworzyli autonomiczny język teatru w białoruskiej grupie Laboratory Figures Oskar Schlemmer. Reprezentują ciekawą, niestety mało w Europie znaną osobną białoruską awangardę, łącząc sztuki wizualne, projekcje wideo, operę, lalki z teatrem dramatycznym. Do inscenizacji takiego tekstu doskonale przydał się ten styl sceniczny, wywiedziony chyba głównie z surrealizmu. Choć przedstawienie ma kilka brutalnych scen, to omija pułapkę realistycznej dosłowności czy estetyki gore, co w teatrze groziłoby tandeciarstwem. Jest dziełem klarownym i zdyscyplinowanym, podporządkowanym muzyce (Olga Podgaiskaya) i wizualizacjom (Palina Kamarova). Czasem bliżej mu do awangardowej opery i instalacji, do czego, jak się okazuje, bez zgrzytu pasują i postaci teatralne, rozwiązane formalnie bez uciekania się w grę psychologiczną, i nawiązania do obrzędowości. Białorusko-ukraińsko-polski zespół aktorski zebrany przy realizacji „Nastii" (Ekaterina Jermołowicz, Wolha Kalakolsawa, Natalia Lange, Artem Manuilow, Daria Nowik, Mikałaj Stońka) zestroił się doskonale w tej formule. Dziwnie brzmią w tej sytuacji komplementy… Ale był to teatr okrucieństwa jak się patrzy, radykalny i zdyscyplinowany. Dość powiedzieć, że publiczność Teatru Powszechnego, gustująca wszak w skandalach i przekroczeniach („Klątwa", „Diabły"), nie w całości wytrzymała do końca premierowy pokaz.

Sporo się w Polsce dyskutuje o bojkocie rosyjskiej kultury i nie ma w tej kwestii jednomyślności. „Rassija nasza – bolszynskoje błoto. Żywiom my wsie jak na swajach, gadajem kuda, bladź, nogu pastawić, na szto oparejetsa". Tak to właśnie powinno brzmieć, po rosyjsku, dobitnie – i właśnie tak brzmi, mówione z mocą, dobitnie przez ukraińskiego aktora Artema Manuilowa, syna donieckiego górnika, pochodzącego z okupowanych obecnie przez Rosję terenów, którego kreacja w „Nastii" w kwietniu 2022 r. nie mieści się w zwyczajowych standardach i etykietach przynależnych aktorstwu. Rosja nasza, jak wielkie bagno, żyjemy wszyscy na stosach. Gdzie tu, kur.a, nogę postawić, na czym polegać… Spektakl „Nastia" daje odpowiedź, co możemy w tym momencie z dziełami Rosjan robić. ©℗

„NASTIA" NA PODSTAWIE OPOWIADANIA WŁADIMIRA SOROKINA
TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE, SCENA MAŁA
REŻYSERIA: JURA DZIVAKOU
PREMIERA: 7 KWIETNIA 2022 R.

eprasa.pl 63687049a4

Ludobójstwo a polityka

Pogrzeb poległych w Buczy FOT. ANASTASIA VLASOVA/GETTY IMAGES

Wojciech Golonka

Wydarzenia z Buczy, nagłośnione na świecie i przedstawiane nierzadko jako ludobójstwo, odegrały niemałą rolę w percepcji wojny rosyjsko-ukraińskiej, a także odnośnie do jej dalszego rozwoju

Bucza – podkijowskie miasto – stała się symbolem okrucieństwa wojny rosyjsko-ukraińskiej, odkąd na przełomie marca i kwietnia, po wycofaniu się wojsk rosyjskich, znaleziono w niej setki ciał ofiar, niepogrzebanych i pogrzebanych, a zeznania świadków donoszą o grabieżach, gwałtach, torturach, a przede wszystkim egzekucjach ze strony żołnierzy Federacji Rosyjskiej. Od tego czasu obraz Buczy funkcjonuje poniekąd jako nazwa zbiorcza dla wszystkich miejsc ziemi ukraińskiej, gdzie doszło w ostatnim czasie do podobnych horrorów wojny, a których nagłośnienie na świecie wywołało wiele wyrazów potępienia i politycznych reakcji. Bucza stała się powodem do kolejnych sankcji nałożonych na Rosję, a także powodem dla Ukrainy do wycofania się ze wstępnych ustaleń negocjacji pokojowych, które, przynajmniej w narracji strony rosyjskiej, zdawały się już obiecujące, jeśli idzie o osiągnięcie warunków rozejmu.

Bucza, w końcu i być może przede wszystkim: krwawe interludium po pierwszej fazie inwazji, które przyczyniło się do zmobilizowania państw zachodnich do znacznego zwiększenia ich militarnego wsparcia Ukrainy, również ciężkim sprzętem, w obliczu bitwy o Donbas, tj. fazy wojny, którą prezydent Zełenski określił tym razem jako pełnowymiarową inwazję Ukrainy. Wydarzenia z Buczy zatem, nagłośnione na świecie i przedstawiane nierzadko jako ludobójstwo, odegrały niemałą rolę w percepcji wojny rosyjsko-ukraińskiej, a także odnośnie do jej dalszego rozwoju.

SPÓR O KWALIFIKACJĘ

Jeśli zachodnie elity okazały się dość jednomyślne w nazywaniu wydarzeń z Buczy zbrodniami wojennymi, to już ich uznanie za ludobójstwo spowodowało wyraźny rozdźwięk wśród partnerów Ukrainy; do tego stopnia, że co bardziej powściągliwe wypowiedzi spotykały się z ogniem krytyki. Dyskusję wzbudziły m.in. wypowiedzi prezydenta Emmanuela Macrona, formułowane wprawdzie w kontekście kampanii wyborczej, jednak naznaczone właściwą dla dyplomacji francuskiej orientacją, o czym za chwilę. Tchnąca ostrożnością pierwsza wypowiedź prezydenta: „Jest bardzo prawdopodobne, że w Buczy zostały popełnione zbrodnie wojenne" ustąpiła parę dni później deklaracji, że masakra – a zatem zbrodnia w Buczy – sprawiła, że przestał rozmawiać z Władimirem Putinem. Emmanuel Macron odmówił jednak uznania tej masakry jako ludobójstwa, pozostawiając tę kwestię prawnikom, podając przy tym dość specyficzny kontrargument: Ukraina i Rosja są przecież bratnimi narodami, czym być może sugerował, że bratnie narody nie dokonują na sobie ludobójczych czystek.

Wypowiedź ta wywołała zrozumiałą krytykę Ukraińców, rozgoryczonych nazywaniem swych najeźdźców (w tym zbrodniarzy!) bratnim narodem, choć argument podany przez francuskiego przywódcę był wadliwy nawet z bardziej pryncypialnego powodu. Jeśli bowiem przyjąć przesłankę o bratnich narodach, to trzeba pamiętać, że wojny domowe należą do najokrutniejszych, o czym dobitnie świadczy także sama historia Francji. Choć samo pojęcie ludobójstwa, autorstwa polskiego prawnika Rafała Lemkina, pochodzi z 1944 r. i powstało w czasie drugiej wojny światowej na potrzeby klasyfikacji i zapobiegania na przyszłość szczególnym

eprasa.pl 63687049a4

zbrodniom barbarzyństwa, to bywa ono używane retroaktywnie – co robił zresztą dla ilustracji sam Lemkin – dla moralnego określenia masowych mordów na ludności cywilnej w historii współczesnej, jak np. w przypadku ludobójstwa Ormian i Asyro-Chaldejczyków (tych ostatnich niestety często się pomija). Przypadek rzezi Ormian z rąk Turków, z racji ich przynależności etnicznej i religijnej, jest też o tyle wymowny, że ludobójstwo to miało miejsce ponad 100 lat temu, a jego jednoczesne uznanie przez 29 parlamentów (w tym Polski, USA i Rosji, lecz nie Ukrainy) miało symbolicznie miejsce dopiero w kwietniu 2017 r., kiedy podobny akt nie mógł już realnie zaszkodzić relacjom dyplomatycznym i handlowym z Ankarą, która raz po raz ukazuje irytację wobec podobnej kwalifikacji tamtejszych czynów.

Wracając do wątku francuskiego: otóż pierwszego ludobójstwa w historii współczesnej historycy dopatrują się właśnie w eksterminacji ludności Wandei w czasie wojny domowej towarzyszącej rewolucji francuskiej, a to na podstawie zachowanych zapisów rozkazów eksterminacji tejże ludności właśnie jako ludu wandejskiego, wydanych przez władze paryskie.

Kiepski argument prezydenta Francji nie oznacza jednak, że jego ostrożność nie była uzasadniona z innych powodów, w tym z punktu widzenia samych interesów Francji. Trafny jest zarzut, że nie trzeba być prawnikiem, aby pojąć, czym jest ludobójstwo, niemniej laik czytający prawną definicję ludobójstwa obok aspektu materialnego, jakim są szkody wyrządzone na życiu bądź nawet tylko zdrowiu lub psychice określonej grupy narodowej, etnicznej, rasowej czy religijnej, musi uwzględnić aspekt intencjonalny zniszczenia tejże grupy bądź jej części właśnie ze względu na jej narodowość, przynależność rasową bądź etniczną tudzież religię. Innymi słowy – zbrodnia o charakterze masowym nie jest automatycznie ludobójstwem, choć, ma się rozumieć, już sama okoliczność liczebności rodzi z automatu pytanie, czy nie zachodziła właśnie intencja ludobójcza.

WIELOWĄTKOWE DONIESIENIA

W przypadku Buczy doniesienia są wielowątkowe: mowa o ofiarach ostrzału artyleryjskiego (być może nawet ze strony ukraińskiej), a także wstrząsających świadectwach mówiących o torturowaniu osób celem uzyskania informacji wywiadowczych, rozstrzeliwaniu mężczyzn w wieku poborowym, zabijaniu ofiar gwałtów czy świadków kradzieży. Jeśli ból i oburzenie, które wywołuje horror podobnych historii, uzasadniają mówienie o ludobójstwie w znaczeniu moralnym, to przyznam, że jako laik nie mam pojęcia, jak zakwalifikuje je prawnie Międzynarodowy Trybunał w Hadze na podstawie rzetelnie sporządzonego i przeanalizowanego materiału dowodowego. Możliwe zresztą, że postęp w jego zbieraniu uczyni podobną kwalifikację bezsprzeczną; burmistrz Buczy twierdzi np., że ustalono, iż żołnierze rosyjscy poszukiwali mieszkańców miasta – przedstawicieli kijowskich elit politycznych – według przygotowywanych list celem ich likwidacji. Ale nawet w takim przypadku można by zapytać, czy zbrodnicza intencja likwidacji danej grupy rzeczywiście wynikała z jej narodowości (oszczędzano przecież innych domowników), przy czym osobiście nie mam kompetencji, aby rozstrzygać podobną kazuistykę na gruncie prawa.

RÓŻNE PODEJŚCIA

Nie rozumiem jednak, czemu osoby postrzegające te zbrodnie w kategoriach moralnego ludobójstwa podchodzą dość burzliwie do tego typu ostrożności, tak jakby ich formułowanie podważało stanowcze potępienie zbrodni wojennych czy sprzeciwiało się ich należytemu osądzeniu przez powołane do tego międzynarodowe instancje. Podejrzewam, że wiążąca się z tą postawą mniej lub bardziej agresywna krytyka jest motywowana przede wszystkim intencją polityczną: Bucza, jak wspomniałem, stanowi wyraźny punkt zwrotny w podejściu do udzielanego Ukrainie wsparcia militarnego przez państwa zachodnie. A contrario, rzecz, która uzmysławia, jak bardzo mamy do czynienia z wymiarem politycznym podobnej kwalifikacji, goszczący w Polsce abp Światosław Szewczuk, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, w czasie konferencji „Wojna w Ukrainie – perspektywa kościelna", zorganizowanej 13 kwietnia przez Katolicką Agencję Informacyjną, stwierdził, że na Ukrainie dochodzi do ludobójstwa; pytany jednak przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego o możliwość godnego pochówku i upamiętnienia ofiar rzezi wołyńskiej w myśl wspólnej deklaracji episkopatów Polski i Ukrainy sprzed dziewięciu lat odparł, że godny pochówek pomordowanych Polaków jest konieczności, ale z drugiej strony temat pochówku nie może być upolityczniony.

Nie zamierzam dywagować, czy dla arcybiskupa kijowsko-halickiego są lepsze i gorsze ludobójstwa tudzież czy w jego oczach zbrodnie przeciw ludzkości ulegają z czasem prawnemu przedawnieniu, bo rozumiem założenia jego rozumowania: podczas gdy upolitycznianie jednych zbrodni ma pozytywny wpływ na korzystne dla Ukrainy rozstrzygnięcie wojny, upolitycznianie Wołynia – negatywny. Niemniej, wracając jeszcze raz do prezydenta Macrona, skoro zachodzi aspekt polityczny, to interesy francuskie nie są tożsame z ukraińskimi, a Francja z pewnością będzie chciała odgrywać aktywną rolę w kształtowaniu nowej architektury bezpieczeństwa w Europie po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej, które prędzej czy później nastąpi, o ewentualnej dalszej współpracy handlowo-przemysłowej – na ile będzie ona możliwa – nie wspominając.

Czemu zatem, pod wpływem poruszenia medialnego, francuska dyplomacja miałaby z własnej inicjatywy zamykać sobie drzwi na Kremlu deklaracjami ubiegającymi rozstrzygnięcia powołanych do tego międzynarodowych instancji, tym bardziej że – przypomnijmy – we francuskiej debacie publicznej dopuszcza się krytykę nadużyć w narracjach, które kreowały powody do zachodnich interwencji zbrojnych na świecie w ostatnich dekadach?

Otóż położenie Francji jest inne niż np. Stanów Zjednoczonych, które od początku tego konfliktu używają wobec Moskwy retoryki obelg – i w sumie mogą sobie na to bezkarnie pozwolić. Z kolei rząd USA, będąc głównym sponsorem walczącej Ukrainy, potrzebuje silnych argumentów przekonujących Kongres do finansowania coraz bardziej kolosalnych pakietów pomocy, argument ludobójstwa jest zaś jednym z najmocniejszych, psychologicznie rzecz ujmując.

Te zrozumiałe różnice w podejściach do tematu wynikają więc w dużej mierze właśnie z polityki, co z kolei rodzi inne pytanie: Czy wobec braku równomiernego nagłaśniania wszystkich zbrodni wojennych na świecie (a tych niestety nie brakuje!) same pojęcia zbrodni i ludobójstwa nie bywają właśnie zbyt upolityczniane w oderwaniu od obiektywnego porządku sprawiedliwości? Narażałoby je to na niebezpieczną dewaluację, mogącą skutkować nawet ludzką obojętnością na akty barbarzyństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

Jan Fiedorczuk

Jastrzębie na wojennej ścieżce

W ostatnich miesiącach uaktywniła się grupa jastrzębi przeświadczonych, że Polska powinna de facto włączyć się do wojny rosyjsko-ukraińskiej. To niebezpieczna gra, w której grupa intelektualistów nie waha się ryzykować los całego narodu

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

Kilka tygodni, które minęły od momentu, gdy Władimir Putin ogłosił konieczność „denazyfikacji" Ukrainy, unaoczniły strukturalne problemy rosyjskiej machiny wojennej. Obraz rosyjskiego niedołęstwa nie tylko, co zrozumiałe, podbudował polskie morale, lecz także, co już dużo bardziej niepokojące, rozbudził naszą wyobraźnię. Gdzieś, początkowo nieśmiało, z czasem coraz wyraźniej, zaczęło kiełkować pytanie: A może pokusić się o więcej? Skoro Rosja nie jest w stanie pokonać wielokrotnie słabszej Ukrainy, to czemu nie skorzystać z uśmiechu losu i nie dobić jej teraz, tym samym nie dając Putinowi szans na odbudowanie siły i wpływów?

„NADSTAWIĆ ŁBA"

Były poseł Jerzy Kozłowski (dostał się do Sejmu z listy Kukiz'15 w 2015 r.) był bodaj pierwszą osobą, która otwarcie opowiedziała się za włączeniem Polski w wojnę rosyjsko-ukraińską. Na początku marca pojawiły się plotki, jakoby Polska miała zezwolić ukraińskim samolotom wojskowym na korzystanie z własnych lotnisk. Michał Nowak z portalu Nowy Ład zauważył, że jeżeli te doniesienia się potwierdzą, to będzie de facto oznaczać włączenie Polski do wojny, na co Kozłowski oświadczył, że „są w życiu takie chwile, że czasem trzeba nadstawić łba. To jest właśnie ten moment".

Hasło „nadstawiania łba" w interesie Ukrainy zaczęło w ostatnich tygodniach zdobywać coraz większą popularność, czego namacalnym wyrazem była decyzja polskiego rządu, aby na własną rękę (bez parasola ochronnego NATO) przekazać Ukrainie 200 polskich czołgów. Wizja wojny z Rosją już otwarcie jest podnoszona w rodzimej debacie publicznej. Problemem nie są rzecz jasna same analizy takiej ewentualności, tylko urabianie opinii publicznej w poczuciu oczywistości i bezalternatywności takiego konfliktu.

I tak np. Jan Rokita przekonuje o nieuchronności wojny z Moskwą, wskazując, że jedyny akceptowalny dla Zachodu scenariusz dotyczący obecnej sytuacji na Ukrainie musi zakładać pokonanie Rosji. Rokita rozpościera przed nami wizję „krwawego kotła", w jaki się zmieni Ukraina, jeżeli teraz nie pobijemy Putina. Rzeczony kocioł wkrótce wybuchnie, a głodna kolejnych zwycięstw rosyjska armia przekroczy polską granicę. Esencja rozważań Rokity jest następująca – albo pokonanie Rosji na Ukrainie, albo atak Moskwy na Polskę. Łatwo zauważyć swoisty determinizm cechujący tego typu rozważania (charakterystyczny nie tylko dla Rokity). Człowiek w tej wizji jest pozbawiony wszelkiej sprawczości – ostatecznie tak czy inaczej czeka nas wojna.

Dlatego też, konkluduje Rokita, „nie ma ani takiego ryzyka ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie, bo potem będzie to nie tylko trudniejsze, ale na dodatek dziać się będzie zapewne w Polsce".

Tę myśl podchwycił były wiceminister rozwoju oraz były szef Klubu Jagiellońskiego Krzysztof Mazur, który dodaje, że nie możemy pozwolić się wypchnąć „na peryferie" pomiędzy NATO a Ukrainę. Polskie władze muszą jego zdaniem „angażować Zachód i NATO, być jastrzębiem, ale z pozycji rdzenia".

eprasa.pl 63687049a4

Argumentacja Rokity pobrzmiewa również w wypowiedzi byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego, który w rozmowie z TVP właściwie już wprost opowiedział się za włączeniem Polski do wojny. – Jestem zdania, że wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji z Rosją, bo Rosja tej konfrontacji chce. A jeśli tak, to lepiej, by odbyło się to na naszych, a nie rosyjskich warunkach – mówił Waszczykowski.

Prawdziwą kulminacją tego trendu była jednak wypowiedź gen. Waldemara Skrzypczaka, który w rozmowie z „Super Expressem" de facto optował za odbiciem Kaliningradu. – Warto by się może upomnieć o ten obwód kaliningradzki, który moim zdaniem jest częścią terytorium Polski. Mamy prawo mieć pretensje do tego terenu, który Rosja okupuje – stwierdził generał.

MISJA JASTRZĘBI

W tym miejscu warto przypomnieć, że dyskusja nad poziomem zaangażowania Polski nie odbywała się w próżni. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy gen. Skrzypczak rozprawiał o Kaliningradzie, a Rokita o konieczności pokonania Putina „za wszelką cenę", doszło do głośnej wyprawy z udziałem Mateusza Morawieckiego, Jarosława Kaczyńskiego, premiera Czech Petra Fiali oraz premiera Słowenii Janeza Janszy. To wówczas, podczas spotkania z prezydentem Zełenskim, prezes PiS wysunął pomysł „pokojowej misji NATO", której celem byłaby ochrona cywilów. Od tego niefortunnego pomysłu szybko zdystansowało się nie tylko NATO, lecz także nawet sam Wołodymyr Zełenski. Mimo tej chłodnej (mówiąc eufemistycznie) reakcji pomysł zyskał grono zagorzałych zwolenników.

– Jeżeli wejdą tam polskie jednostki, to Rosja może uznać, że trzeba jakiś grad rakietowy przyszykować na Polskę – przyznał lekko Józef Orzeł, szef Klubu Ronina. Czy równie wyrozumiale do tematu podejdą jednak Polacy, na których dachy spadnie rzeczony grad pocisków? Pozostaje mieć nadzieję, że nie będziemy mieli okazji, aby się o tym przekonać. Do czego jednak taka eskalacja napięcia może prowadzić? – Skutki byłyby bardzo twarde, to byłoby przede wszystkim starcie lotnictwa NATO z rosyjskim – mówił Orzeł, de facto przyznając, że gdyby idea Kaczyńskiego została wcielona w życie, oznaczałoby to otwartą wojnę NATO z Rosją.

Stanowisko Rokity dotyczące nieuchronności wojny wsparł, z pewnymi zastrzeżeniami, Piotr Zaremba w „Plusie Minusie", magazynie „Rzeczpospolitej". Sporą część swojego felietonu poświęcił środowisku Nowej Konfederacji, która w ostatnim czasie przestrzega przed „partią wojny". Zaremba twierdzi, że ryzyko jest wyolbrzymione, gdyż w głównej mierze dotyczy pojedynczych głosów w mediach społecznościowych. Jego zdaniem szef Nowej Konfederacji, Bartłomiej Radziejewski, walczy z wiatrakami, a „partia wojny" po prostu nie istnieje. Jakkolwiek antysuwerennościowa retoryka pobrzmiewająca coraz częściej w publikacjach Nowej Konfederacji jest zjawiskiem niepokojącym, to akurat w przypadku jastrzębi nie sposób nie zgodzić się z Radziejewskim. Głównym problemem jest punkt wyjścia rozważań Zaremby, czyli błędna ocena, jakoby cała sprawa sprowadzała się do kilku wpisów na Twitterze.

W ostatnich tygodniach mieliśmy wszak do czynienia z otwartym wezwaniem do włączenia się w konflikt (cytowany wyżej Waszczykowski – były szef MSZ!), a nawet zagarnięcia rosyjskiego terytorium (gen. Skrzypczak – były dowódca Wojsk Lądowych). Co więcej, idea większego, bezpośredniego zaangażowania w wojnę na Ukrainie została ledwie kilka tygodni temu przedstawiona przez samego Jarosława Kaczyńskiego w Kijowie. Pod koniec marca pracownia United Surveys przeprowadziła sondaż, z którego jasno wynika, że propozycja prezesa PiS padła na podatny grunt – ponad 53 proc. uczestników badania opowiadało się za wysłaniem na Ukrainę międzynarodowej misji stabilizacyjnej pod flagą „NATO, ONZ lub inną". 59 proc. respondentów było zdania, że jeśli taka inicjatywa będzie miała miejsce, to Polska powinna wziąć w niej udział. Warto zwrócić uwagę, że Polacy zgodzili się, aby misja odbyła się pod flagą inną niż NATO i ONZ. To stanowisko jest już wprost samobójcze, gdyż NATO jest sojuszem obronnym i Polska wychodząc przed szereg i działając „pod inną flagą", automatycznie rezygnuje z ochrony sojuszu.

Co więcej, gdy okazało się, że propozycja Kaczyńskiego nie uzyskała aprobaty NATO, w środowisku PiS zaczęły pojawiać się pomysły, aby zmontować „koalicję chętnych" – państw będących członkami sojuszu, które niejako obok NATO wysłałyby swoje oddziały. Koncepcja upadła, ale twierdzenie w tej sytuacji, że z „partią wojny" nie należy walczyć, bo jej nie ma, jest dalekie od prawdy. Z „partią wojny" należy walczyć właśnie po to, by jej u nas nie było.

PRAWDZIWE ZAGROŻENIE

Wbrew temu, co możemy często usłyszeć, obecna sytuacja jest nieporównywalna z latami 30. XX w. i nie można jej analizować poprzez pryzmat doświadczeń drugiej wojny światowej (a tworzenie prostych analogii do Chamberlaina i Monachium – tak popularnych ostatnio – raczej zaciemnia obraz sytuacji, niż cokolwiek wyjaśnia). Równie bałamutnie brzmią quasi-Giedroyciowskie hasła, że „bez wolnej Ukrainy nie ma wolnej Polski". Hasło jest fałszywe, gdyż nie ma żadnego potwierdzenia – zaprzeczają mu historia i logika. Oczywiście, że w interesie Polski leży niezależna Ukraina, ale powyższe motto sprowadza się de facto do myśli Rokity – skoro bez wolnej Ukrainy nie ma wolnej Polski, to pokonanie Rosji na Ukrainie jest warte zapłacenia każdej ceny. Stąd już tylko krok dzieli nas od wejścia do wojny.

Rosja wykrwawia się na Ukrainie, hamując swój rozwój (na czele z potencjałem wojskowym) na lata. Konwencjonalna wojna z NATO oznaczałaby polityczną degradację i zapaść na całe dekady. Jeżeli Zachód przekroczy granicę, to Putin niczym stary basior zagnany w ślepy zaułek może stać się prawdziwie nieobliczalny. Broń masowego rażenia pozostaje jedynym militarnym atutem, jakim dysponuje prezydent Rosji. Nawet jeżeli ten scenariusz brzmi dzisiaj nierealnie (ale czy kilka tygodni temu podobnie nie brzmiałyby informacje o zbrodni w Buczy?), to obowiązkiem władz oraz elit państwa, które ma charakter frontowy, jest rozważanie każdego scenariusza. Szczególnie jeżeli eskalacja konfliktu może doprowadzić do biologicznej eksterminacji całego narodu – a tym może skutkować przeniesienie wojny na poziom „atomowy". Nie miejmy złudzeń – jeżeli dojdzie do konfliktu z użyciem broni nuklearnej, to Rosja i USA nie będą bombardować siebie nawzajem, tylko znajdą „państwa trzecie", gdzie będą mogły prowadzić „nuklearną wojnę zastępczą" (dokładnie tak, jak w czasie zimnej wojny Wuj Sam miał plany atomowego ataku na polskie miasta). Cóż wtedy powiedzą jastrzębie?

Do partii jastrzębi zalicza się wielu patriotów – nie kwestionuję tego. Jednak jej przedstawiciele zachowują się, jakby pokonanie Rosji było dla nich ważniejsze od bezpieczeństwa samej Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

FOT. ARCHIWUM JÓZEFA MACKIEWICZA I BARBARY TOPORSKIEJ/ARCHIWUM MUZEUM POLSKIEGO W RAPPERSWILU

Józefa Mackiewicza prawo do wątpliwości

Marek Gałęzowski

Mackiewicz zwalczał nie przejawy przywiązania do tożsamości narodowej, lecz nacjonalizm, który jest jednak czymś innym

W broszurze „Optymizm nie zastąpi nam Polski", opublikowanej w październiku 1944 r., Józef Mackiewicz zastanawiał się nad postawą, jaką Polacy powinni przyjąć w obliczu zbliżającego się końca okupacji niemieckiej i rychłego zajęcia ziem Rzeczypospolitej przez Związek Sowiecki. Przewidując, że narzuci on Polakom rządy komunistyczne, postulował podjęcie z tą nową formą zniewolenia „jawnej, otwartej, totalnej i bezkompromisowej" walki (jakkolwiek „nie do urzeczywistnienia w kraju", możliwej jedynie na emigracji). Czyżby ten wówczas jeszcze mało znany dziennikarz z Wilna równocześnie „uznał za potrzebne poszukiwanie porozumienia z niemieckimi ludobójcami", jak napisał prof. Andrzej Nowak na łamach tygodnika „Do Rzeczy" (nr 15/2022)?

Pogląd Mackiewicza dotyczący postawy wobec Związku Sowieckiego był zbliżony do koncepcji politycznych organizacji piłsudczykowskich i najbardziej radykalnej części ruchu narodowego, które może najdobitniej podsumował Wacław Lipiński u schyłku 1943 r.: „Pod koniec wojny nie Niemcy opuszczający Polskę stanowić będą główne zagadnienie polityczno-wojskowe, lecz przychodzący Rosjanie, nie przeciw Niemcom winniśmy mobilizować główną naszą aktywność, lecz przeciw Rosji". W tej sytuacji „nie będzie warunków ani na powstanie antyniemieckie, jako akt polityczno-wojskowy, ani na żaden inny akt wywołany potrzebą odwetu". Powstanie przeprowadzone podczas odwrotu Niemców byłoby „szaleństwem politycznym, samobójstwem wojskowym".

Abstrahując od racji takich poglądów, były one w Polsce podziemnej odosobnione i nie wywarły wpływu na politykę jej władz, które całe swoje zasoby rzuciły do walki z ustępującymi z ziem polskich Niemcami, sowieckie zagrożenie jeżeli nie bagatelizując, to ewentualne przeciwdziałanie mu przygotowując bez przekonania.

WSPÓŁDZIAŁANIE WYKLUCZONE

Mackiewicz podzielał wnioski Lipińskiego, lecz w odróżnieniu od licznych nie tylko w środowisku piłsudczykowskim przeciwników rozpoczęcia powstania w Warszawie stanowczo uzasadniał jego konieczność. Nie mógł więc równocześnie wzywać do porozumienia z Niemcami. Już we wspomnianej broszurze wielokrotnie powtarzał, że jakiekolwiek współdziałanie właśnie ze względu na ludobójczą politykę

eprasa.pl 63687049a4

III Rzeszy jest wykluczone. Podkreślał też, że Niemcy uniemożliwili wszelkie poważniejsze próby akcji antysowieckiej, nie godząc się na żadną formę walki z bolszewikami, która nie nosiłaby charakteru kolaboracji z III Rzeszą. Poza tym nie można było wymagać, by pod okupacją nazistowskich Niemiec „ludzie, którym wystrzelano rodziny […], których bito po twarzy na ulicy, mieli się przejmować bolszewickimi prześladowaniami". Nie zmienił tego zdania po wojnie. „System polityczny taki jak hitlerowski czy komunistyczny jest przede wszystkim systemem nieludzkim" – pisał, w innym miejscu dodając: „Jak każda idea miażdżąca wolność myśli ludzkiej jest złem samym w sobie". Odnosząc się zaś bezpośrednio do polityki okupacyjnej Niemiec w Polsce, wyraził przekonanie, że „suma krzywd wyrządzonych Polsce przez Niemcy nie da się nawet porównać do tych, których doznali później sami Niemcy przymusowo wysiedleni ze wschodnich Niemiec!" i dlatego „nie istnieje żadna »wina wzajemna«".

NIEZGODA NA ZAKŁAMANIE

W dalszej części swojego tekstu prof. Nowak pisze, że każdy przejaw przywiązania do tożsamości narodowej Mackiewicz uznawał za „kładkę przerzuconą w stronę komunistycznego podboju". To również bardzo daleko idący zarzut, niepoparty jednak żadnym odniesieniem do twórczości pisarza. Tymczasem Mackiewicz zwalczał nie przejawy przywiązania do tożsamości narodowej, lecz nacjonalizm, który jest jednak czymś innym. Wyrażał przekonanie, że „nacjonalizm, który ma wiele wspólnego z komunizmem. Też go charakteryzuje brak tolerancji", wcale „nie okazał się wrogiem komunizmu, a w wielu wypadkach jego »poputczikiem« albo zgoła narzędziem", a posługiwanie się frazeologią nacjonalistyczną było „najskuteczniejszą manipulacją w rękach partii komunistycznej". Najskuteczniejszą, ponieważ dającą alibi tym wszystkim, którzy żyjąc więcej niż wygodnie w PRL, mogli uzasadnić wysługiwanie się czy chociażby posłuszeństwo reżimowi komunistycznemu.

To tę postawę potępiał Mackiewicz, a nie przywiązanie do tożsamości narodowej. Nie godził się z zakłamaniem, które każdy przejaw przystosowania do zbudowanego przez komunistów systemu zniewolenia tłumaczyło przymusem sowieckiego bagnetu. Jak gdyby to jego groźba sprawiła, że zwycięzca bolszewików w ostatniej wielkiej batalii kawalerii w dziejach świata gen. Juliusz Rómmel 25 lat później, idąc pod rękę belwederskim dziedzińcem z sowieckim mianowańcem, mówił: „Niech sobie inni mówią o prezydencie Bierucie, co tylko chcą, ja po dzisiejszym dniu jestem mu oddany całą duszą". Pisarz i tak nie był świadom skali tych postaw, daleko odbiegających od wyidealizowanego obrazu powszechnej niezłomności, które wiele lat później każą Jarosławowi M. Rymkiewiczowi napisać, że „polscy przedajcy zawsze, gdy staną przeciw wolnym Polakom, są w większości". Mackiewicz nie wiedział, że Witolda Pileckiego oskarżał oficer AK i na śmierć skazał oficer AK.

Prawdą jest, jak pisał prof. Nowak, że Mackiewicz krytykował również Kościół katolicki, któremu zarzucał uległość wobec komunistów, w prywatnej korespondencji w słowach czasem budzących sprzeciw, obojętnie, czy osoby wierzącej czy niewierzącej. Warto jednak przynajmniej spróbować zrozumieć – co nie jest wszak równoznaczne z akceptacją – źródło takich wypowiedzi. Kiedy Józef

REKLAMA

Fulton J. Sheen mistrz życia duchowego w praktyce, w książce „Rodzice i dzieci" wydanej przez Edycję Świętego Pawła ponownie przynosi ukojenie naszemu wewnętrznemu chaosowi.

Tym razem rozważania amerykańskiego arcybiskupa skupiają się na relacjach rodziców i dzieci, która często oparta jest na źle rozumianej wolności i przez to zbytniemu pobłażaniu. Autor przekonuje nas, że samodyscyplina i ograniczenia sprzyjają prawidłowemu rozwojowi naszych dorastających dzieci.

Sheen, który w czasie swoich radiowych i telewizyjnych programów gromadził nawet 30 mln Amerykanów. W krótkich rozdziałach odnosi się do każdego możliwego problemu jaki mogą napotkać rodzice na drodze wychowania nastolatków. **Rozwój potencjału, ujarzmienie seksualności, odnalezienie własnej drogi,** czy **poczucie własnej wartości i odczuwanie miłości** – to tylko niektóre z nich. Kwestie te niejednokrotnie, spędzają sen z powiek rodziców powodując panikę, ucieczkę od rozmów, a w konsekwencji podkreślaną przez autora swawolę w zachowaniu młodzieży.

Sięgając po książkę „Rodzice i dzieci" znajdziesz więc gotowe odpowiedzi i rady, jak we współczesnym świecie radzić sobie z wychowaniem, trudnymi tematami i rozwojem duchowości u swojego dziecka.

Pozostałe tytuły Fultona J. Sheena, które ukazały się nakładem wydawnictwa Edycja Świętego Pawła to **„Łzy Jezusa. Antologia"**, **„Droga do pokoju serca"** oraz **„Droga do szczęścia"**.

Zamów na stronie **www.edycja.pl** lub dzwoniąc na numer **605 313 543**, **34 372 34 29**.

eprasa.pl 63687049a4

Mackiewicz stanął w Lesie Katyńskim nad rozkopaną mogiłą polskich oficerów wszystkich narodowości i wszystkich wyznań przedwojennej Rzeczypospolitej, zobaczył, jak leżą tam warstwami, w swoich mundurach, „ręce i nogi nawzajem splecione, wszystko uciśnięte jak walcem. Poszarzałe, martwe, szereg za szeregiem, setka za setką, niewinni, bezbronni żołnierze", i kiedy później wziął do ręki listy dzieci tych polskich żołnierzy: „Tatusiu Kochany!! Najdroższy!... Czemu nie wracasz? Mamusia mówi, że tymi kredkami, coś mi podarował na imieniny… Do szkoły teraz nie chodzę, bo zimno. Jak wrócisz, ucieszysz się pewno, że mamy nowego pieska. Mamusia nazwała go Filuś…Cześ", i kiedy nie wstydził się przy tej lekturze zapłakać, „bo kto na to patrzył, na te wielkie, naiwne, niezgrabne litery dziecięce, nie mógł wykrztusić więcej...", to wtedy, jak można przypuszczać, nastąpiła przemiana dziennikarza wileńskiego „Słowa" Józefa Mackiewicza w najwybitniejszego polskiego pisarza XX w., jak określił go prof. Nowak.

PRZECIW MILCZENIU

I już nigdy nie zapomni i zawsze będzie protestował nie tyle przeciw kłamstwu, ile przeciw milczeniu – nie wyłączając z tej krytyki również hierarchów Kościoła katolickiego. Było dlań oczywiste, że należy odprawiać „z dużą żarliwością […] modły za poległych w walce z Niemcami, za ofiary kacetów i kaźni hitlerowskich", ale z wyraźną, z upływającymi latami coraz większą goryczą pytał, dlaczego modlitwy nie są wznoszone „za dusze pomordowanych w Katyniu".

Józef Mackiewicz nie był antykomunistą w politycznym sensie tego słowa, konserwatystą czy liberałem, rywalizującym o wyborcę, gdyż – jak pisał – „być za wolnością to nie jest żadna polityka". Był antykomunistą, ponieważ komunizm, nakładając „kaganiec na każdą wolną myśl i słowo, stanowi największe zagrożenie dla rozwoju każdej kultury. Nie tylko polskiej, ale każdej". Jest „wynalazkiem psychologicznym przeistaczającym […] wielotorowość ludzkiej inicjatywy w jednotorowego robota", odzierającym człowieka „z wolności osobistej i godności ludzkiej", który wywołuje „identyczne objawy degeneracji psychicznej, paraliżującej odporność człowieka, bez względu na przynależność do kultury łacińskiej, bizantyjskiej, buddyjskiej czy innej". Stąd wynikało przekonanie, że „komunizm skierowany w pierwszym rzędzie jest nie przeciwko narodom, a LUDZIOM". Ono zaś stawiało go ponad każdym innym zniewoleniem, znanym z przeszłości. I to stało za twardym osądem Mackiewicza wobec wszystkich tych, którzy do komunizmu starali się przyzwyczaić siebie i innych, uznając zbrodniczy system za trwały element współczesnego im świata.

Na takim fundamencie został zbudowany antykomunizm Józefa Mackiewicza, taka była przyczyna tej czasami gwałtownej i w moim przekonaniu w doborze słów zbyt daleko idącej krytyki. Czy można jednak wymagać innej postawy od pisarza, który za naczelne zadanie literatury uważał prawo do wątpliwości, ale przede wszystkim – widział na własne oczy?

Czy Mackiewicz był rusofilem? Czesław Miłosz na podstawie lektury jego książek pisał, że „gdyby mógł [on] wskrzesić Rosję carską, toby ją wskrzesił, bo uważał ją za państwo poszanowania prawa i tolerancji, zwłaszcza w porównaniu z tym, co nastąpiło wszędzie w następstwie I wojny światowej". Wnikliwa lektura wszystkich tekstów Mackiewicza każe raczej przypuszczać, że wiele lat po upadku caratu kreślił jego wyidealizowany obraz poirytowany rozpowszechnionymi opiniami, jakoby był on tym samym, co totalitarny system komunistyczny w Związku Sowieckim, gdzie „mord masowy popełniony być może w każdym miejscu".

Oczywiste jest jednak to, że potworność komunizmu nie może być uzasadnieniem dla bagatelizowania konsekwencji panowania rosyjskiego nad Polakami w czasach porozbiorowych, nawet w tych nieco łagodniejszych momentach rządów zaborczych. To zaś, nawet jeżeli między wierszami, można dostrzec w twórczości Mackiewicza. Nie znajdziemy w niej poglądów zbliżonych do przekonania, „że rząd rosyjski i żywiołowo, i świadomie dąży do tego, aby nam odebrać zasadnicze cechy społeczeństwa cywilizowanego [...]. Nie potrzeba mu, abyśmy się stawali zaraz Moskalami, ale abyśmy zapomnieli, żeśmy wielkim historycznym narodem, że mamy własną bogatą literaturę, własną kulturę i świadomość wyższą ponad plemienną". I konstatacji, że „Rosja zniszczyła wszystko to, co przez dziesiątki lat mógł ze sobą zrobić naród polski [...]. Nie dała tu nic". Te oceny Tadeusza Grużewskiego i Stefana Żeromskiego wydają się lepiej oddawać istotę rządów zaborczych w Polsce niż Mackiewiczowskie ich postrzeganie przez pryzmat jego własnej młodości, wspomnień im odleglejszych, tym bardziej idealizowanych.

Warto jednak zauważyć, że Mackiewicz w pozytywnym świetle przedstawiał nie samowładztwo Mikołaja I, co mogłoby uzasadniać zarzut rusofilstwa, lecz Rosję po zmianach politycznych, które nastąpiły wskutek rewolucji 1905 r., a w odniesieniu do Polaków oznaczały złagodzenie polityki rusyfikacyjnej w stosunku do czasów Apuchtina i Hurki. W ostatnich latach przed pierwszą wojną światową taka ocena nie należała do rzadkości. Liczni wybitni oficerowie Wojska Polskiego pochodzący ze wszystkich części zaboru rosyjskiego, nie tylko z ziem zabranych, którzy odznaczyli się heroizmem w 1920 r., zaledwie sześć lat wcześniej nie mieli wątpliwości co do podjęcia służby w armii rosyjskiej. Oni w ogóle nie rozważali innego rozwiązania, czego w międzywojniu nikt im nie poczytywał za ujmę. Bo chociaż rację miał Piłsudski i ci, którzy z nim poszli do Legionów, to przecież byli oni osamotnieni we własnym społeczeństwie, mieli świadomość, że „porywali się z motyką na słońce, dmuchali przeciw wichurze nieufności, pogardy dla tych, co się ważą na takie szalone czyny".

Po której stronie walczyłby dziś Józef Mackiewicz? Ale dlaczego to pytanie padło akurat w stosunku do osoby pisarza? Jego oceny nie miały żadnych niekorzystnych skutków politycznych, w odróżnieniu od niemałej liczby polityków polskich, otwarcie deklarujących się w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej po stronie Rosji przeciw dającym chyba jednak większe swobody Polakom Austro-Węgrom, przy których ponadto powstała jedyna otwarcie niepodległościowa polska formacja zbrojna. To raczej tych polityków powinno dotyczyć zapytanie, a nie Józefa Mackiewicza. Charakteryzowały go bowiem nie przypisywane mu sympatie do takiego czy innego imperializmu, lecz umiłowanie wolności, prawdy i prawa do głoszenia własnych poglądów: „Nie to wydaje mi się najważniejsze w życiu, jakie kto ma przekonania, a to jedynie – by każdy je mógł swobodnie wypowiadać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 63687049a4

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Spotkanie z Canarisem

Młoda polska arystokratka w trakcie drugiej wojny światowej podróżowała po Europie. Miała rozległe kontakty towarzyskie wśród niemieckich arystokratów i oficerów Wehrmachtu. Olśniewała perfekcyjną „aryjską urodą", znakomitym pochodzeniem i idealną niemczyzną. Dzięki wrodzonemu urokowi owijała sobie Niemców wokół palca.

Hrabina Klementyna Mańkowska – bo o niej mowa – prowadziła jednak podwójną grę. W rzeczywistości była agentką legendarnej polskiej organizacji podziemnej Muszkieterowie. Kierowana przez inż. Witkowskiego struktura wywiadowcza, m.in. dzięki Mańkowskiej, wykradała sekrety III Rzeszy.

Niemcy podjęli polską grę wywiadowczą i postanowili wykorzystać hrabinę do przekazania wiadomości do Londynu. We francuskim Tours spotkał się z nią incognito sam szef Abwehry – adm. Wilhelm Canaris.

„Nie mamy najmniejszych złudzeń co do wyniku tej wojny – powiedział jej. – Szaleniec, który kieruje naszym narodem, prowadzi nas wprost do wielkiej katastrofy. Wszyscy, którzy mają poczucie honoru i sprawiedliwości, są jednak bezradni wobec tej demonicznej siły. […] Proszę wytłumaczyć Anglikom i innym aliantom, że nie wszyscy jesteśmy bezwzględni i brutalni, że są w naszym kraju ludzie uczciwi, którym bliskie są humanitarne odczucia, i większość z nich z dezaprobatą odnosi się do działań gestapo, SS i całej tej partii. Będzie to zatem ważna misja, bo dotycząca narodów pozostających obecnie ze sobą w stanie wojny. Życzę pani powodzenia i niech panią Bóg błogosławi".

Canaris próbował wykorzystać piękną Polkę do nawiązania kontaktu między niemiecką opozycją a aliantami. Jak wiadomo, niewiele z tego wyszło. Po prawicowym puczu wojskowym z 22 lipca 1944 r. Canaris został aresztowany. SS zamordowało go 9 kwietnia 1945 r. Jednym z celów puczu było zaś właśnie zawarcie pokoju z Anglosasami i skupienie wszystkich wysiłków na walce z bolszewizmem.

★★★★★★
KLEMENTYNA MAŃKOWSKA
„MOJA MISJA WOJENNA"
REBIS

Książka Mańkowskiej to jedne z najciekawszych polskich wspomnień z czasów drugiej wojny. Przygody polskiej agentki były fascynujące. A przede wszystkim Mańkowska – co rzadkie wśród pamiętnikarzy – nie zakłamywała rzeczywistości, aby wpisać się w obowiązujące po wojnie sztampy. Pisała, jak było naprawdę. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zanim został ojcem pancernych i psa

W przypadku Janusza Przymanowskiego doskonale sprawdziła się maksyma, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia". Zanim bowiem stał się nadwornym piewcą „polsko-radzieckiego braterstwa broni", miał negatywny stosunek do sowieckich porządków nad Wisłą, a zwłaszcza do rosyjskich oficerów w polskich mundurach. Miał zresztą okazję z bliska przyjrzeć się „ustrojowi sprawiedliwości społecznej", gdyż we wrześniu 1939 r. znalazł się na terenach okupowanych przez Sowietów. Następnie walczył w szeregach Armii Czerwonej, by potem przejść szlak bojowy LWP. Uważano go jednak za osobnika niepewnego pod względem ideologicznym i rozpracowywano na potrzeby I Wydziału Oddziału Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego. Podejrzewano go nawet o współpracę z zachodnim wywiadem i aż trudno uwierzyć, że był to ten sam człowiek, który po latach popierał wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. A co więcej, z trybuny sejmowej głosił, że notował nazwiska posłów, którzy nie dość gorliwie oklaskiwali przemówienie gen. Jaruzelskiego.

Chociaż u schyłku PRL spisał wspomnienia („Poprzez fronty i afronty"), to wiele niewygodnych spraw przemilczał. Chociaż w Polsce walił się już wówczas socjalizm, to oględnie opisywał wojenne sowieckie porządki i zaledwie wspomniał o wywózkach ludności polskiej w latach 1939–1941. Jest to tym bardziej dziwne, że książkę podpisano do druku w maju 1989 r., gdy w socjalizm w Polsce wierzył być może jeszcze tylko Albin Siwak.

Zdecydowanie więcej zaufania można mieć do dokumentów z archiwum IPN, a szczególnie do życiorysów pisanych przez Przymanowskiego w latach 40. i 50. Jak wiadomo, władza ludowa miała obsesję kontrolowania wszystkich i wszystkiego, więc starając się o jakiekolwiek stanowisko, należało podać własny biogram, który był skrupulatnie sprawdzany. I nie można było go porównywać z dzisiejszymi CV czy listami motywacyjnymi.

Rozpracowywania pana pułkownika zaniechano po ponad 10 latach, bo jego poglądy polityczne zmieniły się wraz z pierwszymi sukcesami finansowymi. Pisząc książki o polsko-sowieckim „braterstwie broni", zapewnił sobie nie tylko ogromne nakłady, lecz także liczne, dobrze płatne spotkania w jednostkach wojskowych. A gdy telewizja zaczęła emitować serial „Czterej pancerni i pies" (pilotażowy odcinek zaprezentowano 9 maja 1966 r.), to stał się fanatycznym wielbicielem komunizmu i praktycznie takim pozostał aż do śmierci. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

Maciej Rosalak

Układ w

Zawarty 100 lat temu, 16 kwietnia 1922 r., układ i dalsze rozszerzające go porozumienia tworzyły kleszcze, które zwarły się na gardle Polski we wrześniu roku 1939...

Podpisanie układu w Rapallo. Kanclerz Rzeszy Joseph Wirth, Walther Rathenau oraz delegacja sowiecka: Leonid Krasin, Gieorgij Cziczerin oraz Adolf Joffe, 1922 r.

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 DE

Układ w Rapallo stanowił jedno z fundamentalnych wydarzeń w długim ciągu zacieśniania współpracy między obydwoma naszymi potężnymi sąsiadami, którzy w ciągu trzech ostatnich stuleci tworzyli państwa agresywne, niemal zawsze zaborcze i wrogie wobec Polski i Polaków. Efektem były rozbiory Rzeczypospolitej, powstania i coraz okrutniejsze represje oraz ucisk narodowy. Gdy Niemiec zawiera za naszymi plecami jakieś porozumienie z Rosjaninem, u Polaka występują na ogół nieufność i obawa. Historia w pełni tłumaczy taki odruch.

W 1732 r. czarne orły Niemców i Rosjan przyrzekły sobie solennie nie dopuścić do naprawy ustroju Rzeczypospolitej, a więc do jej wzmocnienia. W 1768 r. sterroryzowany sejm uczynił carycę Katarzynę II gwarantką prawodawstwa (czytaj: anarchii) polsko-litewskiego państwa. W latach 1772, 1793 i 1795 poprzez układy rozbiorowe Rosja i Prusy (oraz Austria z wyjątkiem drugiego rozbioru) rozszarpały nasze państwo do cna. Oto tradycja rosyjsko-niemieckich powiązań sięgająca połowy wieku XVIII oraz najbardziej podobno oświeconych władców ówczesnej Europy – rosyjskiej carycy Katarzyny II i pruskiego króla Fryderyka II. Poddani uczcili obydwoje przydomkami Wielka i Wielki, upamiętniając m.in. nieśmiertelny czyn wspólnego wyszarpania bezbronnemu sąsiadowi jego ziem w 1772 r.

Potem, aż do roku 1914, nic tak nie cementowało ich dobroczynnego sojuszu jak trup zniszczonej wspólnym wysiłkiem Polski. Na kongresie wiedeńskim (1815) dokonano faktycznie jej kolejnego rozbioru. W latach 1830–1831 tzw. pruska armia obserwacyjna czekała tylko na sygnał Rosji, aby pomóc w stłumieniu powstania listopadowego, oraz zbudowała w dole Wisły most dla feldm. Paskiewicza, co umożliwiło mu zdobycie Warszawy od zachodu. W 1863 r. konwencją Alvenslebena Prusy zobowiązały się do współdziałania

eprasa.pl 63687049a4

Rapallo

przeciw powstańcom styczniowym. Gdy Bismarck zaprowadził antykatolicki i antypolski kulturkampf (lata 70. XIX w.), Rosja prowadziła popowstaniową rusyfikację ziem polskich, ruskich i litewskich. Po pierwszej wojnie światowej – już bez cara i cesarza – spotkały nas natomiast układy w Rapallo (1922) i w Locarno (1925) oraz pakt Hitler-Stalin w roku 1939...

Takie było dla nas imperium władców Moskwy od początku XVI w. – carów i komunistycznych genseków – do dzisiejszej epoki byłego funkcjonariusza KGB Władimira Władimirowicza Putina (podobno zresztą KGB-istą nie przestaje się być nawet po opuszczeniu szeregów tej policji politycznej). Takie też były Królestwo Prus od XVIII w., cesarstwo zjednoczonych przezeń Niemiec (1871–1918), którego polityce nadał kierunek kanclerz Otto Bismarck, II Rzesza po pierwszej wojnie światowej (tzw. Republika Weimarska) oraz po 1933 r. III Rzesza Adolfa Hitlera…

Wydawało się, że przynajmniej ze strony utworzonych po drugiej wojnie światowej demokratycznych i zasobnych zachodnich Niemiec nic podobnego nam nie grozi, a po 1989 r. wielu Polaków było przekonanych, że wróciły złote czasy Ottona III sprzed tysiąca lat, i czekało na nowy zjazd gnieźnieński. Aż tu w XXI stuleciu rozwinął się między Federacją Rosyjską a Republiką Federalną Niemiec przedziwny flirt. Porozumienie rosyjsko-niemieckie o ułożeniu gazociągu Nord Stream 1 na dnie Bałtyku podpisał w 2005 r. kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Gerhardt Schröder. Po dwóch tygodniach przegrał wybory i zatrudniony został za duże pieniądze w Gazpromie, a jego następczyni, Angela Merkel, w 2011 r. wspólnie z rosyjskim prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem uroczyście dokonali uruchomienia gazowej rury. Czy uczestnicy ceremonii wspólnego kręcenia kołem otwierającym zawory, śmiejąc się szeroko, myśleli o układzie zawartym przed wiekiem w Rapallo? Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ – tak jak wtedy – dwustronne porozumienie im tylko przynosiło korzyści, natomiast reszta Europy i świata niewiele dobrego mogła się po nim spodziewać. Przeciwnie – groziło ono w przyszłości tragedią nowej wojny. Zwłaszcza Polsce.

KĄPIELISKO I SURDUTY

Szefowie dyplomacji sowieckiej i niemieckiej – Mołotow i Ribbentrop, reprezentujący swych dyktatorów Stalina oraz

eprasa.pl 63687049a4

Hitlera – podpisując w Moskwie zbrodniczy pakt 23 sierpnia 1939 r., odnosili się w preambule do traktatu berlińskiego z 24 kwietnia 1926 r. Traktat ów, wynikający z układów w Rapallo i w Locarno, został ratyfikowany przez Niemców w maju 1933 r., a więc już po objęciu władzy w Niemczech przez hitlerowską NSDAP. Po niespełna miesiącu od moskiewskiego cyrografu – 22 września 1939 r. – Wehrmacht maszerował ramię w ramię z Armią Czerwoną w triumfalnym marszu po ulicach Brześcia nad Bugiem. Tam właśnie zwarły się na polskim gardle kleszcze, których konstrukcję zaczęto montować w kwietniu 1922 r., podczas wielkanocnej przerwy w poświęconej sprawom gospodarczym konferencji, która odbywała się między 10 kwietnia a 19 maja we włoskiej Genewie, sławnym, starym i pięknym mieście nad Morzem Liguryjskim.

Przedstawiciele państw europejskich, które zwyciężyły parę lat wcześniej w wielkiej wojnie, spotykali się tu z wysłannikami przegranych Niemiec i Rosji Sowieckiej, która lizała rany po zakończonych dopiero co zmaganiach zbrojnych z „kontrrewolucją" i z Polską. Do tej pory bolszewików ignorowano na arenie międzynarodowej. W Genewie zastanawiano się nad spłatą niemieckich reparacji wojennych – o co chodziło głównie Francji – oraz nad wznowieniem handlu z Rosją, na czym przede wszystkim zależało Wielkiej Brytanii. Niemcy starali się skłócić niedawnych aliantów, a bolszewików cieszyła perspektywa powrotu zdemolowanej Rosji do światowej wymiany handlowej, niezbędnie jej potrzebnej.

Z początku w Rapallo nie zanosiło się na niemiecko-rosyjskie kontakty bilateralne, ponieważ Niemcy zerwali stosunki dyplomatyczne z Rosją 6 lipca 1918 r., kiedy to lewicowy eserowiec, przeciwnik tzw. pokoju brzeskiego Jakow Blumkin, zastrzelił ich ambasadora w Moskwie – Wilhelma von Mirbacha-Harffa (Blumkina skazano na trzy lata, ale wstąpił do Czeka i WKP(b), był komisarzem, szpiegiem i egzekutorem, a towarzysze rozstrzelali go w 1929 r. za kontakty z Trockim). Za porozumieniem obu delegacji w Rapallo przemawiał jednak zbieżny interes obu izolowanych dotąd krajów, możliwość świadczenia wzajemnych usług oraz nienawiść do traktatu wersalskiego, a szczególnie do nowo powstałego państwa polskiego. Ich przodkowie – wydawało się – trwale wykreślili to państwo z mapy Europy, a oto znów powstało, pobiło na polach walk, odebrało spore terytoria, bruździło im i irytowało samym swym istnieniem. Do spotkania wysłanników obu państw bez większego więc trudu doprowadził niemiecki dyplomata Adolf Georg von Maltzan.

Wypoczynkowy kurort Rapallo leży na wybrzeżu Morza Liguryjskiego, ok. 25 km na wschód od Genewy. Dostatecznie daleko od innych uczestników konferencji w Genewie, ale wystarczająco blisko na szybki stamtąd wypad przy jednoczesnym zachowaniu uroków wiosennego słońca w liguryjskim kąpielisku, pięknie położonym nad zatoką. Tu w Niedzielę Wielkanocną 16 kwietnia spotkali się wysłannicy obu naszych kochanych sąsiadów. Na zachowanej fotografii nic nie wskazuje na to, by kilku panów w ciemnych garniturach (niektórzy nawet w surdutach) wcześniej zażywało kąpieli, ale miny mają radosne. Wygląda na to, że ubili jakiś świetny interes.

Istotnie, obie strony błyskawicznie przeprowadzonych rokowań uzyskały same korzyści, nic przy tym nie tracąc.

RAPALLO

Na wspomnianej wyżej fotografii stoją (od lewej) Niemcy: kanclerz Rzeszy Joseph Wirth i minister spraw zagranicznych Walther Rathenau oraz delegacja sowiecka: ludowy komisarz (czyli minister) przemysłu i handlu RFSRR Leonid Krasin, ludowy komisarz spraw zagranicznych Gieorgij Cziczerin i dyplomata Adolf Joffe (m.in. negocjator układu pokojowego z Polską w Rydze 1921 r.). Oni właśnie uzgodnili układ w Rapallo. Podpisali go 16 kwietnia szefowie dyplomacji obu państw – Rathenau i Cziczerin. Sprowadzał się do trzech zasadniczych punktów:

– obopólnej rezygnacji z wszelkich roszczeń z tytułu poniesionych kosztów i odszkodowań wojennych z czasów wojny lat 1914–1918 i okresu powojennego;

– prawnego uregulowania wszystkich kontrowersji zrodzonych wojną światową;

– przywrócenia dyplomatycznych i konsularnych stosunków między Rzeszą Niemiecką i Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Radziecką.

W ten sposób Rosja i Niemcy skorzystały z okazji i dawały sobie niejako wzajemną przepustkę powrotu na arenę międzynarodową, co wzbudziło u zaskoczonych aliantów spore i nieukrywane, a zarazem bezskuteczne oburzenie. Największe powody do obaw miała oczywiście znajdująca się między rosyjskim młotem i niemieckim kowadłem Polska. Dał temu wyraz na posiedzeniu Rady Gabinetowej 5 czerwca 1922 r. Naczelnik Państwa, marszałek Józef Piłsudski:

„Traktat w Rapallo powinien był zerwać resztę łusek z oczu – porozumienie rosyjsko-niemieckie zaszło tak daleko, że jest nie tylko faktem dokonanym, wspartym o doskonałą znajomość interesów stron obu, ale – co więcej – faktem nie do odrobienia. Istnieje sprzysiężenie rosyjsko-niemiecko-litewskie, skierowane przeciwko Polsce…".

Polskie obawy byłyby jeszcze większe, gdyby znano treść tajnych rozmów przedstawicieli Reichswehry i Armii Czerwonej, które rozpoczęły się natychmiast po podpisaniu oficjalnego układu. Można by powiedzieć, że toczyły się „w duchu wzajemnego zrozumienia i chęci zadośćuczynienia potrzebom drugiej strony". W zawartym 11 sierpnia 1922 r. porozumieniu wojskowym Niemcy zobowiązały się do zaopatrzenia Rosjan w broń i amunicję, rozbudowania sowieckiego przemysłu zbrojeniowego przez specjalistów niemieckich z wykorzystaniem nowoczesnych technologii przemysłowych oraz udzielenia wysokich kredytów na zbrojenia w zamian za udostępnienie Niemcom sowieckich poligonów zlokalizowanych nad Wołgą i Kamą dla ćwiczeń zakazanych traktatem wersalskim rodzajów broni: pancernej, lotniczej i gazowej.

Niemalże braterstwo broni zrodziła wymiana doświadczeń wojskowych. I tak z wykładami jeździli na uczelnie niemieckie sowieccy dowódcy o największych doświadczeniach niedawnej wojny z Polakami: dowodzący całym frontem północnym Michaił Tuchaczewski oraz dowódcy armii: XV – August Kork i XIV – Hieronim Uborewicz. Z ich doświadczeń mogli korzystać w 1939 r. Walther von Brauchitsch, Walter von Reichenau, Wilhelm List, Heinz Guderian, którzy w latach 20. i 30. szkolili rosyjskie kadry oficerskie. Generałowie Hans von Seeckt, Kurt von Schleicher, Werner Blomberg układali z kolei regulaminy dla Armii Czerwonej.

Dodajmy, że Guderian od 1932 r. przebywał w ZSRS, wymieniając na stanowisku szefa tajnej szkoły czołgów Kama zaprzyjaźnionego z nim i podzielającego fascynację czołgami Oswalda Lutza. Tam ugruntował koncepcję blitzkriegu, którą w 1934 r. entuzjastycznie wsparł Hitler.

eprasa.pl 63687049a4

Wyższego stopniem Lutza postawiono wtedy na czele nowo utworzonego Dowództwa Wojsk Pancernych, a Guderian został przy nim szefem sztabu, następnie zaś dowódcą jednej z pierwszych dywizji pancernych. W atakach na Polskę (1939) i Francję (1940) odnosił błyskotliwe sukcesy, dowodząc już korpusami pancernymi, a na Związek Sowiecki (1941) – grupą i armią pancerną. W praktycznym zdobywaniu takich umiejętności pomogły mu zapewne poligony Armii Czerwonej nad Kamą, udostępnione Reichswerze umową w Rapallo.

LOCARNO ITD.

Locarno jest z kolei pięknie położone nad szwajcarskim jeziorem Maggiore, blisko granicy z Włochami. Tu z inicjatywy Berlina obradowali między 5 a 16 października 1925 r. przedstawiciele Niemiec (kanclerz Hans Luther i szef MSZ Gustav Stresemann) z szefami dyplomacji Francji (Aristide Briand), Wielkiej Brytanii (Joseph Austen Chamberlain), Włoch (Benito Mussolini) i Belgii (Emil Vandervelde). Do obrad przy głównym stole nie zostali zaproszeni ministrowie spraw zagranicznych Polski (Aleksander Skrzyński) i Czechosłowacji (Edvard Beneš). Bo i mocarstwom nie o ich interesy chodziło…

Francja, Belgia, Wielka Brytania i Włochy podpisały z Niemcami tzw. pakt reński, gwarantujący nienaruszalność granicy między Niemcami a Francją i Belgią, przy czym Wielka Brytania i Włochy miały w razie agresji udzielić pomocy stronie napadniętej. Równocześnie strony wyrzekały się agresji wobec siebie.

Podpisano też cztery układy arbitrażowe, które Niemcy zawarły z Francją, Belgią, Polską i Czechosłowacją, oraz dwa układy gwarancji wzajemnej między Francją a Polską oraz Francją a Czechosłowacją. Te ostatnie podtrzymywały ważność sojuszów francusko-polskiego i francusko-czechosłowackiego na wypadek dokonania agresji przez Niemcy. Niemcy nie zgodziły się na to, by wzmianka o tych układach znalazła się w tekście „paktu reńskiego".

Gwarantował on nienaruszalność granicy niemiecko-belgijskiej i niemiecko-francuskiej, co oznaczało, że Niemcy ostatecznie godziły się na wyznaczoną w Wersalu zachodnią granicę swojego terytorium, a jednocześnie odmówiły gwarancji w odniesieniu do granic z Polską i z Czechosłowacją. Dla tych państw był to wyraźny sygnał, że odtąd granice w Europie dzielą się na nienaruszalne i na takie, które naruszyć można. Było oczywiste, że w przyszłości Niemcy zechcą te granice zmienić na swoją korzyść: albo korzystając z art. 19 Paktu Ligi Narodów o dozwoleniu na „okresowe rozważanie traktatów, które nie dają się już stosować", albo siłą. Niemcy stały się mocarstwem równorzędnym z alianckimi, a ład wersalski został podważony.

Udzielenie osobnych gwarancji francuskich Polsce i Czechosłowacji wcale nie czyniło tych gwarancji wiarygodnymi, bo nasuwało się pytanie: Czy parę lat wcześniej zawarte z nami sojusze były nic niewarte, skoro potrzeba było nowego aktu prawnego, który miał zapewnić dokładnie to samo? Takie postępowanie niewiarygodną czyniło samą Francję. I taką się okazała w latach 1938 i 1939. Przewidywał to m.in. Józef Piłsudski, odpowiadając francuskiemu ministrowi zapewniającemu, że Francja nie ustąpi Niemcom w sprawie Polski: „Nie, nie, niech mi Pan wierzy, ustąpicie, na pewno ustąpicie". Zaufanie Polaków do Ligi Narodów zmalało jeszcze bardziej.

Bardziej wiarygodne dla swego kontrahenta – Związku Sowieckiego – starały się okazać Niemcy. Aby Sowieci nie myśleli, że Locarno w jakikolwiek sposób podważyło ich umowy z Rapallo, podpisały z nimi 24 kwietnia 1926 r. w Berlinie traktat gwarantujący i to, i neutralność sygnatariuszy wobec niesprowokowanej agresji państwa trzeciego na jedną z umawiających się stron. Jeśli zaś państwa trzecie porozumiałyby się w celu ekonomicznego lub finansowego bojkotu jednej ze stron, to druga zapewniała, że do takiego bojkotu nie przystąpi. Strony zgadzały się uzgodnić w odpowiednim czasie „przyszły kształt ich stosunków politycznych". Terminem ważności traktatu było pięć lat. W 1931 r. skrupulatnie ratyfikowano traktat ponownie. To samo uczynił Hitler po dojściu do władzy, a jego wysłannik wprowadził ów traktat do preambuły słynnego układu, zawartego 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie.

Wszystkie niemal międzywojenne traktaty, układy i porozumienia okazały się nic niewarte wobec bezczelnych, agresywnych poczynań Hitlera i bezczynności demokratycznego świata. Natomiast tzw. traktat Brianda-Kelloga (szefa MSZ Francji oraz sekretarza stanu USA) z 1928 r. formalnie zachowuje ważność, gdyż podpisywano go poza Ligą Narodów (nieistniejącą poza tym od 1946 r.). Już w międzywojniu okazało się, że nie zapobiega on strasznym agresjom (Włoch na Etiopię czy Japonii na Chiny), a wyplenienie wojen stanowiło jego główny cel. Przyczyną były liczne wyjątki zawarte w traktacie, z których korzystali agresorzy. Bezczelnie kłamiąc, twierdzili (a Putin twierdzi za naszych czasów), że agresji dokonała strona przeciwna, działania zostały podjęte na prośbę albo w interesie władz lub ludności państwa zaatakowanego (Krym, Donbas 2014), względnie iż akcja nie ma charakteru działań wojennych, lecz jedynie „akcji policyjnej lub porządkowej" przeciwko „bandytom" (Czeczenia 1999, Ukraina 2022), lub wreszcie, że napadnięte państwo „przestało istnieć", a przez to „zawarte z nim traktaty utraciły moc" (a to już Stalin i napaść na Polskę w 1939 r.).

W obliczu bandyckiej napaści Rosji na heroiczną Ukrainę znaleźliśmy się głównie z powodu nieliczenia się RFN z najbardziej żywotnymi interesami krajów europejskich. Zachwiało to pozycją Niemiec jako lidera UE. Czy będzie to skutek trwały? Jakich dalszych przetasowań politycznych można oczekiwać? Jak skończy się wojna i co z sytuacją Ukrainy? Co z naszą sytuacją? Jakie są szanse na to, że Rosja kiedykolwiek zerwie z tradycją imperium moskiewskiego? Czy Niemcy zapomną w końcu o założeniach polityki Fryderyka II i Bismarcka, Republiki Weimarskiej i III Rzeszy? Takie pytania nasuwają się również na marginesie 100-lecia niemiecko-rosyjskiego zbliżenia po pierwszej wojnie światowej…

Wszystkie niemal międzywojenne traktaty, układy i porozumienia okazały się nic niewarte wobec bezczelnych, agresywnych poczynań Hitlera i bezczynności demokratycznego świata

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

FOT. IPN

Z Tomaszem Zyśką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Obiektyw Klio

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdzie i kiedy wykonano zdjęcie, które jest bohaterem pańskiej książki?

TOMASZ ZYŚKO: Fotografia podpisana: „Siłą wyciągnięci z bunkra" pochodzi z raportu Jürgena Stroopa, który dowodził likwidacją powstania w warszawskim getcie, i takowy miał złożyć w ramach dokumentacji operacji, ale mało o niej wiemy.

Niby nic prostszego, niż dokonać lokalizacji danego miejsca na podstawie uwidocznionej architektury. Niestety, zabudowę Warszawy zrównały z ziemią dwa powstania, a archiwa spłonęły.

W latach 80. nowojorski lekarz Zvi Nussbaum zidentyfikował siebie jako chłopca z fotografii. Według jego relacji miejscem zdarzenia miała być ul. Długa, a kadr pokazuje wyprowadzanie osób z Hotelu Polskiego. Nie zgadza się jednak czas. Zdjęcie powstało na przełomie kwietnia i maja 1943 r., a ostateczna likwidacja Hotelu Polskiego nastąpiła 13 lipca 1943 r. Również ubrania, w których znajdują się zatrzymani, świadczą o tym, że to bardziej wiosna niż lato.

W latach 90. do izraelskiego Muzeum Bojowników Getta zatelefonował Avrahim Zelinwarger, utrzymując, że fotka przedstawia jego syna Lewiego oraz żonę Chanę, stojących na ulicy Kupieckiej. Nie pozostało po niej żadne zdjęcie, więc nie mamy punktu odniesienia. O Kupieckiej wiemy tylko tyle, że była otwarta od strony ul. Zamenhofa, a drugi koniec wieńczył budynek, którego korytarzami można było się przedostać na Nalewki. Varsavianiści ze Stowarzyszenia Obrony Pozostałości Warszawy „Kolejka Marecka", biorąc pod uwagę układ cieni i kierunek, w którym jest zwrócona grupa ludzi ze zdjęcia, wskazali, że kolumna musiałaby zmierzać ku zaślepionemu końcowi uliczki. Gnanie tłumu przez korytarze wydaje się nielogiczne, tym bardziej że najkrótsza droga na Umschlagplatz wiodła dokładnie w stronę przeciwną.

Na podstawie analizy układu bruku i wyglądu frontu gmachu specjaliści z Kolejki Mareckiej określili przypuszczalny adres, gdzie zrobiono fotografię. To kamienica przy ul. Nowolipie 34. Sugeruje to sekwencja kadrów w raporcie Stroopa, gdzie fotograf uwiecznia kolejne numery budynków: 32, 36 i 38, po parzystej stronie tej ulicy. Niestety, przedwojenne zdjęcie kamienicy numer 34 jest bardzo niewyraźne. Identyfikacji dokonano w znacznej mierze dzięki tzw. planom Williama Lindleya. Przy budowie stołecznych wodociągów stworzono zbiór przeszło 7 tys. arkuszy map bardzo dokładnie pokazujących rzuty pionowe ulic i budowli.

Istnieją trzy hipotezy dotyczące tożsamości fotografa?

Znowu wpadamy w gąszcz domniemań. Autorstwo zdjęć przypisuje się Hauptsturmführerowi Franzowi Konradowi. Podczas przesłuchań i procesu – sądzono go razem ze Stroopem – przyznał się do wykonania „wielu fotografii znajdujących się w raporcie". Rozkaz dokumentacji zdjęciowej likwidacji warszawskiego getta wydał przełożony Stroopa – Friedrich Krüger. Trudno sobie jednak wyobrazić, by odpowiadał za to człowiek bez doświadczenia fotograficznego – taki jak Konrad. Stąd też podejrzenie, że zdjęcia te wykonywali fachowcy z Policji Bezpieczeństwa Rzeszy.

Dziecko z podniesionymi rękami pozostaje anonimowe?

O dwóch hipotezach wspomniałem wcześniej. Zvi Nussbaum do końca swoich dni nie był pewien identyfikacji, której dokonał. Avrahim Zelinwarger mylił się, dokonując rozpoznania, przynajmniej jeśli chodzi o miejsce. Ciężko opierać się też na świadectwie złożonym przez 95-latka. Ale nie wiek, przynajmniej mnie osobiście, przekonuje, że na zdjęciu nie znajdują się jego syn i żona. W tym czasie, kiedy wybuchło powstanie, Zelinwarger przebywał w Związku Sowieckim. Ponadto prof. Richard Raskin, który utrzymywał kontakt z Avrahimem i dane mu było zobaczyć jego fotografie rodzinne, kategorycznie stwierdza, że nie była to poprawna identyfikacja.

Pozostaje jeszcze trzecia teoria, najbardziej prawdopodobna – według niej na zdjęciu figuruje łowiczanin Artur Siemiątek. Co do jego życiorysu odsyłam do książki, gdyż tam – w znacznej mierze dzięki badaniom archiwistów – opisuję jego historię.

Ostatnia osoba ze zdjęcia zmarła w roku 2005. Najprościej byłoby to wła-

eprasa.pl 63687049a4

śnie ją zapytać zarówno o miejsce, jak i o identyfikację poszczególnych postaci. Jaka szkoda, że tego zaniechano.

Nie ulega za to wątpliwości, kim był uwieczniony w kadrze Niemiec...

Josef Blösche, celujący do grupy Żydów z pistoletu Bergmann. Gwoli ścisłości – to tylko jeden z Niemców, na fotografii widnieje ich przynajmniej czterech. Jedynie on został zidentyfikowany. I taka trochę była ta powojenna sprawiedliwość – jeden na czterech miał pecha i dostał jakąś karę.

Pochodził z wielodzietnej rodziny Niemców sudeckich, którzy mieli swój dom rodzinny koło Liberca. Kształcił się na kelnera, ale nauka mu nie szła. Narodowy socjalizm dał mu nowe możliwości zaistnienia, z których skorzystał. Policyjna służba w Polsce, by w końcu wylądować w Einsatzgruppen, gdy wojna przeniosła się na wschód. Tam „nauczył się" rozstrzeliwania i „przywykł" do niego. To chyba jego zeznania są dla mnie najbardziej przerażające. Cytuję je na podstawie materiałów procesowych. Te wszystkie określenia typu: „Funkcjonariusze gestapo dostarczyli dziesięciu obywateli radzieckich, którzy mieli być rozstrzelani" czy też, niczym akt humanitarny: „Rozstrzeliwałem ich bardzo szybko tak, że ofiary nie potrafiły zebrać myśli" – przerażają. W Warszawie Josef wplątuje się w namiętny romans biurowy. Ciężko sobie wyobrazić człowieka, który od godz. 8 do 16 strzela do kobiet i dzieci, by później przyjść do domu, włożyć kapcie, ucałować swoją Suzane i zjeść obiad. Jego kochanka z kolei narzeka, że on musi pozostawać po godzinach i często od niego „po robocie śmierdzi alkoholem". Powojenne losy Blöschego to mała socjalistyczna stabilizacja (zamieszkał wraz z rodziną w NRD). Tylko w piwiarni pytany o to, co robił podczas wojny, odwracał się i wychodził. Rozpoznany pod koniec lat 60., skazany na karę śmierci i stracony.

Jak potoczyły się losy dwóch kobiet ze zdjęcia?

Po lewej stronie, jakby wciśnięte w bok fotografii, stoją Hania i Matylda Lamet, córka i matka. Opracowania internetowe informują, że w archiwum obozu koncentracyjnego na Majdanku zachowała się karta dziewczynki z dopiskiem: „Zginęła w komorze gazowej". Nic bardziej mylnego. Dzieci podczas selekcji przed wejściem do obozu nie były w żaden sposób rejestrowane. Matylda przeżyła obóz. Po wojnie wyszła powtórnie za mąż i zamieszkała w Izraelu. Zmarła w XXI w., więc była możliwość rozmowy z nią. Nikt jednak o to się nie pokusił bądź też ona sama mówić nie chciała.

Chciałbym wspomnieć o osobie, która bardzo mi dopomogła w zgłębianiu losów rodziny Lamet. Jest to pan Alan Z. Grosbard, brat cioteczny małej Hani. Udostępnił mi wiele archiwaliów i pamiątek rodzinnych, dzięki czemu ta historia stała się najbardziej plastyczna.

Co wiemy o chłopaku z workiem na ramieniu?

Niewiele, to Leo Kartuzinski (nazwisko piszę zgodnie z danymi paszportowymi jego siostry). Pochodził z rodziny o warszawskich czy też podwarszawskich korzeniach. Według świadectwa w Yad Vashem zginął w Auschwitz. Złożone było przez jego siostrę, która wyemigrowała do Palestyny w roku 1935. Zatem, o ile identyfikacja wydaje się wielce prawdopodobna (w książce pokazuję podobieństwo rodzinne na zdjęciach), o tyle samo miejsce śmierci raczej niepewne.

O innych ludziach ze zdjęcia brak informacji?

Znajduje się tam jeszcze jedna rozpoznana osoba – Gołda Stavarowski. Jej losy są jedynie domniemane. Charakterystyczne w mojej narracji jest to, że tropy szybko się urywają. Gdy odszukałem kogoś, kto mógłby być powiązany ze sfotografowanymi, starałem się z nim skontaktować i nakłonić go do rozmowy. Niestety, pewne pokolenie umarło, a nie każdego i nie zawsze interesują dzieje własnej rodziny. A może po prostu część potomków wybiera milczenie i nie chce obnosić się z tym, czego doświadczyli przodkowie?

Getto warszawskie, a w szczególności powstanie, to bardzo wiele powtarzanych wątków, lecz kiedy chce się wejść w temat głębiej, okazuje się, że mamy pełno niewiadomych. Żywię nadzieję, że trzecia część archiwum Emanuela Ringelbluma zostanie kiedyś odnaleziona, tak aby można było się dowiedzieć i zrozumieć więcej.

Suplementem książki jest rozdział poświęcony Franciszce Mannównie...

Pierwszy raz opisałem ją na swym koncie w serwisie społecznościowym. Wielka polska tancerka, która, gdyby nie druga wojna światowa, zapewne zrobiłaby międzynarodową karierę. Wspaniała aparycja, niepospolity talent i miejsce na pierwszych stronach polskiej prasy u schyłku międzywojnia. Trafiła do getta. Mogła się ukrywać po stronie aryjskiej, ale pozostała na murem.

Przez lata uchodziła za kolaborantkę.

Bardzo nie lubię zarówno tego słowa, jak i tej metki. To, że w getcie chodziła w futrze, nie przekreśla faktu, że wielu osobom pomogła. Była ładna, młoda, związana z miejscami „szemranymi", takimi jak restauracja Arizona, którą prowadził jej mąż, więc przylgnęła do niej taka, a nie inna opinia.

Pozwolę sobie na dygresję – od kolaboracji do bohaterstwa jest droga niedaleka i vice versa. Przytoczę przykład. Chaim Rumkowski, przewodniczący łódzkiego Judenratu, jest uważany za kolaboranta. Na pewno był narcyzem, a jego zachowanie cechował nepotyzm. Ale gdyby nie wybuchło powstanie warszawskie, a Armia Czerwona latem 1944 r. przekroczyłaby linię Wisły, Łódź zostałaby wyzwolona, a Rumkowski ocaliłby 30 tys. Żydów. Nikt nie pamiętałby mu Wielkiej Szpery, a uratowani wychwalaliby go, że przechytrzył Niemców i przyjął najmądrzejszą strategię umożliwiającą przetrwanie.

Wracając do Mannówny, w ostatecznym rozrachunku jest postacią tragiczną i przegraną. Mimo pieniędzy, urody i seksapilu przychodzi jej umrzeć w wieku niespełna 27 lat.

Okoliczności jej śmierci przypominają kino akcji...

Zginęła w przedsionku krematorium, zabijając esesmana. Niemal wszyscy świadkowie zdarzenia zostali zamordowani, toteż pewnie jest w tej opowieści fragment mityczny. Relację o wyczynie Mannówny przekazywano z ust do ust, pisał o niej Tadeusz Borowski, więc zapewne przeinaczenia i gloryfikacja mają tu miejsce. W swej książce przytaczam słowa członka Sonderkommando, Szlomo Dragona, gdyż, jeżeli już ktokolwiek opowiada ten epizod poprawnie, to właśnie on – będący jego świadkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Zyśko – lublinianin, pasjonat historii, zwłaszcza najnowszej, biegacz długodystansowy. Książka „Siłą wyciągnięci z bunkrów" jest jego literackim debiutem.

eprasa.pl 63687049a4

„Najgłupsza prawica świata”

Olivier Bault

Przed Francuzami wybory do Zgromadzenia Narodowego nazywane teraz „trzecią turą”. Tymczasem prawica, zamiast skonsumować niezły wynik Marine Le Pen, kłóci się i nie chce jednoczyć

Potwierdziły się sondaże, w których przewaga urzędującego prezydenta Emmanuela Macrona nad Marine Le Pen powiększała się w ostatnim tygodniu przed drugą turą wyborów prezydenckich. Ostatecznie Macron wygrał stosunkiem głosów 58,5 proc. do 41,5 proc. Z taką przewagą powinien być dziś spokojny o wynik wyborów parlamentarnych, w których Francuzi mają wyznaczyć swoich przedstawicieli do Zgromadzenia Narodowego. Wybory te odbędą się w dwóch turach – 12 i 19 czerwca. Są to wybory jednomandatowe w 577 okręgach.

Mówi się często, że we Francji obowiązuje system prezydencki. Poprzednie okresy tzw. kohabitacji, kiedy rząd i prezydent pochodzili z przeciwnych obozów politycznych, pokazały jednak, że bez większości w izbie niższej parlamentu francuski prezydent tylko panuje, a rządzi premier. Tak było w latach 1986–1988, kiedy po wyborach parlamentarnych przegranych przez obóz socjalistyczny prezydent François Mitterrand musiał znosić rządy centroprawicowego premiera Jacques’a Chiraca. W latach 1993–1995, pod koniec drugiej siedmioletniej kadencji Mitterranda, rządził z kolei centroprawicowy premier Édouard Balladur. Sytuacja odwróciła się w 1997 r., kiedy centroprawicowy prezydent Chirac postanowił rozwiązać Zgromadzenie Narodowe, chcąc zapewnić sobie większość parlamentarną do końca swojej kadencji. Przegrał jednak swój zakład, a przez kolejne pięć lat stery rządu trzymał socjalistyczny premier Lionel Jospin.

Aby unikać takich właśnie sytuacji w 2002 r., w wyniku reformy konstytucji, siedmioletnią kadencję prezydenta skrócono do pięciu lat, by pokrywała się ona z kadencją Zgromadzenia Narodowego. Do tej pory bowiem w wyborach parlamentarnych następujących zaraz po wyborach prezydenckich Francuzi zawsze głosowali tak, aby nowo wybrany prezydent mógł liczyć na większość w Zgromadzeniu

eprasa.pl 63687049a4

Marine Le Pen przegrała wybory prezydenckie, ale osiągnęła najlepszy wynik w historii swojego ugrupowania
FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Narodowym. Senat jest wybierany w osobnych wyborach w innym trybie (przez elektorów) i przez cały czas rządów partii Republika Naprzód (LREM) prezydenta Macrona, to centroprawicowa partia Republikanie (LR), której kandydatka zdobyła mniej niż 5 proc. głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich z 10 kwietnia, miała w nim większość. Jednak podobnie jak w Polsce w razie różnicy zdań głos rozstrzygający ma i tak izba niższa. Istotne jest więc dla Macrona, aby uzyskać jeszcze raz większość w izbie niższej parlamentu po czerwcowych wyborach.

WYJĄTKOWA SYTUACJA

Sytuacja w tym roku jest jednak wyjątkowa. Prezydent Macron, choć wygrał z dużą przewagą nad swoją konkurentką, został wybrany z rekordowo niskim poparciem. Stało się tak za przyczyną wysokiej jak na francuskie standardy absencji w wyborach prezydenckich – wyniosła ona aż 28 proc. Jeśli brać pod uwagę tych, którzy nie zagłosowali na żadnego z dwóch kandydatów lub oddali głos nieważny, Macron otrzymał tylko 38 proc. głosów, co jest najgorszym wynikiem uzyskanym przez zwycięzcę francuskich wyborów prezydenckich od 1969 r., kiedy to lewica wezwała swoich wyborców do zbojkotowania drugiej tury głosowania, w której znaleźli się dwaj kandydaci wywodzący się z prawicy. Jeśli zastosować podobną miarę do Marine Le Pen, otrzymała ona tylko 27 proc. głosów w drugiej turze, ale to i tak o ok. 2,5 mln głosów więcej niż pięć lat temu, podczas gdy Macron otrzymał 2 mln głosów mniej niż w poprzednich wyborach

Na dodatek, jeśli wierzyć sondażom powyborczym, ponad 40 proc. tych, którzy zagłosowali na urzędującego prezydenta w drugiej turze, uczyniło tak, aby przeciwstawić się Marine Le Pen, a nie po to, by dać wyraz poparcia dla Macrona. Te same badania pokazują jednak także, że podobny procent tych, którzy zagłosowali w drugiej turze na Le Pen, nie tyle podzielają jej poglądy, ile chcieli zapobiec wygranej Macrona.

PEWNE ZWYCIĘSTWO

Pomimo tego i pomimo trzeciej z rzędu porażki w wyborach prezydenckich Marine Le Pen miała powody, żeby mówić – jak to uczyniła zaraz po ogłoszeniu wstępnych wyników – o pewnym zwycięstwie. Zjednoczenie Narodowe (RN) – dawniej Front Narodowy – jest partią zgodnie określaną mianem „skrajnie prawicowej" przez wszystkie media mainstreamowe i od kilkudziesięciu lat otaczanej „kordonem sanitarnym" utworzonym wokół niej przez lewicę i centroprawicę. Mimo tego nigdy wcześniej kandydat tej formacji nie uzyskał tak wysokiego wyniku w wyborach jak Marine Le Pen 24 kwietnia. Przypomnijmy – w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2002 r. ojciec Marine Le Pen, Jean-Marie, musiał zadowolić się wynikiem 18 proc. w stosunku do 82 proc. dla Jacques'a Chiraca (choć na tego drugiego zagłosowało tylko 20 proc. biorących udział w wyborach w pierwszej turze). Z kolei pięć lat temu Marine Le Pen otrzymała 34 proc. głosów, podczas gdy na Emmanuela Macrona głosowało 66 proc. wyborców.

Progresja Le Pen była najbardziej spektakularna w departamentach zamorskich zamieszkałych w większości przez czarnych Francuzów, w których Le Pen podwoiła swój wynik sprzed pięciu lat, otrzymując w niektórych nawet powyżej 60 proc. głosów, co zadaje kłam narracji o rzekomym rasizmie RN.

Normalizacja partii Marine Le Pen staje się więc faktem pomimo brutalnej kampanii medialnej, która rozpoczęła się w przytłaczającej większości głównych mediów nazajutrz po pierwszej turze wyborów prezydenckich. Przed pierwszą turą media głównego nurtu koncentrowały swoje ataki na konkurencie Marine Le Pen po prawej stronie – Éricu Zemmourze, gdyż uznano go za bardziej prawicowego. Wydawało się nawet, że proces „dediabolizacji" zainicjowany przez córkę Jeana-Marie Le Pena, gdy w 2011 r. przejęła przywództwo Frontu Narodowego, nareszcie wydaje dobre owoce, skoro jest ona przedstawiana jako względnie umiarkowana i odpowiedzialna w porównaniu z Zemmourem. Jednak wszystko wróciło do normy 11 kwietnia – po eliminacji z wyścigu o fotel prezydencki Zemmoura.

– Z Marine Le Pen biedni mogą umrzeć – powiedział minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin 12 kwietnia w mieście, w którym Marine Le Pen zdobyła ponad 30 proc. głosów w pierwszej turze.

„Zwycięstwo Marine Le Pen zagroziłoby życiu działaczy feministycznych, antyfaszystowskich i antyrasistowskich" – stwierdziła w wywiadzie dla dziennika „Libération" dziennikarka i działaczka LGBT Alice Coffin, radna miasta Paryża wybrana z listy Zielonych. I dodawała: „Doświadczenia węgierskie czy polskie muszą służyć jako lekcja: w przypadku zwycięstwa skrajnej prawicy niebezpieczeństwo będzie wszechogarniające i nie będzie dotyczyło tylko kobiet we Francji, ale w całej Europie, ponieważ w Parlamencie Europejskim runą tamy, nastąpi efekt skażenia".

„W przypadku wyboru Marine Le Pen Żydzi we Francji mogą otrzymać zakaz dalszego spożywania koszernego jedzenia" – ostrzegł „Le Monde" w tytule wywiadu z Eliem Korchią, przewodniczącym Centralnego Konsystorza Francji, który ukazał się 17 kwietnia.

– Nie mamy prawa obciążać przyszłości naszych dzieci, pozostając biernymi świadkami nieuchronnie zbliżającej się katastrofy politycznej. Głosujmy na Emmanuela Macrona – apelował 15 kwietnia rektor Wielkiego Meczetu w Paryżu. Apel został wysłuchany: 85 proc. francuskich muzułmanów biorących udział w wyborach zagłosowało w drugiej turze na Macrona.

eprasa.pl 63687049a4

Publiczne i prywatne media chórem straszyły, że wraz z wyborem Marine Le Pen skończy się demokracja liberalna, że dojdzie do czegoś w rodzaju zamachu stanu i że nie wiadomo, co się stanie, jeśli to ona będzie władała arsenałem atomowym Francji. Mnożyły się apele intelektualistów, artystów i akademików, wzywających do zatrzymania przy urnach „skrajnej prawicy".

NIEPEWNE ZWYCIĘSTWO MACRONA

Tymczasem Marine Le Pen nie tylko poprawiła swój wynik sprzed pięciu lat, lecz także pierwsze sondaże opublikowane po wygranej Emmanuela Macrona, kiedy to liberalne elity w całej Europie i po drugiej stronie Atlantyku odetchnęły z ulgą, pokazały, że i tak większość francuskich wyborców nie życzy sobie, aby stary-nowy prezydent mógł nadal liczyć na większość parlamentarną, a to jest dość niezwykłe we francuskiej polityce.

Dlatego też komentatorzy są zgodni, że zwycięstwo obozu prezydenckiego w czerwcowych wyborach nie jest jeszcze pewne. Pierwszym, który nazwał te wybory „trzecią turą", był Jean-Luc Mélenchon, kandydat partii La France Insoumise (LFI: Francja Niepokorna albo Francja Nieujarzmiona). Zrobił to już przed drugą turą wyborów prezydenckich, rozpoczynając kampanię parlamentarną apelem do Francuzów, aby to właśnie jego wybrali na premiera. Koncept trzeciej tury przyjął się bardzo szybko po rozstrzygnięciu drugiej tury na korzyść Emmanuela Macrona, a były trockista Mélenchon, który jest dziś powszechnie uznawany za przedstawiciela radykalnej lewicy czy też nawet tzw. islamolewicy, dzięki dobremu wynikowi (22 proc. głosów) uzyskanemu w pierwszej turze prowadził w tygodniu po wyborach aktywne rozmowy z socjalistami, komunistami i zielonymi w celu utworzenia sojuszu dającego szansę na silną pozycję w Zgromadzeniu Narodowym. Sumując procent głosów uzyskanych w pierwszej turze wyborów przez kandydatów partii mogących tworzyć taki blok lewicowy, otrzymujemy wynik powyżej 30 proc., co daje w systemie francuskim szansę na utworzenie większości w izbie niższej parlamentu, a w najgorszym wypadku na bycie największą grupą opozycyjną w parlamencie, o ile podobny sojusz nie powstanie na prawicy.

Według sondaży ponad 90 proc. lewicowych wyborców chciałoby wspólnych kandydatów lewicy w wyborach parlamentarnych, a w obozie „populistycznej" prawicy podobnego sojuszu życzy sobie ok. 70 proc. wyborców Marine Le Pen i ponad 90 proc. wyborców Érica Zemmoura.

Mélenchon już w pierwszym tygodniu po wyborach prezydenckich rozpoczął budowę takiego sojuszu, a – jak zauważała redakcja „Le Figaro" w słowie od redakcji opublikowanym 27 kwietnia – wobec Mélenchona nie ma mowy o żadnym kordonie sanitarnym, choć głosi poglądy dużo bardziej radykalne niż Le Pen czy Zemmour: „Gospodarka planowa, kreolizacja, presja fiskalna – to właśnie wokół tego tryptyku lewica próbuje się zjednoczyć. Błędem byłoby drwienie z instynktu przetrwania tych upadających partii. Podczas wyborów samorządowych pokazały, od Marsylii do Lyonu i od Strasburga do Bordeaux, że osłabiona, ale zjednoczona lewica może zwyciężyć nad liczebnie przeważającymi, lecz podzielonymi siłami".

Komentatorzy są zgodni, że zwycięstwo obozu prezydenta Macrona w czerwcowych wyborach nie jest jeszcze pewne

SPÓR NA PRAWICY

A na prawicy siły okazały się po wyborach prezydenckich podzielone jak nigdy dotąd. U Republikanów, czyli w obozie centroprawicy, spór idzie o to, czy należy przyłączyć się do obozu prezydenta Macrona czy pozostać w opozycji z okrojoną grupą w przyszłym Zgromadzeniu Narodowym, gdyż sondaże wyborcze nie wróżą im niczego dobrego po sromotnej porażce w wyborach prezydenckich.

Tymczasem na prawym skrzydle Republikanów Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen wyobraża sobie zjednoczenie tylko w ramach własnych list wyborczych, dopuszczając możliwość wystawienia kandydatów spoza własnej formacji w niektórych okręgach, ale wykluczając wszelkie sojusze, zwłaszcza z partią Reconquête Érica Zemmoura. Mając tylko siedmiu posłów w obecnym Zgromadzeniu Narodowym, partia Marine Le Pen zamierza wystawić kandydatów we wszystkich 577 okręgach wyborczych, w tym przeciwko Éricowi Zemmourowi i Marion Maréchal, siostrzenicy Marine Le Pen, jeśli ci wystartują w wyborach. Dzieje się to mimo tego, że zaraz po drugiej turze, przed którą Zemmour nawoływał do głosowania na Marine Le Pen, lider Reconquête postulował, aby razem tworzyć wielką koalicję prawicy i wszystkich patriotów przed wyborami parlamentarnymi, zapraszając do niej również tych Republikanów, którzy nie godzą się na więcej „macronizmu" we francuskiej polityce. To samo mówiła Marion Maréchal, siostrzenica Marine Le Pen i wiceprzewodnicząca partii Zemmoura, podkreślając 26 kwietnia w Radiu RTL, że „sojusz RN-Reconquête-DLF [Debout la France, partia Dupont-Aignan] może być pierwszą grupą opozycyjną, a nawet uzyskać względną większość. Nie chodzi o to, by zadbać o własne podwórko, ale o to, aby Macron nie miał pełni władzy". Przy tym Maréchal uznała, robiąc ukłon w kierunku swojej ciotki: „Oczywiście liderem takiego sojuszu jest osoba, która uzyskała najwięcej głosów w wyborach, nikt tego nie kwestionuje".

Ale wszystko to na nic. Kolejne wypowiedzi polityków RN w tygodniu po przegranej w drugiej turze wyborów wyrażały głównie pretensje wobec Érica Zemmoura i wolę izolowania jego partii oraz pewność, że Marine Le Pen wprowadzi tym razem większą grupę deputowanych do parlamentu. Pytanie, czy taka strategia nie zadziała demobilizująco na jej elektorat z pierwszej tury, z którego część zagłosowała na nią, a nie na stojącego niżej w sondażach Zemmoura, aby nie dopuścić Mélenchona do drugiej tury wyborów. W 2017 r., po przegranych wyborach prezydenckich, w których Le Pen dostała 34 proc. głosów, Front Narodowy dostał tylko 13 proc. głosów w wyborach parlamentarnych, co dało mu zaledwie kilka mandatów poselskich.

Dlatego też, mając z jednej strony zjednoczoną, ale bardzo radykalną lewicę, a z drugiej strony podzieloną prawicę, pomimo braku szerszego poparcia dla swojej polityki we francuskim społeczeństwie, prezydent Macron nie musi się szczególnie martwić o wynik wyborów parlamentarnych. Liberalne centrum wspierane przez establishment ma przed sobą jeszcze długie lata sprawowania władzy, a gdy spojrzymy na centroprawicę czy populistyczną prawicę, Francuzi, jak sami twierdzą od lat, mają i tak „najgłupszą prawicę świata".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

„Desatanizacja” Ukrainy

Maciej Pieczyński

Kremlowska propaganda niedawno otworzyła nowy front ideologicznej walki. Jej „kapłani” przekonują, że Ukrainą rządzi nowe ISIS, satanistyczna sekta biesów i nekromantów, składająca w ofierze swoim pogańskim bożkom naród rosyjski. „Operacja specjalna” przedstawiana jest niemal jak egzorcyzmy – walka ze „światowymi siłami zła”. Absurd goni absurd

Władimir Sołowiow, prowadzący popularny polityczny talk-show w rosyjskiej telewizji państwowej, lubi przypominać o swoim żydowskim pochodzeniu, gdy wpisuje się to w jego narrację. Kiedy w ramach zachodnich sankcji stracił swoje luksusowe wille we Włoszech, ze łzami w oczach żalił się na „antysemityzm”. Podobnie często goszcząca w jego programach szefowa telewizji RT (dawniej: Russia Today) Margarita Simonian stwierdziła jakiś czas temu, że Rosjanie, potępiani za „operację specjalną”, są „współczesnymi Żydami”. Narracja z pozoru absurdalna. Jednak o tyle konsekwentna, że przecież przeciwnikiem Moskwy na Ukrainie są rzekomo „neonaziści”. Ale kiedy popierający politykę Putina goście Sołowiowa zaczęli, w czarnosecinnym duchu, zwracać uwagę na żydowskie nazwiska liderów rosyjskiej opozycji, prowadzący nie rozdzierał szat.

Ostrych personalnych ataków na Zełenskiego też jakoś nie uważa za antysemickie. A przecież ukraiński prezydent również ma żydowskie korzenie. Ale to „kapłan rosyjskiej propagandy” decyduje, kto tu ma prawo użalać się na antysemityzm, a kto nie. W jednym z programów Sołowiow zwrócił się bezpośrednio do Zełenskiego: „Żaden z ciebie Żyd, jesteś prawdziwy, tani bies. Jesteś biesem, a twoje sługi to drobne biesy (nawiązanie do powieści Fiodora Sołoguba pt. „Drobny bies”). Dlatego trzeba cię przegonić, a nie rozmawiać z tobą. Ty rosyjskiemu prawosławnemu wojsku udowodniłeś, że my walczymy nie tylko z nazistami. My walczymy z biesami”. Następnie wykonał teatralny gest, pół żartem, ale również pół serio. Uroczystym, podniosłym tonem, niczym ksiądz prawosławny, powiedział: „Rzucam na ciebie, Wowka Zełenski, klątwę”. Złośliwi wątpią, czy był w tamtym momencie trzeźwy czy tylko upojony ideologiczną ekstazą. Niemniej faktem jest, że na antenie państwowej telewizji rosyjskiej niezwykle popularny dziennikarz zainscenizował nieomal egzorcyzmy, symbolicznie wypędzając złe duchy z Ukrainy.

Swoją tyradę zakończył słowami: „A wasza satanistyczna nazistowska władza jest bezbożnym wrogiem Ukrainy”. To nie jest żadna pomyłka. Z punktu widzenia kremlowskiej propagandy Ukraina jest przecież okupowana przez „nazistów”. To więc „logiczne”, że właśnie ta władza jest wrogiem Ukraińców. Rosjanie „wyzwalają” ich od własnych rządzących. Tu czai się kolejny absurd narracji Moskwy. Sam Putin wielokrotnie pisał o tym, że samodzielny naród ukraiński nie istnieje, że jest on tak naprawdę częścią narodu rosyjskiego. Znany prokremlowski politolog Siergiej Michiejew w jednym ze swoich telewizyjnych występów na tej właśnie podstawie wysnuł wniosek, w myśl którego na Ukrainie nie ma żadnego ludobójstwa. Bynajmniej nie oznacza to, że zaprzeczył rosyjskim zbrodniom. Stwierdził jednak, że pod względem etnicznym Ukraińcy to tak naprawdę Rosjanie. A ludobójstwo to przecież mordowanie ludzi ze względu na ich pochodzenie narodowe. Michiejew nie wyraził tego wprost, ale dał do zrozumienia, że to Rosjanie swoich zabijają. „Jestem takim samym Ukraińcem jak oni, a oni takimi samymi Rosjanami jak ja” – oznajmił Michiejew. Nikt z jego śmiałą tezą nie polemizował.

KRWAWE ŻNIWA

Na portalu prawosławnej, konserwatywnej, monarchistycznej telewizji internetowej Tsargrad.tv (prywatnej, ale należącej do proputinowskiego oligarchy Konstantina Małofiejewa) ukazał się niedawno artykuł pod szokującym tytułem: „Kraj zmarłych. Kijów żywi się »krwią rosyjskich niemowląt«”. To żadna ironia. Autorka tekstu, Anastazja Antonowa, naprawdę przekonuje czytelników, że Ukraina „ugrzęzła w sieciach strasznej totalitarnej sekty, którą można wyrwać tylko z korzeniami”. Jak nietrudno się domyślić, tylko prawosławna, bogobojna Rosja może tutaj pomóc. „Ukraińscy neonaziści zawalili portale społecznościowe górami trupów – prawdziwych i wymyślonych. Zdrowemu psychicznie człowiekowi trudno sobie wyobrazić, zrozumieć, uświadomić, kto może być do tego zdolny” – twierdzi Antonowa. Nie wyjaśnia przy tym, że chodzi o „trupy” ofiar agresji rosyjskiej. Czytelnik może raczej odnieść wrażenie, że Ukraińcy wyznają kult śmierci, całkowicie niezależny od działań Moskwy.

Jako pierwszy dowód na potwierdzenie tej oryginalnej tezy podaje krążący w Internecie klip, na którym młoda dziewczyna w ukraińskim stroju ludowym podrzyna sierpem gardło rosyjskiemu żołnierzowi i tonem opętanej zapowiada „krwawe żniwa”, czyli

eprasa.pl 63687049a4

zemstę na „Moskalach" za wszystkie krzywdy swojego narodu. W tę rolę wcieliła się aktorka ze Lwowa Adrianna Kuryłeć. Po publikacji usunęła wszystkie konta na portalach społecznościowych. Film powstał ponoć przy wsparciu Ukraińskiej Narodowej Ligi Kobiet Ameryki. Reżyser Stepan Hryciuk w rozmowie z lokalnymi lwowskimi mediami stwierdził, że to „patriotyczny klip", który ma wystraszyć rosyjskich agresorów. Nie wiadomo, co naprawdę autor miał na myśli. Faktem jednak jest, że tego typu obraz budzi skojarzenia z ukraińskimi rezunami i banderowcami, wpisując się w zapotrzebowanie kremlowskiej propagandy. Stąd też nic dziwnego, że klip zdobył ogromną popularność, tyle że w rosyjskich mediach. „Pannoczka" (po ukraińsku „panienka" – tak Nikołaj Gogol nazwał postać młodej dziewczyny-wiedźmy w swoim rozgrywającym się na ukraińskiej wsi opowiadaniu „Wij") brutalnie mordująca Bogu ducha winnego Rosjanina – to obraz wart tysiąca słów o „ukraińskim neonazizmie". Adrianna Kuryłeć stała się wielką gwiazdą państwowej telewizji w Rosji. Gdyby skandaliczny klip był rzeczywiście, jak to przedstawiają media kremlowskie, oficjalnym przekazem propagandy Kijowa, to tak przecież sprawni w Internecie Ukraińcy z pewnością zadbaliby o to, aby dotarł do jak najszerszego grona odbiorców. Tymczasem jest zupełnie na odwrót. Ukraiński Internet na temat „pannoczki" milczy.

Rosjanie interpretują tę scenę wręcz jako mord rytualny. Tsargrad.tv poprosił o komentarz w tej sprawie eksperta. Nie politologa, nie medioznawcę czy ukrainistę, tylko specjalistę od sekt i historyka Aleksandra Czausowa. „Pannoczkę" określa mianem „dziewczyny zombi". „To nie jest zwyczajne neopogaństwo czy satanizm. To jest nekromancja w czystej postaci" – oznajmia Czausow. Jego zdaniem Ukraińcy wyznają kult śmierci, będący „osobnym nurtem pogaństwa i totemizmu". „Martwi, którzy chodzą jak zombi, po dzikim polu, najbardziej nienawidzą samego życia. […] Na Ukrainie już od dawna czczona jest śmierć, a w Rosji, choć jest pełno problemów, to jednak życie bije po oczach" – przekonuje ekspert. W jego przekonaniu przejawem owego pogańskiego kultu zmarłych jest czczenie ofiar Hołodomoru czy sporządzanie nekrologów. Antonowa do tego spisu „dowodów" na sekciarski charakter ukraińskiej tożsamości dodaje obwożenie w trumnach po ulicach Kijowa ciał bohaterów „niebiańskiej sotni", czyli poległych w walkach na Euromajdanie, oraz ofiary zbrodni w Buczy (oczywiście jej zdaniem dokonanej przez „neonazistów").

Michiejew, który uwielbia w swoich komentarzach odwoływać się do religii, jak mantrę powtarza swoją tezę, w myśl której „kijowski reżim" to banda neopogan i satanistów. Przytacza na to trzy powody. Po pierwsze, wspomniana już „dziewczyna z sierpem", zapowiadając zemstę na Rosjanach, przywołała „dawnego ukraińskiego boga", który ma się przebudzić w głębinach Dniepru. Zdaniem Michiejewa inscenizacja zabójstwa rosyjskiego żołnierza to tak naprawdę pogański obrzęd – złożenie krwawej ofiary pogańskim bóstwom i demonom. Politolog przekonuje, że jakoby wszystkie pogańskie kulty przewidują składanie ludzi w ofierze, co akurat nie jest prawdą. To jednak nie ma znaczenia – skoro za pomocą tej pałki da się uderzyć w Kijów, to kremlowscy propagandyści używają jej z wielką pasją.
Po drugie, zdaniem Michiejewa pogaństwo jest oficjalną religią Ukrainy. Dowodem na to jest jakoby noszenie symbolu czarnego słońca na szewronach przez „wszystkich ukraińskich żołnierzy". To kolejna bzdura. Czarne słońce było używane

„Kraj zmarłych. Kijów żywi się »krwią rosyjskich niemowląt«" – ostrzega w swym tekście Anastazja Antonowa

eprasa.pl 63687049a4

jedynie przez środowisko pułku „Azow", które rzeczywiście odwołuje się do tradycji przedchrześcijańskich – w bazie „Azowa" w Mariupolu stanął kiedyś posąg słowiańskiego Peruna. Po trzecie, Michiejew z tych neopogańskich sympatii wyciąga daleko idący wniosek, zgodnie z którym wierzenia przedchrześcijańskie w ten czy inny sposób zawsze kończą się nazizmem. Jako potwierdzenie przywołuje fascynację ideologów III Rzeszy różnymi kultami pogańskimi. „Ukraina to jest Europa. To prawda. Bo naturalnym cyklem życia Europy jest ewolucja od okultyzmu przez satanizm do nazizmu" – przekonuje domorosły religioznawca Michiejew. Jego zdaniem zachodni naziści obecnie „kroją Ukrainę jak świnię", gdyż chcą ją złożyć w ofierze swoim pogańskim bogom.

Bohaterka skandalicznego klipu dała też rosyjskiej propagandzie pretekst do porównywania „kijowskiego reżimu" z ISIS. Michiejew stwierdził, że być może dziejową misją Rosji na Bliskim Wschodzie, podczas wojny w Syrii, było pokonanie Państwa Islamskiego. Jak połączyć niechęć do islamistów z udziałem w „operacji specjalnej" islamskich fundamentalistów spod znaku Kadyrowa, którzy na gruzach zniszczonego Mariupola triumfalnie krzyczeli: „Allah akbar!"? To bardzo proste. Kadyrowcy to „prawdziwy islam", a ISIS to „satanizm, który podszywa się pod islam". Jednak porównania z ISIS wynikają nie tyle z kwestii ideologicznych, ile z rzekomego podobieństwa metod. Film z „pannoczką" łudząco przypomina filmy, na których islamiści podrzynali gardła niewiernym. Zdaniem Michiejewa to nie przypadek – w jego przekonaniu w obu przypadkach za nagraniami stoją „zachodnie kampanie PR-owskie". Zły, nazistowski, satanistyczny Zachód zatem popiera zarówno ISIS, jak i Ukrainę… Z kolei Siergiej Łatyszew wprost napisał na łamach portalu Tsargrad.tv, że Ukraina to nowe ISIS. Na potwierdzenie tej tezy podał aż 20 argumentów. Ukraina jest więc „państwem terrorystycznym", ponieważ jakoby strzela do cywilów, używa ich jako żywych tarcz, rozsiewa fejki, prześladuje opozycję polityczną (chodzi o zatrzymanie Wiktora Medwedczuka – jeden z dziennikarzy rosyjskich stwierdził nawet, że dowodzi, iż Ukraińcy, jak to źli naziści, nie szanują starszych osób, Medwedczuk bowiem ma 70 lat…), handluje organami ludzkimi, a także – uwaga! – stosuje taktykę spalonej ziemi. To ostatnie, zdaniem Łatyszewa, cechuje jedynie nazistów i terrorystów. Warto byłoby więc zapytać, do której z tych grup zaliczeni zostali rosyjscy żołnierze, którzy podczas wojny ojczyźnianej 1812 r. tę taktykę stosowali, broniąc się przed Napoleonem…

Według Michiejewa zachodni naziści obecnie „kroją Ukrainę jak świnię", gdyż chcą ją złożyć w ofierze swoim pogańskim bogom

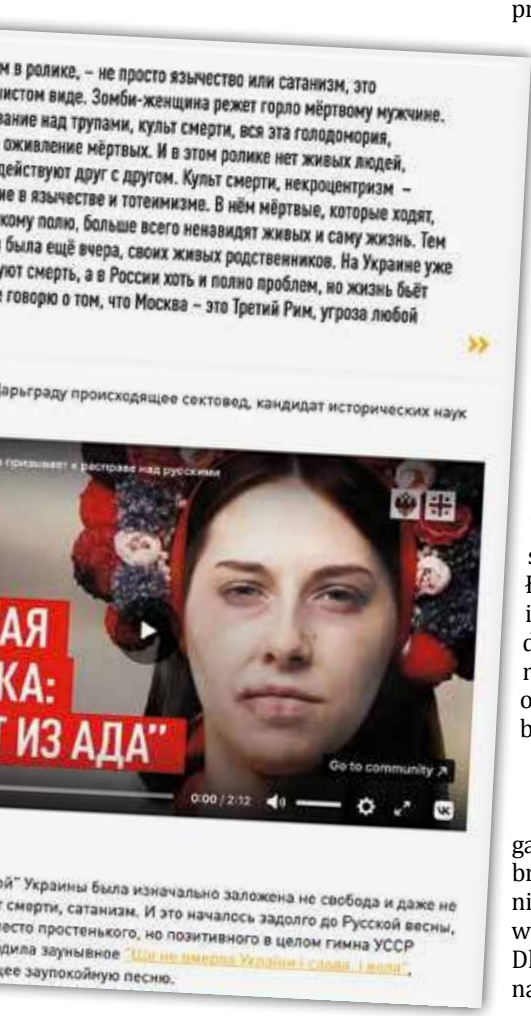
м в ролике, – не просто язычество или сатанизм, это
истом виде. Зомби-женщина режет горло мёртвому мужчине.
вание над трупами, культ смерти, вся эта голодомория,
оживление мёртвых. И в этом ролике нет живых людей,
действуют друг с другом. Культ смерти, некроцентризм –
ие в язычестве и тотеимизме. В нём мёртвые, которые ходят,
кому полю, больше всего ненавидят живых и саму жизнь. Тем
была ещё вчера, своих живых родственников. На Украине уже
ют смерть, а в России хоть и полно проблем, но жизнь бьёт
говорю о том, что Москва – это Третий Рим, угроза любой

арьграду происходящее сектовед, кандидат исторических наук

призывает к расправе над русскими

АЯ
КА:
Т ИЗ АДА"

Go to community

0:00 / 2:12

ой" Украины была изначально заложена не свобода и даже не
смерти, сатанизм. И это началось задолго до Русской весны,
есто простенького, но позитивного в целом гимна УССР
дила заунывное "Ще не вмерла Україна і слава, і воля",
ее заупокойную песню.

CO ZŁEGO, TO ZACHÓD

Narracja o satanistycznym, neopogańskim charakterze ukraińskich władz brzmi oczywiście groteskowo. Ponadto nie jest całkowicie oderwana od innych wątków kremlowskiej propagandy. Dla Rosji „operacja specjalna" jest tak naprawdę starciem z Zachodem, traktowanym jako manichejska walka dobra ze złem. Moskwa to przecież „Trzeci Rzym", ostoja prawosławia, „prawdziwego" chrześcijaństwa i konserwatyzmu, jak to ujął cytowany już historyk Aleksandr Czausow – „zagrożenie dla wszystkich sekt". Nekromanci, neopoganie, sataniści – to dla niej równie wygodni przeciwnicy, co neonaziści czy „kijowska junta".

Wydawałoby się, że idea „Trzeciego Rzymu" jest nie do pogodzenia z tak istotnym dla tożsamości Rosji Putina kultem Armii Czerwonej. Tymczasem kremlowscy propagandyści nie mają z tym egzotycznym połączeniem większego problemu. Ten sam Siergiej Michiejew, który z pozycji prawosławnego fundamentalisty potępiał publicznie ukraińskie „neopogaństwo", jednocześnie lubi powtarzać, że „ateistyczny Związek Sowiecki w decydującym momencie cudem stanął po właściwej stronie". Czyli „po stronie światła, które pokonało ciemność". Przez ową „ciemność" Michiejew rozumie dążenie do paktu Zachodu z szatanem. III Rzesza, pokonana przez Sowietów, była jedynie zewnętrzną formą tego paktu. Dziś przybiera on nowe kształty – kultury masowej, „legalizacji zboczeń seksualnych" czy „absolutyzacji kulty siły". Zwłaszcza te dwa ostatnie zjawiska wzajemnie się wykluczają. Ale dla Michiejewa to nie problem. Co złego, to Zachód. A Zachód tradycyjnie przez całą swoją historię przechodzi powtarzającą się ewolucję od okultyzmu do satanizmu.

„Cywilizacja europejska"? „Cywilizacja chrześcijańska"? Bynajmniej. Jeden z prowadzących w rosyjskiej telewizji państwowej nazwał Zachód „cywilizacją ludobójstwa". Żaden z gości w studiu nie zaprotestował, bo też jest to kolejna teza, z którą podskórnie zgadzają się wszyscy świadomi mieszkańcy „oblężonej twierdzy Rosja". Albo – by użyć metafory Czechowa o jego ojczyźnie jako szpitalu dla obłąkanych – pacjenci „Sali nr 6". Cała historia Zachodu – od wypraw krzyżowych do Hitlera i wojny w Wietnamie – to dzieje ludobójstwa. Oczywiście Rosja nigdy na nikogo nie napadała, nigdy nie dopuszczała się żadnych zbrodni przeciwko innym narodom. A teraz, jak to ujął generał-major rezerwy Leonid Pietuchow, na Ukrainie walczy nie tylko z miejscowymi „neonazistami", lecz także ze „światowymi siłami zła". Bo „kijowski reżim" to, by znów użyć słów Michiejewa, „awangarda Zachodu". Złego Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

USA w ogniu strajku kobiet

Piotr Włoczyk

Wiele wskazuje na to, że za dwa miesiące Sąd Najwyższy USA odwróci decyzję z 1973 r. legalizującą aborcję. Amerykańska lewica przygotowuje się do wojny z obrońcami życia

Demonstracje i zamieszki w największych amerykańskich miastach, pierwsi ranni policjanci i demonstrujący, feministki zapowiadające prawdziwą wojnę o aborcję – to pierwsze efekty tekstu opublikowanego w zeszłym tygodniu przez portal Politico. Wszystko wskazuje na to, że Ameryka doczeka się własnego strajku kobiet, który może przybrać dużo bardziej brutalną formę niż to, co działo się w Polsce pod koniec 2020 r.

„Wyrok w sprawie Roe był haniebny od samego początku. Argumentacja była wyjątkowo błędna, a decyzja szkodliwa – napisał sędzia Samuel Alito we wstępnej opinii, którą opublikowało Politico. – Zamiast uspokojenia Roe oraz Casey zaogniły debatę i pogłębiły podziały. Uważamy, że wyroki w sprawach Roe i Casey muszą zostać zmienione. Czas, by w zgodzie z konstytucją uznać, że kwestia aborcji regulowana jest przez reprezentantów wybranych przez obywateli w wyborach".

Z opinią sędziego Alito zgadza się czterech innych konserwatywnych sędziów SN. Oznacza to, że w USA może się niedługo zrealizować scenariusz, o którym od pół wieku marzyli pro-liferzy – odwrócenie orzeczenia z 1973 r., które legalizowało aborcję w całym kraju. Aborcja nie zostanie jednak zdelegalizowana we wszystkich 50 stanach. Orzeczenie, na które czekają pro-liferzy, przywróci władzom stanowym prawo do decydowania, czy na ich terytorium aborcja jest legalna czy nie. Nic się więc nie zmieni w tej sprawie w stanach rządzonych przez demokratów (m.in. w Nowym Jorku i Kalifornii), natomiast prawie wszystkie stany rządzone przez republikanów wprowadzą większe lub mniejsze restrykcje (szacuje się, że ponad 20 stanów zdelegalizuje aborcję).

BEZ PRECEDENSU

Przeciek z SN nie ma precedensu w historii USA. Osoba, która przekazała Politico wstępną opinię autorstwa sędziego Alito, ewidentnie liczyła na to, że w kraju rozpęta się burza i przynajmniej jeden z konserwatywnych sędziów pod wpływem presji lewej strony sceny politycznej zmieni swoje stanowisko, przez co uda się uratować orzeczenie z 1973 r.

„Deliberacje na temat kontrowersyjnych spraw były w przeszłości ożywione. Sędziowie mogą zmienić zdanie – i czasem to robią – podczas sporządzania roboczych wersji opinii – piszą autorzy tekstu Politico. – Najważniejsze sprawy mogą być przedmiotem przeciągania liny i może powstawać wiele wersji roboczych opinii, czasem dzieje się tak do samego końca. Stanowisko sądu nie będzie ostateczne aż do momentu oficjalnej publikacji, co może się stać w ciągu najbliższych dwóch miesięcy".

Większość komentatorów z liberalno-lewicowych mediów w USA podkreśla jednak, że zmiana stanowiska przez któregoś z pięciu konserwatywnych sędziów byłaby ogromną niespodzianką. Cała piątka bowiem (Samuel Alito, Clarence Thomas, Neil Gorsuch, Brett Kavanaugh oraz Amy Conney Barret) wielokrotnie sygnalizowała, że Roe vs. Wade było błędem. Aż troje z nich (Gorsuch, Kavanaugh oraz Barret) zostało nominowanych przez Donalda Trumpa, który dbał o to, by w Sądzie Najwyższym znalazło się jak najwięcej osób sprzyjających środowisku pro-life.

Przewodniczący Sądu Najwyższego John Roberts potwierdził autentyczność dokumentu przygotowanego przez Samuela Alito i stwierdził, że przeciek do Politico był atakiem na prestiż kierowanej przez niego instytucji. Roberts zapowiedział śledztwo w tej sprawie.

Carol Tobias, szefowa największej amerykańskiej organizacji pro-life Narodowego Komitetu Prawa do Życia (National Right to Life Committee),

eprasa.pl 63687049a4

Proaborcyjny protest na Manhattanie, 3 maja 2022 r. FOT. VIEW PRESS/GETTY IMAGES

koordynującej działania tamtejszych obrońców życia, przyznaje, że informacje podane przez Politico były dla wszystkich ogromnym zaskoczeniem. „Mam nadzieję, że to wszystko prawda, ale nie będziemy się na nic nastawiać dopóty, dopóki nie zobaczymy ostatecznej decyzji" – mówi Tobias.

Przeciek z SN niewątpliwie dodał demokratom wiatru w żagle. Już widać, że aborcja będzie najważniejszym tematem w listopadowych wyborach do Kongresu.

Pod gmachem Sądu Najwyższego powoli widać obrazki, które Polacy kojarzą z protestów strajku kobiet. Wulgarne proaborcyjne hasła, nawoływanie do „wojny o wolność", tłum lewicowców atakujących werbalnie obrońców życia – wygląda na to, że to dopiero przedsmak tego, co czeka USA w najbliższych tygodniach i miesiącach.

„Uważam, że prawo kobiety do wyboru jest fundamentalne. Roe vs. Wade jest częścią naszego prawa od prawie 50 lat, a podstawowa sprawiedliwość i stabilność naszego systemu prawnego wymagają, by tak pozostało" – powiedział Joe Biden. I zapewnił, że zrobi wszystko, by przeciwdziałać spodziewanej decyzji SN.

Najważniejsi politycy Partii Demokratycznej przekonują, że wobec perspektywy orzeczenia SN to Kongres powinien zagwarantować wszystkim Amerykankom prawo do aborcji. Na drodze tej jest jednak spora przeszkoda – tzw. filibuster. Choć demokraci dysponują większością w obu izbach, to w Senacie najważniejsze ustawy muszą mieć poparcie co najmniej trzech piątych głosów, by przeciwnicy danego projektu nie mogli go zablokować. Takiej większości demokraci nie posiadają.

KŁAMSTWO ZA KŁAMSTWEM

Wściekli demokraci zapominają dziś najwyraźniej, że decyzja siedmiu sędziów SN z 1973 r. (potwierdzona w 1992 r. w sprawie Planned Parenthood vs. Casey) urągała zdrowemu rozsądkowi. Nawet zmarła niedawno skrajnie liberalna sędzia SN Ruth Bader Ginsburg mówiła podczas wykładu w 1992 r. (dopiero rok później została nominowana przez Billa Clintona do SN), że argumentacja sędziów w sprawie Roe vs. Wade nie była zbyt przekonująca i SN nie jest najlepszą instytucją do zagwarantowania prawa do „terminacji". Amerykańska konstytucja w żadnym swoim fragmencie nie wypowiada się na temat aborcji. Sędziowie w 1973 r. stwierdzili jednak, że delegalizacja aborcji przez Teksas to uderzenie w… prywatność obywatela. A skoro tak, to żaden stan nie ma prawa zabraniać tego kobietom.

– Bardzo niewiele osób zna rzeczywiste okoliczności tej batalii sądowej – powiedziała „Do Rzeczy" Carol Tobias z Narodowego Komitetu Prawa do Życia. – Młoda ciężarna kobieta została zmanipulowana wówczas przez aktywistów proaborcyjnych, by podważyć przepisy prawne zabraniające dokonywania aborcji. Do dziś powszechnie uważa się, że „Jane Roe" zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Tymczasem Norma McCorvey, która skrywała się za pseudonimem Jane Roe, po wielu latach przyznała, że to nie była prawda. Ludzie, którzy chcieli zalegalizować aborcję, zorganizowali doskonale opłaconą PR-owską kampanię bazującą na kłamstwach oraz manipulacjach. Udało im się w ten sposób przekonać Sąd Najwyższy do stworzenia ogólnonarodowego prawa, które wywracało prawa stanowe chroniące życie nienarodzonych.

Kluczowym elementem tej manipulacji wobec społeczeństwa, które miało następnie wywrzeć presję na sędziów SN, była powtarzana jak mantra liczba 10 tys. kobiet, które rzekomo ginęły każdego roku z powodu nielegalnych aborcji przeprowadzanych w podziemiu.

Liczba ta okazała się wzięta „z sufitu", ale największe amerykańskie media bezkrytycznie ją powtarzały. Tak samo było z opiniami ekspertów na temat początku ludzkiego życia. Media powtarzały tylko te opinie, które dawały spory margines na przeprowadzenie aborcji. To właśnie wtedy zaczęło się przekonywanie widzów i czytelników, że człowiek jest człowiekiem dopiero od momentu, gdy jest w stanie samodzielnie przeżyć poza organizmem matki.

Tym razem również nie brakuje manipulacji i grania na emocjach. Lewica gardłuje, że odwrócenie Roe vs. Wade będzie oznaczało masową zbrodnię na kobietach popełnioną przez oszalałą prawicę.

„Ta robocza wersja jest niczym innym jak wstrząsającym atakiem na prawa kobiet w całym kraju i jeżeli nie zostanie zmieniona, to jej efektem będzie śmierć i wystawienie ogromnej liczby kobiet na niebezpieczeństwo" – stwierdził stanowczo Gavin Newsom, gubernator Kalifornii, który za punkt honoru postawił sobie uczynienie swojego stanu „aborcyjnym sanktuarium", gdzie kobiety z innych stanów będą mogły przyjechać, by pozbyć się dziecka.

Choć w roboczej opinii ujawnionej przez Politico Samuel Alito wyraźnie pisze, że przywrócenie poszczególnym stanom prawa do decydowania o legalności aborcji dotyczy tylko tej jednej kwestii, to amerykańska lewica wszczyna alarm, że na aborcji się nie skończy. Bo przecież skoro można odwrócić Roe vs. Wade, to dlaczego nie można byłoby skasować wyroku z 2015 r., który zalegalizował w całej Ameryce „małżeństwa" gejowskie? Po prawej stronie amerykańskiej sceny politycznej widać dużą nadzieję, że najgorsze koszmary lewicy niedługo staną się rzeczywistością dzięki nowej konserwatywnej większości w Sądzie Najwyższym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

MACRON ZNÓW ZADZWONIŁ

Prezydent Francji – świeżo wybrany na nową kadencję – znów wykonał telefon do Władimira Putina, o którym poinformowano media. Jak zwykle Emmanuel Macron zaapelował o „położenie kresu temu niszczycielskiemu atakowi". I jak zwykle prośba Macrona nie odniosła żadnego skutku. Zamiast tego – akurat po rozmowie prezydentów – z Rosji na Ukrainę spadł nowy grad rakiet.

KRADZIONE NIE TUCZY

Z okupowanego Melitopola Rosjanie ukradli maszyny rolnicze. W sumie zabrali sobie sprzęt warty 5 mln dol. Część trafiła do Czeczenii (nowoczesne traktory czy kombajny mają nadajniki GPS i producent je zlokalizował). CNN ujawnił, że kombajny, które trafiły do Groznego, zostały zdalnie zablokowane. Rosyjscy złodzieje nie mogli ich uruchomić.

FOT. WWW.PRESIDENT.GOV.BY

DYKTATURA JEST DOBRA

Alaksandr Łukaszenka pojechał z „gospodarską wizytą" do Czeczerska. Sprawdził, jak idą prace rolnikom, a przy okazji tłumaczył Białorusinom, jak wygląda prawda. Twierdził, że na zachodzie Europy jest tak źle, iż zabrakło już soli i zdesperowani mieszkańcy UE przyjeżdżają ją kupować do jego kraju. Tłumaczył też, że dyktatura jest dobra. „Wszyscy mnie krytykowaliście: dyktatura, dyktatura. Ale w tej dyktaturze jest porządek" – stwierdził.

ZABILI KURY I NIE MAJĄ JAJ

We Francji niedobór produktów w sklepach. Według analiz NielsenIQ w marketach w pierwszym kwartale brakowało towarów za ok. 850 mln euro. Za mało jest m.in. mąki, oleju i jaj. Skąd braki? Z jajami wiadomo – z powodu ptasiej grypy Francuzi zarządzili ubój 16 mln sztuk drobiu.

PORNO W PARLAMENCIE

Dwie posłanki z brytyjskiej Partii Konserwatywnej zgłosiły rzecznikowi dyscypliny klubowej, że ich kolega – poseł Neil Parish – w czasie posiedzenia Izby Gmin oglądał na swoim smartfonie pornografię. 65-letni Parish, który jest farmerem, twierdził, że oglądał w sieci traktory i niechcący trafił na strony pornograficzne. Przyznał potem jednak, że stronę porno odwiedził po raz drugi, tym razem już nie dlatego, że szukał traktorów. Po ujawnieniu tych informacji zrzekł się mandatu. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cena wolnego słowa

Za 44 mld dol. ekscentryczny miliarder Elon Musk kupił Twittera. Inwestorów giełdowych ucieszył spory zysk. Radości z wiadomości o nowym właścicielu ćwierkającego serwisu nie krył również jego współzałożyciel Jack Dorsey, podkreślając, że przejęcie Twittera przez zarządzającego takimi spółkami jak Tesla czy SpaceX to „jedyne rozwiązanie, któremu ufa", i że cel, jaki deklaruje Musk, a więc uczynienie z tej platformy społecznościowej „szeroko ekskluzywnego" medium, któremu można „maksymalnie zaufać", jest właściwy. „Ufam jego misji rozszerzania światła świadomości" – oznajmił Dorsey.

Choć nie ma jeszcze pewności, że do transakcji dojdzie – potrzebna jest do tego zgoda regulatora – to światowa lewica już z takim wielkim zaufaniem do Muska nie podchodzi. Demokraci za oceanem już zdążyli się w tej sprawie podzielić na dwa obozy: jedni uważają, że to szansa dla wolności słowa, drudzy sądzą z kolei, że nadchodzą dla nich ciężkie czasy. Twitter znany był bowiem z cenzurowania konserwatystów i prawicowców, w tym byłego prezydenta USA Donalda Trumpa. Tymczasem lewica na całym świecie jest przekonana, że prawda jest fajna, jeśli popiera liberalne przekonania i „progresywny" brak wartości. Przejęcie Twittera przez Muska – który deklaruje, że chciałby przekształcić platformę w cyfrowy plac miejski – rodzi zaś spore ryzyko, że nagle będzie można publicznie napisać coś, co się lewactwu nie spodoba, i nikt tego nie ocenzuruje. A jak by jeszcze zaczął promować konserwatywne wartości? Zgroza...

Z krytyką lub pochwałami warto poczekać na pierwsze decyzje Muska. Jako biznesmen z krwi i kości może bowiem dojść do niemodnego wniosku, że... prawda się opłaca. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

„To nie jest dobry moment na nową ustawę deweloperską”

Urszula Hofman

Planowo nowa ustawa deweloperska miałaby wejść w życie 1 lipca 2022 r. W międzyczasie rynek doznał jednak potężnych wstrząsów, zarówno po stronie popytowej, vide: gwałtowny, niemożliwy do przewidzenia wzrost stóp procentowych i inflacji, jak i podażowej – co doskonale obrazują kilkudziesięcioprocentowe wzrosty cen materiałów budowlanych. W ostatnim czasie pojawiły się inicjatywy zmierzające do wydłużenia okresu vacatio legis ustawy, m.in. projekt Koalicji Polskiej.

CO WPŁYWA NA WZROSTY CEN MIESZKAŃ I CZYNSZÓW NAJMU?

Rynek mieszkaniowy boryka się obecnie ze splotem kilku czynników. Po pierwsze, obserwujemy niesłabnący trend wzrostów cen materiałów budowlanych. Zgodnie z danymi grupy PSB Handel ceny rok do roku skoczyły od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu procent. Również wojna wpłynęła w sposób znaczący na rynek materiałów, np. stali, której znaczący odsetek importowaliśmy do naszego kraju z Ukrainy i Rosji.

Dynamika wzrostów nie pozwala deweloperom na oszacowanie całkowitych kosztów inwestycji, w związku z czym podchodzą z większą rezerwą do wprowadzania na rynek nowych przedsięwzięć. Porównując pierwsze kwartały lat 2021 i 2022, w tym roku rozpoczęto budowę ponad 20 proc. mniej lokali niż w roku ubiegłym. Problem stanowią również brak gruntów pod zabudowę i ich horrendalne ceny, które razem z cenami materiałów budowlanych przekładają się na koszt inwestycji i wpływają na końcową cenę mieszkania.

Wojna odcisnęła swoje piętno na rynku także w inny sposób. Od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji do Polski wjechało ok. 3 mln uchodźców, których znaczna część zostanie w Polsce na stałe. Napływ uchodźców przyczynił się do znacznego spadku liczby ofert mieszkań na wynajem. Trend ten był widoczny przede wszystkim w największych miastach. Mieszkania znikały z rynku chwilę od umieszczenia oferty w serwisie ogłoszeniowym. Niska podaż ofert oznacza dalsze wzrosty cen najmu, które i bez tego w ostatnim czasie rosły, choćby z powodu rekordowej inflacji czy podwyżek rat kredytów – co miało związek z ostatnimi decyzjami NBP w zakresie stóp procentowych.

Mamy zatem do czynienia z czynnikami powodującymi wzrost cen zarówno na rynku deweloperskim, jak i najmu. Niezwykle istotne jest więc podjęcie wszelkich działań na poziomie legislacyjnym, które zahamują wzrosty, poprawią kondycję rynku i zwiększą dostępność mieszkaniową.

DFG, CZYLI DODATKOWE KOSZTY NABYWCÓW

Nowa ustawa deweloperska jest – zdaniem branżowych ekspertów – pełna niedociągnięć i budzi wątpliwości, których koszt poniosą właśnie deweloperzy. Pośród wielu mankamentów nowej ustawy, takich jak skomplikowane procedury odbioru lokali czy niejasne przepisy przejściowe, postanowiono powołać do życia Deweloperski Fundusz Gwarancyjny.

Utworzenie Funduszu wiąże się z obowiązkową daniną odprowadzaną przez dewelopera na rzecz DFG od każdej wpłaty nabywców. Wysokość składki została określona w projekcie rozporządzenia na 0,45 proc. wartości nieruchomości, chociaż według ustawy stawka może zostać podwyższona do 1 proc.

VACATIO LEGIS DLA INNYCH PRZEPISÓW

Warto przy tym nadmienić, że odsunięcie wejścia w życie przepisów, które przyczyniają się do wzrostu cen mieszkań, nie byłoby precedensem. Pod koniec kwietnia parlament zdecydował o odłożeniu na półkę, na kolejne dwa lata, projektu rozporządzenia określającego warunki techniczne, którym powinny odpowiadać budynki. Dzięki temu uchroniono branżę przed szacowanym przez ekspertów kilkuprocentowym wzrostem kosztów budowy, co oczywiście znalazłoby swoje odzwierciedlenie w cenie oferowanych przez deweloperów mieszkań.

To pokazuje, że rządzący dostrzegają problemy, z którymi obecnie mierzą się branże budowlana i deweloperska, odpowiadające łącznie za kilkanaście procent polskiego PKB. W szczególnie trudnym położeniu są jednak nabywcy, borykający się z coraz mniejszą dostępnością mieszkań, i to właśnie w ich najlepszym interesie byłoby przesunięcie momentu wejścia w życie nowych przepisów. Szczególnie że obowiązująca ustawa deweloperska gwarantuje bardzo wysoki poziom bezpieczeństwa, o czym najlepiej świadczy kilkaset tysięcy transakcji przeprowadzonych bezpiecznie pod jej rządami.

Mając to na uwadze, pozostaje nam mieć nadzieję, że projekt posłów KP znajdzie uznanie wśród parlamentarnej większości, a nowe przepisy wejdą w życie w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach – i mam na myśli nie tylko aspekt rynkowy, lecz także sytuację za wschodnią granicą.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest

MATERIAŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 63687049a4

Gaszenie hipotecznego piekła

Jacek Przybylski

Premier Mateusz Morawiecki ogłosił plan pomocy złotówkowiczom, którzy znaleźli się w tarapatach przez szybki wzrost stóp procentowych. Pomoc mają otrzymać ci, którzy mimo ostrzeżeń ekspertów zaciągali długoterminowe kredyty o zmiennym oprocentowaniu w okresie, gdy stopy procentowe były przez bank centralny sztucznie utrzymywane na rekordowo niskim poziomie

FOT. ADOBE STOCK

Członkowie polskiego rządu – kraju o rekordowo wysokiej inflacji wynoszącej oficjalnie ponad 12 proc. rocznie – nadal nie chcą zrozumieć, że rozdawnictwo „publicznych" pieniędzy nie ułatwia walki z szybko rosnącymi cenami i grozi poważnym kryzysem gospodarczym i społecznym. Premier Mateusz Morawiecki zaprezentował pakiet rozwiązań, które mają ułatwić życie kredytobiorców. Propozycje szefa rządu błyskawicznie ocenili inwestorzy, wyprzedając akcje banków notowanych na warszawskiej giełdzie. Czy słusznie?

Rozwiązania zaproponowane przez szefa Rady Ministrów podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach są oparte na czterech filarach. Pierwszy punkt w rządowym planie stanowi pomoc dla

eprasa.pl 63687049a4

kredytobiorców z przejściowymi problemami z bieżącą spłatą długu. KPRM koszt wprowadzenia tego rozwiązania tylko w tym roku szacuje na 1,4 mld zł, a w roku przyszłym na 2 mld zł. Ten punkt przewiduje dopłaty do rat w wysokości nawet 2 tys. zł miesięcznie na okres do trzech lat. Rząd przewiduje, że z 72 tys. zł zwrotnego wsparcia umorzone będzie mogło zostać nawet 22 tys. zł. Na szczęście w tym przypadku po pieniądze z rządowej drukarki nie może zgłosić się każdy chętny. Rząd zakłada, że wsparcie będzie można otrzymać w trzech przypadkach. Po pierwsze, jeśli miesięczny dochód w 2022 r. po odjęciu kosztów kredytu nie przekracza 1552 zł na osobę w gospodarstwie jednoosobowym lub 1200 zł na osobę w gospodarstwach wieloosobowych. Po drugie, gdy co najmniej jeden z kredytobiorców posiada status bezrobotnego. I po trzecie, gdy miesięczne koszty obsługi kredytu mieszkaniowego przekraczają 50 proc. miesięcznych dochodów. Obwarowana kryterium dochodowym pomoc nie powinna budzić kontrowersji (no, może poza budowlańcami i pracownikami tych sektorów, w których szara strefa wciąż stanowi dużą część zarobków). Inaczej jest z punktem drugim programu premiera. Zakłada on możliwość skorzystania w 2022 r. oraz w 2023 r. z trzymiesięcznych „wakacji kredytowych" przez wszystkich, którzy zaciągnęli kredyt złotowy. KPRM szacuje koszt takich „wakacji" na 2,2 mld zł rocznie. Skoro z tego filaru będą mogli skorzystać wszyscy chętni za pomocą „prostego wniosku dostępnego przez bankowość elektroniczną", to oznacza, że z „wakacji kredytowych" będą mogli skorzystać również najlepiej zarabiający. Chociaż mam nadzieję, że ostatecznie i w tym przypadku zostanie wprowadzone kryterium dochodowe. W przeciwnym razie działania rządu zwiększające nadwyżkę finansową u części kredytobiorców będą stały w sprzeczności z działaniami banku centralnego, który – aby walczyć z inflacją – podnosi stopy w celu obniżenia dochodów gospodarstw domowych...

TARCZA „ANTYPUTINOWSKA"?

Rząd nazywa nowy projekt masowego rozdawnictwa – wsparcie ma być przeznaczone dla ok. 2 mln polskich rodzin – tarczą „antyputinowską". Premier próbuje bowiem przekonywać, że rekordowo wysoka inflacja w Polsce jest pokłosiem rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Mija się w tej kwestii z prawdą tak bardzo, że podobnej propagandy nie powstydziliby się zapewne nawet kremlowscy specjaliści od operacji specjalnych.

Ceny nad Wisłą ruszyły bowiem w szybkim tempie w górę, zanim jeszcze zachodnie wywiady zaczęły publicznie ostrzegać przed zbliżającym się atakiem Rosji. Powodem szybko rosnącej inflacji były zaś niewybaczalne błędy popełnione przez Radę Polityki Pieniężnej, która z niejasnych powodów o wiele za późno zdecydowała się na rozpoczęcie cyklu podnoszenia stóp procentowych. Przed czarnym scenariuszem, który obecnie obserwujemy, jasno ostrzegał m.in. prof. Łukasz Hardt, ekonomista i członek RPP, który na łamach „Do Rzeczy", w rozmowie ze mną, już w maju 2021 r. apelował wprost: „Nie lekceważmy inflacji". Już miesiąc później bank centralny zdecydował się na pierwsze podwyżki stóp. Szkoda jednak, że był to bank centralny Węgier. W czerwcu 2021 r. pierwszą z cyklu podwyżek ogłosili też Czesi. Tymczasem polska RPP przejrzała na oczy dopiero w październiku.

ZMIENNE CZY STAŁE?

Szybko rosnące stopy procentowe stanowią problem dla kredytobiorców zwłaszcza w Polsce. Nad Wisłą wciąż wyjątkowo mało popularnym rozwiązaniem jest bowiem stałe oprocentowanie kredytów hipotecznych, które eliminuje wahania wysokości rat w zależności od kolejnych decyzji banku centralnego.

Oczywiście w ostatecznym rachunku wcale nie jest pewne, że kredyt oprocentowany według stałej stopy okaże się

eprasa.pl 63687049a4

tańszy niż oprocentowany według stopy zmiennej. Na ofertę tego typu produktów wpływają bowiem oczekiwania analityków dotyczące polityki pieniężnej. Gdy więc stopy procentowe były utrzymywane przez NBP na nienaturalnie niskim poziomie, kredyty ze zmienną stopą miały istotnie niższe oprocentowanie niż kredyty ze stałym oprocentowaniem. Rozwiązanie to było wśród Polaków mało popularne nie tylko ze względu na wyższe raty na samym początku spłat, lecz także ze względu na długość okresu objętego stałą stopą procentową.

Najczęściej kredyty hipoteczne tego typu oferowane przez banki w Polsce zakładały, że oprocentowanie nie zmieni się przez najbliższe pięć lat, rzadziej oferowane były umowy na lat siedem, a dopiero w marcu obecnego roku pierwszy bank zdecydował się wprowadzić do oferty kredyt mieszkaniowy ze stałym oprocentowaniem na 10 lat. Dopiero po tym okresie bank przygotowuje nową ofertę ze stałym oprocentowaniem lub kredyt zmieniany jest na oprocentowany według zmiennej stopy opartej na WIBOR ze stałą marżą.

Tego typu kredyt, choć ostatecznie nie musi być tańszy, daje jednak gwarancję większego komfortu psychicznego i możliwości lepszego zaplanowania domowego budżetu. Poza tym klienci, którzy zaciągnęli długoterminowe zobowiązanie ze stałą stopą, w razie gwałtownego spadku oprocentowania kredytów na rynku przynajmniej w teorii mogą spłacić swój dług przed czasem i zaciągnąć nowy kredyt już na lepszych warunkach. Banki są tego świadome. Polska jest więc wciąż jednym z nielicznych państw w cywilizowanym świecie, w którym aż 98 proc. hipotek jest oprocentowanych według zmiennej stopy. Dla porównania: w Danii czy w Belgii udział nowych kredytów hipotecznych z oprocentowaniem stałym – często na okres 10 lat lub więcej – wynosi ponad 70 proc. Według danych Europejskiej Federacji Kredytu Hipotecznego kredyty z „zamrożonym" oprocentowaniem są również bardzo popularne w Niemczech, Holandii i Hiszpanii (ponad 40 proc.), a w Rumunii i na Węgrzech stanowią kilkanaście procent. Tak wysoki udział kredytów ze zmiennym oprocentowaniem jest charakterystyczny dla państw takich jak Rumunia czy Portugalia.

Jeszcze zanim doszło do „tragedii", podobnie jak w przypadku kredytów frankowych przed ryzykiem rychłego powstania problemu złotówkowiczów ostrzegało wielu ekspertów. Od lipca ubiegłego roku Komisja Nadzoru Finansowego zobowiązała wszystkie banki do wprowadzenia do oferty kredytów hipotecznych ze stałą lub okresowo stałą stopą procentową. Wówczas najkorzystniej można było zawrzeć taką umowę. Banki tych produktów specjalnie mocno jednak nie promowały, a klienci woleli od początku płacić niższe raty, czyli wybierali kredyt ze zmiennym oprocentowaniem. Wraz ze wzrostem stóp procentowych rata kredytu zaciągniętego na 300 tys. zł wzrosła w ciągu kilku miesięcy z ok. 1,2 tys. do 2,2 tys. zł. W przypadku kredytu o wartości pół miliona rata przykładowego kredytu wzrosła z ok. 2 tys. do 3,6 tys. zł. Ta kalkulacja nie uwzględnia jeszcze ubiegłotygodniowej podwyżki stóp ogłoszonej przez Radę Polityki Pieniężnej, która w czwartek podniosła główną stawkę z 4,5 proc. do 5,25 proc.

Oczywiście klienci mogą aneksować swoje umowy i dokonać konwersji z kredytu zmiennoodsetkowego na kredyt o czasowo stałym oprocentowaniu. W przypadku wielu banków taki aneks jest darmowy, ale nawet najbardziej chciwi bankierzy nie powinni pobierać za sporządzenie takiego dokumentu więcej niż 50 zł. Przed podjęciem takiej decyzji warto jednak dokładnie wszystko policzyć, aby nie wpaść z deszczu pod rynnę.

98 proc.

NOWYCH KREDYTÓW HIPOTECZNYCH W POLSCE STANOWIĄ KREDYTY ZMIENNOODSETKOWE

Sytuację kredytobiorców nad Wisłą pogorsza to, że niezależnie od tego, czy mowa o kredycie ze zmienną czy stałą stopą procentową, hipoteki w Polsce od lat należą do najdroższych w całej Europie. Halifax, część grupy Lloyds Banking Group w Wielkiej Brytanii, wprowadził w kwietniu obecnego roku nowy kredyt o stałej stopie procentowej na 10 lat z oprocentowaniem wynoszącym 2,48 proc. (sic!) dla kredytobiorców z wkładem własnym wynoszącym co najmniej 40 proc. i 2,54 proc. dla pozostałych. Oczywiście nawet na Wyspach zdarzają się banki, które żądają od kredytobiorców ponad 4 proc. lub 4,99 proc. W przypadku wielu banków nad Wisłą sama marża wynosi ok. 2 proc. i jest dodawana do wskaźnika WIBOR 3M lub WIBOR 6M, których wysokość wynosi obecnie ok. 6 proc. Niektórzy kredytobiorcy skarżą się więc, że to już lichwa w majestacie prawa. Zwłaszcza że w Polsce kredytobiorca bierze na siebie w zasadzie całe ryzyko spłat, ryzykując nie tylko utratą kredytowanej nieruchomości. W USA – np. w takich stanach jak Arizona, Kalifornia czy Karolina Północna – odesłanie bankowi kluczy pozwala uwolnić się od długu, choć ze stratą wszystkich pieniędzy, które do tej pory spłaciło się bankowi, i pogorszeniem oceny wiarygodności kredytowej. W Polsce, jeśli licytacja nieruchomości zabezpieczonej hipoteką nie pozwoliła na spłatę całego kredytu, nieszczęsny kredytobiorca zostaje de facto niewolnikiem banku, bez mieszkania, ale za to z mniejszym lub większym długiem u szyi.

POŻEGNANIE Z WIBOR?

Premier Mateusz Morawiecki ma więc absolutną rację, ogłaszając w ramach programu pomocy kredytobiorcom plan zniesienia nieuczciwej stawki referencyjnej, którą jest obecnie WIBOR 3M. Banki bazują na tym wskaźniku, choć same przecież nie ponoszą takiego kosztu pieniądza, gdyż pieniądze czerpią nie z rynku międzybankowego, lecz – jak słusznie zauważył szef rządu – depozytów oprocentowanych na „żenująco niskim poziomie".

Od 1 stycznia 2023 r. ma obowiązywać „transparentna stawka". Jeśli banki nie opracują własnego wskaźnika, to ma to być stawka referencyjna POLONIA ustalana przez Narodowy Bank Polski w oparciu o oprocentowanie depozytów jednodniowych (over night), która obecnie jest ok. 1,5 punktu procentowego niższa niż WIBOR 3M. Tylko to rozwiązanie ma przynieść polskim kredytobiorcom ulgę o wartości szacowanej na ok. 1 mld zł. Słusznie premier Morawiecki żąda również, aby to banki dofinansowały zarówno Fundusz Wsparcia dla Kredytobiorców (tylko w tym roku ma być to kwota 1,4 mld zł), jak i fundusz, którego celem będzie zwiększenie odporności sektora bankowego. Bankowcy nie powinni być szczególnie rozczarowani, bo z wyjątkowo wysokiej marży odsetkowej osiągają i tak zyski więcej niż przyzwoite.

Część pieniędzy powinno się też przeznaczyć na edukację ekonomiczną: wciąż zbyt często wielu Polaków popełnia bowiem podstawowe błędy przy zawieraniu długoterminowych umów z bankami, ryzykując przy tym utratę majątku całego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd, niestety, znów „pomaga”

Rozwiązywanie przez rząd problemów, do których powstania sam doprowadził (lub co najmniej do ich powstania się przyczynił) nie jest specjalnością wyłącznie tego rządu, lecz specjalnością tego jest z całą pewnością.

A rozwiązywanie przez rząd problemów, do których powstania sam doprowadził, zawsze wiąże się z kosztami, które muszą ponieść inni, czyli podatnicy, bo tylko ich pieniędzmi rząd dysponuje. I to dlatego strach się bać, gdy rząd znowu ogłasza, że znowu zamierza komuś „pomóc”, bo to oznacza, że podatnicy znowu powinni się jeszcze mocniej trzymać za swe kieszenie, do których rząd znowu jeszcze głębiej wkłada swe ręce.

Przykład pierwszy z brzegu – rząd „zamierza pomóc” kredytobiorcom (tym razem nie frankowiczom, a złotowiczom), których w niemałym stopniu sam (do spółki z Radą Polityki Pieniężnej, która bezmyślnie ścięła stopy procentowe niemal do zera) wpędził w pułapkę kredytową – znacząco podkręcając inflację swą wieloletnią rozdawniczą polityką socjalną, rozdętymi „tarczami antycovidowymi”, a teraz takimiż „tarczami antyinflacyjnymi” i hojnie przyznawanymi uchodźcom zasiłkami.

I, niestety, rząd zazwyczaj znajduje dla „niesionej przez siebie wszystkim w potrzebie pomocy” poparcie wielu obywateli. Przynajmniej jeśli wierzyć sondażom – zwłaszcza tym sondażom z niemądrze sformułowanymi pytaniami (a takich bez liku), wedle których przeważnie spora część, nierzadko większość, Polaków chce, żeby rząd pomagał dosłownie wszystkim – ich zadłużonym rodakom, ich biednym rodakom, uchodźcom itd. Albowiem kto o dobrym sercu (a wszyscy chcemy wierzyć, że takie właśnie serce mamy) nie chciałby, żeby „rząd pomógł wszystkim zadłużonym ponad miarę Polakom”? Albo żeby „rząd pomógł wszystkim biednym Polakom”? Zwłaszcza jeśli indagowany nie zdaje sobie sprawy (lub nie do końca zdaje sobie z tego sprawę), że jeśli „rząd pomaga”, to pomaga, korzystając wyłącznie z pieniędzy, które najpierw jemu, podatnikowi, wyjmie z kieszeni w postaci wyższych podatków. Ale to wychodzi na jaw dopiero wtedy, gdy mamy do czynienia z sondażem, w którym pytania są sformułowane mądrze, wskazując na związek niesienia przez rząd pomocy z koniecznością zapłacenia przez indagowanego wyższych podatków. Gdy pytanie brzmi np.: „Czy chcesz, żeby rząd pomagał nadmiernie zadłużonym Polakom, jeśli będzie się to wiązało z koniecznością zwiększenia płaconych przez ciebie podatków?”, odsetek twierdzących odpowiedzi znacząco spada.

Dlatego każda inicjatywa rządu zmierzająca do pospieszenia komukolwiek z pomocą powinna być obowiązkowo opatrywana ostrzeżeniem, kto za tę – rzekomo rządową – pomoc zapłaci i ile zapłaci. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Artykuł 180

Był sobie w prawie telekomunikacyjnym art. 180 – przez 18 lat, od zarania tej ustawy za czasów rządu Leszka Millera. Nikt z tego nie robił zagadnienia, bo nikt tego zapisu dotąd nie wykorzystał, żeby wprowadzić do Polski kuchennymi drzwiami cenzurę. Przepis brzmi: „Przedsiębiorca telekomunikacyjny jest obowiązany do niezwłocznego blokowania połączeń telekomunikacyjnych lub przekazów informacji, na żądanie uprawnionych podmiotów, jeżeli połączenia te mogą zagrażać obronności, bezpieczeństwu państwa oraz bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu, albo do umożliwienia dokonania takiej blokady przez te podmioty”.

Kogo zablokować, ustala de facto szef MSWiA. Staje się w ten sposób jednoosobowym organem cenzury

Prawdopodobnie po ten artykuł sięgnęły służby, blokując dostęp do portalu wRealu24 Marcina Roli. Nie wiemy na pewno, bo wszystko odbywa się na zasadzie sądu kapturowego: nie wiemy, kto był w tej sytuacji „uprawnionym podmiotem”, nie wiemy, jakie inne strony na liście zablokowanych się znalazły, bo nie jest to nigdzie ogłaszane. Nie znamy też oczywiście uzasadnienia, bo z tej decyzji nikt nikomu nie musi się tłumaczyć. Nie ma tu żadnej kontroli sądowej poza następczą w sądzie administracyjnym. Do czasu wydania orzeczenia portal, żyjący z datków odbiorców, może już dawno zniknąć. Co zatem z tego, że SA nakaże za dwa lata odblokowanie, skoro nie będzie już czego odblokowywać?

Kogo zablokować, ustala de facto szef MSWiA. Staje się w ten sposób jednoosobowym organem cenzury, pozostającym poza wszelką kontrolą i poza zakresem, na jaki pozwala konstytucja. Ta bowiem wyraźnie mówi, że cenzura prewencyjna jest w Polsce zakazana, czyniąc jedyny wyjątek dla stanu wyjątkowego i wojennego.

Nie powinno mieć tu znaczenia, czy chodzi o Rolę (z którym w wielu sprawach nie zgadzam się fundamentalnie) czy chodziłoby o OKO.press, o „Gazetę Polską” czy „Wyborczą”, czy kogokolwiek innego. Ważne jest, że istnieje narzędzie, którego każda władza może użyć do uderzenia w wolność słowa – po uważaniu. Powinno się rozlegać oburzenie od prawej do lewej, ale w naszym plemiennym świecie Rola wpadł akurat w dziurę pomiędzy okopami dwóch armii i dlatego niemal wszyscy milczą. Kiedy art. 180 uderzy w kogoś, z kim im po drodze, będzie płacz i zgrzytanie zębów. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

Kreml, gaz i car-puszka

Jan Bogatko z Berlina

Car-puszka to największa armata na świecie. Podobno z niej nigdy nie wystrzelono, aczkolwiek jest i przeciwny przekaz. W każdym razie na pewno użyto jej dopiero teraz – w wojnie z Polską. W wojnie gazowej

Władca na Kremlu zażądał, by „nieprzyjazne państwa" (dla imperium zła to takie, które ogłosiły sankcje przeciwko Rosji z powodu agresji na Ukrainę) od 1 kwietnia tego roku płaciły za dostawy w rublach. A jak nie, to gazu „niet". Nie był to prima aprilis. Imperium zła zakręciło kurek z gazem płynącym do Polski.

Można by sobie postawić pytanie, czy decyzja ta była legalna. Byłoby to pytanie retoryczne, ponieważ Rosja graniczy, z kim chce. Ale ci, którzy mimo to je zadają, odpowiadają, że nie. Strzał z car-puszki to operacja nielegalna, bezprecedensowa i niepasująca podobno do XXI w. Rzymska sentencja brzmi bowiem: pacta sunt servanda. Zgoda, ale Moskwa to nie drugi Rzym. Kultura łacińska tu nie obowiązuje. Co z tego, że uzgodniono płatności w euro czy w dolarach? My zmieniamy postanowienia, bo nam wolno – uważa imperium zła. I gwiżdże na stanowisko Komisji Europejskiej, która wezwała importerów gazu w Unii Europejskiej, by nadal płacili w umówionej walucie.

Dlaczego Kreml zdecydował się mimo wszystko na ten krok? Przyczyny są dwie. Pierwsza – Rosja traktuje Unię Europejską tak, jak ona na to zasługuje. Zna bowiem dobrze lidera UE, Niemcy i ich przywódców. A druga, poważniejsza: rubel leciał na łeb, na szyję. Decyzja Kremla zawiera przesłanie do UE: omińcie własne sankcje! Putin wierzy w to, że tak się stanie! W końcu szef jego dziadka, Włodzimierz Iljicz Lenin (którego pomnik Rosjanie wznieśli w tych dniach na okupowanej Ukrainie), mawiał o kapitalistach, że chętnie sprzedadzą stryczki do wieszania kapitalistów!

OBEJŚCIE SANKCJI

Unia Europejska wspiera finansowo agresję Rosji na Ukrainę. Zwłaszcza Niemcy. W 2021 r. Niemcy sprowadziły z Rosji głównie ropę naftową i gaz ziemny o wartości 19,4 mld euro – stanowiło to wzrost w stosunku do roku poprzedniego o 49,5 proc. i 59 proc. całej wartości importu Niemiec z Rosji. W opinii Komisji UE importerzy rosyjskiego gazu mogą nadal płacić za dostawy w euro, nie łamiąc nałożonych na Rosję sankcji. Dekret, ogłoszony przez Putina, nie wyklucza wszakże postępowania płatniczego, które pozostawałoby w zgodzie z nałożonymi sankcjami. Niemiecki importer, UNIPER (największy zagraniczny klient Gazpromu), nadal uważa za możliwą obecnie realizowaną metodę płatności, czyli rachunek za gaz płatny jak dotąd w euro czy w dolarach, a następnie wymienianych na ruble na rachunkach bankowych. Interesy Gazpromu załatwia Gazprom Bank. Obsługa jest prosta: importer wpłaca euro lub dolary na specjalne konto, tzw. konto K. Gazprom Bank kupuje w imieniu klienta ruble i dokonuje transferu na dalsze konto, z którego pieniądze płyną do kasy Gazpromu.

Numer z obejściem sankcji polega na tym, że Gazprom Bank może otworzyć konta do obsługi tego procederu bez wiedzy (o zgodzie nie wspominając) zagranicznego klienta. W ten sposób Moskale zapewnili, że wilk jest syty i owca cała. Zachodni klienci Gazpromu mogą mówić, że płacą w euro. A Kreml zapewnia Rosjan, że Gazprom dostaje za swe dostawy ruble. Dzięki tej fikcji rubel, po dramatycznym spadku wartości po agresji na Ukrainę, tymczasem jest niemalże tyle samo wart co przed wojną.

No dobrze, ale dlaczego w przypadku Polski (i Bułgarii, bo i Sofii Moskwa zakręciła kurek) jest inaczej? Warszawa zapewnia, że dotrzymała postanowień umowy z Gazpromem. Że nie zalegała i nie zalega z płatnościami. I zapowiada, że wbrew żądaniom Moskali nie będzie płacić za gaz w rublach w wymyślonej przez Kreml sztucznej konstrukcji bankowej. Niemiecka prasa przytacza wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego, że zakręcony kurek to atak na Polskę: „Tym razem Rosja poszła krok dalej, przekraczając granicę imperializmu, imperializmu gazowego. To zemsta za nałożenie przez Polskę sankcji na oligarchów i firmy, w tym właśnie Gazprom, wskutek agresji na Ukrainę".

Polska jest zdaniem Niemiec w lepszej sytuacji od Bułgarii, która jest niemal całkowicie zależna od rosyjskich dostaw gazu. Polska może uniezależnić się od rosyjskiego gazu, Bułgaria natomiast nie.

eprasa.pl 63687049a4

FOT. ADOBE STOCK

PGNiG poinformowało niedawno o tym, że zabezpieczenie energetyczne Polski jest zapewnione i że nie ma potrzeby ograniczania zaopatrzenia ludności w gaz. Media w Niemczech informują, że magazyny gazu są wypełnione w Polsce w 76 proc. Ponadto istnieją możliwości sprowadzenia gazu do Polski przez inne rurociągi, a mianowicie w Niemczech, jak np. przez Mallnow w Brandenburgii. Tam znajduje się tłocznia gazu jamalskiego, należąca do niemieckiej firmy Gascade Gastransport GmbH. Tłocznia jest niezbędna do sprężenia gazu po przebyciu 4196 km z Półwyspu Jamalskiego przez Białoruś i Polskę do Niemiec. Stąd właśnie, z Mallnow, gaz będzie przepływał w odwrotnym, niż zakładano, kierunku – z zachodu na wschód, do Polski. Gazociąg jamalski w listopadzie ubiegłego roku (jego odcinek białoruski) stał się środkiem szantażu wobec Polski ze strony władcy Białorusi, Alaksandra Łukaszenki. Po ogłoszeniu przez UE sankcji z powodu wymuszonego lądowania samolotu linii Ryanair numer lotu 4978 i kryzysu migracyjnego na granicy białorusko-polskiej groził on zamknięciem kurka. 27 kwietnia 2022 r. groźbę tę wprowadził w życie dopiero jednak jego mentor, Putin.

JAMALSKI SZANTAŻ

Użycie przez Kreml gazociągu jamalskiego jako narzędzia szantażu wobec Polski i Bułgarii – poza oburzeniem, bo ta prymitywna akcja ma charakter nielegalny – na razie nie wywołało paniki na rynkach i wśród importerów tego surowca energetycznego. Przez gazociąg jamalski płynie nadal gaz do Niemiec i w Niemczech. I to mimo zakręcenia kurka przez Rosjan.

Warto szerzej wspomnieć o firmie Gascade Gastransport GmbH. To córka Wiga Transport Beteiligungs-GmbH & Co. KG. Wiga to z kolei wspólne przedsiębiorstwo Wintershall Dea i Gazprom Germania. Gazprom Germania GmbH to z kolei córka Gazprom Export rosyjskiego dostawcy gazu Gazprom z siedzibą w Berlinie. Od lutego 2019 r. dyrektorem firmy jest Igor Fiedorow. Z Gazpromem Germania dzieją się dziwne rzeczy, ponoć jest zagrożony upadłością. Na ile to dotyczy Gascade, na razie nie wiadomo. Rzeczniczka firmy Gascade na zapytanie tygodnika „Focus" odpowiedziała, że handel niemieckich firm z Gazpromem odbywa się dalej, tylko z polskimi importerami jest wstrzymany. Innymi słowy – kurek z gazem zakręcono dla Polski w znaczeniu wyłącznie ekonomicznym, a nie fizycznym. Obecnie – mówi rzeczniczka firmy Gascade – nie ma ograniczeń w dostawach. Polscy importerzy kupują coraz więcej rosyjskiego gazu z Niemiec, a zatem jesteśmy świadkami tego, co biznes określa mianem reverse flow (przepływ zwrotny), czyli rosyjski gaz płynie z zachodu na wschód.

W Niemczech uważa się, że Gazprom nie może udaremnić handlu gazem między Niemcami a Polską. A zatem polscy importerzy gazu nie kupują surowca od Gazpromu, lecz w Niemczech, i to nie tylko gaz płynący przez Mallnow w Brandenburgii, lecz także przez inne, mniejsze gazociągi na pograniczu niemiecko-polskim. Zatem Rosjanie nie muszą się obawiać kradzieży gazu w Polsce, przed czym przestrzegają. To nie ta kultura i nie ten system. Gazociąg jamalski przesyła do Niemiec z Rosji wielkość X pomniejszoną o wstrzymaną wielkość eksportu do Polski. To z kolei oznacza, że nabywca tego gazu z Rosji może przeznaczyć go do obrotu towarowego w Europie Zachodniej. Innymi słowy, rosyjski gaz i tak trafi – czy Rosjanie chcą czy nie – do kotłów gazowych w Polsce, w Bułgarii czy gdziekolwiek indziej.

Oczywiście całkiem inna byłaby sytuacja, gdyby Gazprom ogłosił embargo na gaz wobec całego Zachodu. Wtedy jednak rosyjski potentat gazowy musiałby wypowiedzieć umowy na dostawy gazu wszystkim importerom ze wszystkich państw zachodnioeuropejskiej sieci dystrybucji gazu, z klientami Nord Stream 1 włącznie.

NIEMIECKI KLIENT

Mając ten przykład na uwadze, rządy w Berlinie, Paryżu czy w Brukseli z łatwością dostrzec wreszcie mogą, że gaz w rękach Rosjan stanowi narzędzie politycznego szantażu. Mało jednak prawdopodobne, by w obecnej sytuacji Rosja mogła sobie pozwolić na rezygnację z Niemiec jako klienta. Ze sprawozdania Gazprom SA wynika, że sprzedaż gazu (wartość 39 mld euro) stanowiła w roku 2020 połowę obrotów rosyjskiego przedsiębiorstwa, z tego aż 26 mld przypadało na UE i Turcję. Tym samym Niemcy są jednym z głównych klientów Gazpromu. Jak informuje Federalny Urząd Statystyczny, tylko w styczniu Niemcy kupiły w Rosji gaz za ponad miliard euro!

Prezes branżowego zrzeszenia Zukunft Gas, które obejmuje ponad 120 przedsiębiorstw gazowniczych z siedzibą w Berlinie, Timm Kehler jest zdania, że rosyjskie embargo na dostawy gazu dla Polski i Bułgarii to test dla solidarności w Europie. Kehler potwierdza, że Rosja używa gazu jako narzędzia szantażu politycznego. Lobbysta wskazuje na to, że europejskie rynki reagują na kroki Kremla poważnymi podwyżkami cen. Jest zdania, że Rosjanie mają na celu podnieść kwestię zaopatrzenia w gaz do tematu numer jeden na najbliższą zimę, stawiając kolejne wyzwania Zachodowi.

Czy rozpocznie się w Niemczech dyskusja o powrocie do energetyki atomowej i węgla? Jest to wysoce prawdopodobne po pierwszych rachunkach za sezon grzewczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 63687049a4

SŁUCHAWKI SENNHEISER HD 400 PRO

Naturalny, precyzyjny dźwięk, przejrzysta scena dźwiękowa, lekka konstrukcja i dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety profesjonalnych, dynamicznych, otwartych słuchawek studyjnych niemieckiej firmy Sennheiser.

Testowany model powinien trafić w gusta osób, które lubią duże, otwarte, wokółuszne muszle. Słuchawki świetnie leżą na głowie. Lekka konstrukcja (słuchawki ważą zaledwie 240 g) w połączeniu z welurowymi poduszkami sprawia zaś, że HD 400 Pro są komfortowe nawet przy wielogodzinnym odsłuchu (i to pomimo stosunkowo dużego nacisku na głowę). Pałąk w całości wykonany jest z tworzywa, które na szczęście sprawia wrażenie wytrzymałego plastiku wysokiej jakości. W zestawie znajdują się również dwa łatwo podłączane do słuchawek przewody (jeden spiralny o długości 3 m i drugi prosty o długości 1,8 m).

Jak przystało na referencyjne słuchawki, testowany model zapewnia szeroką scenę dźwiękową, przydatną dla wszystkich, którzy pracują w studiach nagraniowych lub sami zajmują się tworzeniem muzyki czy wszelkiego rodzaju miksów. HD 400 Pro niczego więc od siebie nie dodają i nie upiększają, możliwie wiernie odtwarzając jak najwięcej elementów zapisanych na płycie CD czy w komputerowym pliku. Warto o tym pamiętać przy wyborze – ten model Sennheisera nie podbija bowiem basów (które i tak są w nich bardzo wyraźne). Brak „upiększania" może jednak rozczarować użytkowników przyzwyczajonych do typowych słuchawek konsumenckich, a nie profesjonalnych.

Dźwięk w tych słuchawkach jest wyjątkowo czysty i nasycony detalami. Według producenta dzięki zastosowaniu autorskich transduktorów poziom zniekształceń harmonicznych jest mniejszy niż 0,05 proc., co jest rzecz jasna świetnym wynikiem. Charakterystyczna dla HD 400 Pro jest również wysoka impedancja, która wynosi 150 omów. Słuchawki brzmią nowocześnie i wiarygodnie, zarówno gdy słucha się w nich wysokich tonów, środka, jak i basów. Jednocześnie grają bezkompromisowo i nie wybaczają błędów twórców muzyki.

Wady? W tej cenie producent mógłby dołożyć w zestawie pokrowiec do przenoszenia słuchawek. Niektórych rozczarować może także to, że są to słuchawki wyłącznie przewodowe i nie mają wbudowanego mikrofonu, ale trudno uznać to za wadę, gdyż jest to po prostu cecha profesjonalnych słuchawek studyjnych. Otwarte słuchawki średnio nadają się też do transportu miejskiego, a jeśli ktoś już chciałby zabrać je do autobusu lub tramwaju, to będzie się nieco plątał w przewód, bo producent nie dodał trzeciego krótkiego kabla do urządzeń mobilnych.

Precyzyjne, neutralne, a jednocześnie żywe brzmienie HD 400 Pro sprawia jednak, że zarówno w prywatnym studiu nagrań, jak i podczas odsłuchów w domowym zaciszu testowane słuchawki powinny sprawdzić się bardzo dobrze. Oczywiście jeśli ktoś lubi taki niepodkolorowany dźwięk. Cena: 1149 zł. ©℗

Jacek Przybylski

DRON DO ROBIENIA SELFIE

Snap, firma znana z aplikacji Snapchat, wypuściła na rynek swojego pierwszego drona. Pixy to autonomiczny żółty bezzałogowiec w wersji mikro o wadze zaledwie 101 g. Używanie Pixy nie wymaga licencji pilota. Gadżet potrafi samodzielnie utrzymywać się w powietrzu, podążając za użytkownikiem i robiąc zdjęcia lub kręcąc filmy za pomocą kamery 12 MP, która rejestruje obraz o rozdzielczości 2592 x 1452 z prędkością 30 kl./s. Wszystkie zarejestrowane materiały są przesyłane na smartfonową aplikację Snapchat, gdzie można je edytować i udostępniać. Dron od Snapa jest na razie dostępny wyłącznie w USA i we Francji. Cena: 230 dol., czyli równowartość 1018 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OKULARY Z WIELKIM EKRANEM

Viture One to okulary w wersji smart, które – według zapewnień producenta – pozwalają na oglądanie filmów lub granie w gry wideo w dowolnym miejscu na świecie, np. podczas podróży samolotem. Ważące zaledwie 78 g urządzenie przeznaczone do rozszerzonej rzeczywistości wyświetla przed oczami użytkownika obraz o przekątnej aż 120 cali w rozdzielczości 1080 p przy odświeżaniu 60 Hz. Ponieważ okulary są przeznaczone do wyświetlania strumieniowanych treści, nie potrzebują skomplikowanych akcesoriów, a jedynie podzespołów do łączenia z Internetem. Cena: 399 dol., czyli równowartość ok. 1,8 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 63687049a4

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Majowe

Trwa najpiękniejszy miesiąc w roku. Maj jest przesycony zapachem budzącej się do życia przyrody, rozświetlony słońcem, ciepłem i przepojony śpiewem ptaków.

Po chłodnym początku wiosny i kwietniu, który w tym roku faktycznie zgodnie z przysłowiem przeplatał zimę z latem, czekaliśmy na maj jak na zasłużoną nagrodę. Zwłaszcza że oddychać można już pełną piersią, bez maseczek, więc tym bardziej spragnieni jesteśmy tego, by korzystać z pełni możliwości, jakie daje wiosna.

Spacery, rowery, kajaki – oczywiście tak. Prace w ogrodzie – także. Ale wiosna oferuje nam też to, co bardzo lubimy – posiłki na łonie natury. A więc pikniki, grille, ogniska, posiadówki na tarasie, nawet w warunkach miejskich kawa na balkonie jest po zimie pewną atrakcją. Korzystajmy z tego póki czas, bo maj to miesiąc, który mija najszybciej.

W tym roku jest jednak jeszcze inaczej – chyba wszyscy zaczęliśmy bardzo cenić życie i jego smak i wiemy już, że niektóre chwile na pewno się nie powtórzą i że być może żyjemy właśnie teraz, wbrew wszystkiemu – na najlepszym ze światów. Dlatego namawiamy do tego, by celebrować każdy majowy dzień, dać mu wspaniałą oprawę, zachwycać się pięknem przyrody i smakiem potraw, spotkaniem z przyjaciółmi. Namawiamy Was do tego, a i same siebie pilnujemy, aby w tym roku wykorzystać dobrze czas.

Co do potraw na grilla – proponujemy pyszną karkówkę, do której wystarczy zrobić surówkę z młodej kapusty: posiekana kapusta, pomidory, świeży koper, sól, pieprz.

1 kg karkówki pokrojonej w plastry i rozbitej karkówki przekładamy do zalewy na minimum 1 godz. Zalewa: 1 szklanka soku z pomarańczy, po 1 łyżeczce soli, pieprzu, papryki czerwonej, duża łyżka musztardy, łyżka miodu.

A na deser coś w barwach biało-czerwonych, bo przecież pamiętać trzeba, że maj w Polsce zaczyna się patriotycznie.

Ciasto: Malinowa chmurka

Składniki: 1 szklanka mąki, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, ¼ szklanki cukru, 100 g masła, 3 żółtka. Razem zagniatamy i wstawiamy do lodówki na minimum 30 min. Po tym czasie wkładamy do nagrzanego do 190 st. C piekarnika i pieczemy ok. 20 min. Studzimy.

500 g mrożonych malin, 2,5 szklanki wrzątku, 2 galaretki malinowe: rozpuszczamy galaretki we wrzątku i dodajemy maliny. Gdy galaretka będzie gęstnieć, wykładamy na upieczony spód. 300 ml śmietanki 30-procentowej ubijamy na sztywno z ½ szklanki cukru pudru. Dodajemy 500 g mascarpone i mieszamy na gęsty krem. Wykładamy na galaretkę. Wkładamy do lodówki. Pozostałe trzy białka ubijamy na sztywną pianę z 150 g cukru, na końcu dodajemy 1 łyżkę mąki ziemniaczanej. Wykładamy na blaszkę i pieczemy w temp. 110 st. C przez ok. 2 godz. Po ostudzeniu wykładamy na wierzchu ciasta. Posypujemy płatkami migdałów. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Piechotkowie

Maria i Kazimierz Piechotkowie. Nie wiem, czy te nazwiska coś mówią pokoleniu 20–30-latków, mojemu mówią dużo. Architekci powojennej Warszawy, projektanci dzielnicy Bielany. W blokach ich projektu, które dzisiaj wydają się skromne, nawet siermiężne, w latach 50. i 60. zamieszkały tysiące ludzi dotąd gnieżdżących się w klitkach bez wygód. Przybyli do Warszawy ze wsi, za pracą. Dla architektów odbudowa Warszawy była misją i wyzwaniem, dla ludzi „dostać mieszkanie" – jak się wtedy mówiło – oznaczało wielką radość. „Dostać" – tak było, za mieszkania komunalne się nie płaciło, za spółdzielcze – wkład, a potem raty długo spłacane.

Wspomnienia Marii i Kazimierza Piechotków (Dom Spotkań z Historią) nie są może wielkim dziełem literackim, ale są ciekawą opowieścią o architektach czasów PRL. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy zawód architekta nabrał innego niż wtedy kontekstu. Dziś absolwent architektury czuje się bardziej artystą niż inżynierem. Uważa, że powinien stworzyć coś efektownego, wyróżniającego się, spektakularnego. Każdy chce być Zahą Hadid. A małżeństwo Maria i Kazimierz całe swoje długie życie – ona żyła 100 lat, on 90 – wypełniało żmudnym ślęczeniem nad deską, projektowaniem domów, dzielnic i tych mieszkanek dziupli, w których na 30 metrach miała zmieścić się czteroosobowa rodzina.

MARIA I KAZIMIERZ PIECHOTKOWIE „WSPOMNIENIA ARCHITEKTÓW" DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ 2021

Musieli zmieścić się w normatywie, słuchać wytycznych, sprostać parametrom technicznym, a dodatkowo, zwłaszcza w czasie Bieruta i Gomułki, słuchać władzy. W tych warunkach stworzyli zarówno urbanistykę, jak i architekturę, która dobrze zestarzała się po latach.

Wygnano ich na emeryturę, kiedy mieli 60 i 65 lat, zgodnie z regulaminem tamtych czasów. Ale tym pracowitym ludziom nie przychodziło do głowy, żeby na emeryturze zająć się ogródkiem. Już wcześniej interesowali się drewnianym budownictwem w Polsce, napisali „Bramy nieba" – książkę o drewnianych bóżnicach. Na emeryturze z pasją podjęli temat judaików. Stali się badaczami, jeździli, badali archiwa, wygłaszali wykłady, pisali artykuły. Oni, dwoje starszych państwa, których przez 40 lat pracy zawodowej Polska Ludowa wysyłała najwyżej do Czechosłowacji, byli zapraszani na konferencje do Waszyngtonu, Nowego Jorku, do Jerozolimy. Maria w cztery miesiące nauczyła się angielskiego, żeby wygłosić referat w Waszyngtonie.

Cóż za imponujące życiorysy! Ale nie jestem pewna, czy o takich marzą współcześni studenci architektury. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Gwardiacy w Warszawie

Osobliwością Warszawy czasów saskich była obecność żołnierzy regimentu gwardii koronnej, który w połowie XVIII w. pełnił wartę przy królu. Jednostka liczyła ok. 2 tys. żołnierzy, a przyjmowano każdego, kto chciał służyć, byle nie był ślepy, kulawy i garbaty. Przede wszystkim udawali się tam synowie warszawskich mieszczan i drobnej szlachty, zarekomendowani dla służby i osiągnięcia awansu. Powszechną praktyką w tamtych czasach było też przymuszanie do służby podstępem – zwłaszcza gdy brakowało ludzi w regimencie – dlatego znalazło się tam wielu parobków, sług albo młodzieńców, których gwardiacy podpoili w szynku, włożyli na głowę kapelusz i tym samym przymusili do zaciągnięcia się w ich szeregi.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

Choć zatem gwardia stanowiła środowisko awanturników i rębajłów, to jednak dobrze wyćwiczonych wojskowo, śmiałych i sprawnych w walce. Można by powiedzieć, że to ona jedyna, pospołu z żołnierzem wystawianym przez ordynacje, ratowała w przeklętym wieku XVIII honor żołnierza polskiego. Kiedy bowiem husaria stała się wojskiem pogrzebowym, a pancerni używani byli do pościgów za bandami hajdamaków, jedynie piechota, zwłaszcza regimenty gwardii, trzymała poziom podobny do poziomu armii europejskich. Niestety, było jej śmiesznie mało, zaledwie niecałe 6 tys. w wojsku koronnym, podczas gdy armie sąsiadów – Moskwy i Prus – przekraczały wówczas 100 tys. żołnierzy.

Najmilszą zabawą gwardzistów, jak podaje Kitowicz, było wzniecanie awantur z drabantami królewskimi, czyli saskim regimentem konnym, który na mocy uchwał Sejmu Niemego mógł utrzymywać przy sobie król. W czasach Augusta III Sasa złożony był z ludzi wysokiego wzrostu, specjalnie dobieranych pod względem urody. „Za tymi drabantami gwardiacy chodzili, jak myśliwi za zwierzem, a gdzie tylko z nimi zwarzyli bitwę, regularnie ich porąbali, a najwięcéj po twarzach haniebnie szpecąc przeciętemi nosami, policzkami, odwalonemi uszami, pięknych wcale ludzi, nieszukając z nich żadnego innego pożytku tylko sławę, że karłowie zbili olbrzymów. Król haniebnie się gniewał o swoich drabantów na oficerów gwardyi i jenerała, że nie mogą utrzymać żołnierza, aby mu tej psoty nie wyrządzał" – pisał Kitowicz. Ponieważ jednak oficerowie rzadko karali awanturników, ostatecznie zdecydowano się odebrać gwardiakom pałasze. Wówczas żołnierze pozasadzali bagnety na kije i nimi „jeszcze gorzéj wycinali pyski drabantom, jak pałaszami; bo drabanty chłopy ciężkie i nie sprawne do szabli, żadnego układu szermierskiego nieumieli, tylko z góry niby cepami cięli na gwardyaków". Ostatecznie król August odesłał drabantów do Saksonii, a na ich miejsce sprowadził regiment karabinierów. Ci nie byli już tak rośli i gładcy, przestali zatem być celem zaczepek.

Gwardiacy już 300 lat temu tworzyli unikalny folklor warszawski. Ponieważ nie wystarczał im skąpy żołd, radzili sobie prawem i lewem. „Mieli [...] doskonalszy od innych regimentów talent oszukaństwa, kuglarstwa i sztucznéj kradzieży [...], najprzezorniejszy wdawszy się z gwardiakiem w jaki frymark, został oszukany, kupił niejeden zamiast pasa bogatego, garść konopi albo gałganów [...]; zamiast zegarka rzepę, zamiast bogatej karabeli, kawał drewna krzywego i innych tym podobnych rzeczy. Gdy się zbiegło do jakiego woza, masłem, serem, ptastwem domowem i innemi żywnościami naładowanego, kilku gwardiaków, już się tam przedający nigdy towaru nie dorachował, choć żadnego kradnącego nie dostrzegł".

Prawdopodobnie to żołnierze gwardii koronnej wymyślili lub upowszechnili grę w trzy kubki, którą można było zobaczyć na targowiskach jeszcze pod koniec lat. 80 zeszłego stulecia. Jak podaje Kitowicz: „Trzy kubki drewniane gwardiak gdziekolwiek na ulicy na stołku wystawiwszy, przerabiał niemi sprawnie, przemykając postawiony na prawéj stronie, na lewą z lewéj na prawą, średni na bok, i tak kilka razy tu i owdzie owe kubki przemykając; pod temi kubkami była jedna gałeczka mała woskowa, raz tym drugi raz innym kubkiem przykryta, kto trafił na kubek, pod którym ta gałeczka była, ten wygrał, kto nie trafił, ten przegrał. Lecz gwardyacy mieli taką sprawność w ręku, iż z trudnością było można upatrzeć ową gałeczkę, pod którym kubkiem po przerobieniu niemi została". Tak w czasach nam współczesnych, jak 300 lat temu nie dawało się wygrać, ponieważ gwardiacy mieli własne sposoby na oszukiwanie naiwnych. Do gry wystawiali ludzi namówionych, którzy wygrywając, zachęcali innych. Szczególnie zaś polowali, zupełnie jak w XX w., na chłopów, służących i niewiasty wracające z targu po sprzedaniu towaru, kury lub krowy i dysponujących gotówką, która szybko i sprawnie zmieniała w ten sposób właściciela. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wakacje z paszportem

Od 1 lipca Unia ma wprowadzić certyfikaty covidowe, zwane również paszportami unijnymi. Tak, tak. Unia doczekała się własnego ogólnego paszportu. Dostaniesz go, gdy spełnisz jeden z trzech warunków: jesteś zaszczepiony, jesteś ozdrowieńcem, masz negatywny test. Paszport ma „ułatwić i umożliwić" podróżowanie po Europie. Czyli państwu się tylko wydaje, że wirusa nie ma. Mamy dwa wyjścia – wirus jest, a więc go tropimy; wirusa nie ma, a więc paszport jest po nic. Czyli dla samej kontroli. Bo on w obu wersjach jest po nic, co zaraz nam wyjdzie. Jego posiadanie może być egzekwowane przez dane państwo na własnych zasadach, na liście znajduje się np. moja Grecja, gdzie bez tego świstka nie wejdziesz do restauracji, na prom i do samolotu. A więc wakacje zapowiadają się ciekawie. To tak à propos, że wirus zmarł.

Rozłóżmy na czynniki pierwsze warunki. Masz być zaszczepiony. Ale co to oznacza? Jak dawno temu? Wychodzi na to, że szczepienie będzie ważne rok. Kłóci się to z nauką, która pokazuje, że ewentualne dobroczynne skutki szczepienia spadają wraz z liczbą szczepień i nie przekraczają połowy roku. W dodatku pytanie: Szczepienia na jaki wariant? No bo przecież dowiedzieliśmy się od Big Pharmy, z okazji omikrona i delty, że szczepionki muszą być pasować do danego wariantu. A przecież te nowe czekają za rogiem, jak przekonuje Bill Gates.

Ozdrowieniec będzie ważny przez 180 dni. Kolejna bzdura. Bo i tu nauka wykazała, że odporność po przechorowaniu koronawirusa utrzymuje się dużo dłużej niż po szczepionce. Ta zaś ma utrzymywać przeciwciała (paszportowe, dodajmy) przez rok, a lepsza odporność naturalna traci swą ważność (paszportową, dodajmy) po pół roku, choć jest de facto o wiele dłuższa.

Wreszcie testy – te będą ważne 48 godzin od pobrania do faktu okazania. Czyli jeśli się nie zaszczepiłeś, przeszedłeś koronę w 2021 r., a chcesz zjeść suflaki, to musisz się testować co drugi dzień. Testami, które przewalają wyniki na fałszywie pozytywne w proporcjach ok. 50 proc. A to oznacza, że wymogi paszportowe wywołają kolejną falę zakażeń (testami).

Taka triada nie trzyma się sensu i dowodzi, że paszport nie ma żadnego znaczenia epidemiologicznego. To wyłącznie narzędzie kontroli ludzi. Przygrywka do punktacji społecznej, to znaczy, że państwo będzie dowolnie wyznaczało kryteria, które musisz spełnić, by dostąpić zaszczytu pozorów normalności. Skoro kryteria covidowe paszportu są od czapy, to mogą w przyszłości być to dowolne warunki, które musisz spełnić. W te wakacje potrenujemy więc działanie wstępu do systemu kontroli społecznej.

I niech mi tu ktoś teraz powie, że koronawirus się skończył. Może epidemiologicznie tak, ale świat bardzo chce korzystać z mechanizmów, które zostały wytworzone podczas pandemii. I choroba do tego nie jest w ogóle potrzebna. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Fajni katolicy i zapach siarki

W trzecią niedzielę okresu wielkanocnego w kościołach czytany był fragment 5. rozdziału Dziejów Apostolskich, z poruszającą mową św. Piotra przed Sanhedrynem i znanym cytatem: „Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi". Porównując czytanie z tekstem oryginału, okazuje się, że zabrakło istotnego akapitu. Zniknęły mowa obrończa Gamaliela i informacja o ubiczowaniu apostołów, przez co nawet tytuł tego fragmentu: „Cierpienie dla imienia Jezusa" traci sens. Trudno pojąć intencje takiego zabiegu. Czyżby chodziło o to, że czytanie jest zbyt obszerne, za długie? Przecież pominięty tekst, czytany wolno, nie zajmuje nawet minuty.

Amputacji tekstów biblijnych widzimy coraz więcej. Mają one pewną czytelną intencję, szczególnie w nauczaniu Franciszka. Kilka lat temu, w homilii na Zesłanie Ducha Świętego, Franciszek cytując słowa zmartwychwstałego Chrystusa do apostołów i pośrednio ich następców w Kościele, przytoczył tylko pół zdania: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone", pomijając, a raczej wygumkowując dalszą część: „A którym zatrzymacie, są im zatrzymane" (J 20, 19–23). Trudno doszukać się w wypowiedziach, homiliach i papieskich katechezach Jezusowego potępienia cudzołóstwa (Mt, 19, 2–11). Nie znajdziemy go też w liczącej ponad 200 stron posynodalnej adhortacji „Amoris laetitia". Papież uchyla się także od oceny aktów homoseksualnych czy procederu surogacji („kim jestem, abym oceniał") i wygląda na to, że całkiem świadomie toleruje bluźniercze praktyki błogosławienia przez niektórych „postępowych duszpasterzy" związków jednopłciowych.

Wszystko to układa się w taki obraz pluszowego chrześcijaństwa, bez moralnych wymagań, gdzie znika nauczanie o grzechu, Sądzie Ostatecznym i piekle. Kościół ma być teraz inkluzywny bez względu na to, czy (nie)wierni świadomie wybierają życie w grzechu.

Widać to wyraźnie w zafałszowanej interpretacji istoty Bożego Miłosierdzia przez fajnokatolickich teologów. Według tej nowej wykładni „piekło jest puste", bo przecież miłosierdzie obejmuje wszystkich, uchylając na zawsze bożą sprawiedliwość. Przypomnę więc fragment „Dzienniczka" św. siostry Faustyny: „Ja, siostra Faustyna, z rozkazu Bożego byłam w przepaściach piekła na to, aby mówić duszom i świadczyć, że piekło jest. [...] To, com napisała, jest słabym cieniem rzeczy, które widziałam. Jedno zauważyłam: że tam jest najwięcej dusz, które nie dowierzały, że jest piekło. Kiedy przyszłam do siebie, nie mogłam ochłonąć z przerażenia, jak strasznie tam cierpią dusze, toteż jeszcze się goręcej modlę o nawrócenie grzeszników, ustawicznie wzywam miłosierdzia Bożego dla nich". ©℗

eprasa.pl 63687049a4

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Przywrócić batożenie

Trochę mnie to bardzo niepokoi. Co? No to, że zaczynamy się godzić na życie w coraz głupszym świecie, w którym nikt za nic nie odpowiada, bo jakoś się, proszę państwa, tak dzieje, że wszelka odpowiedzialność się rozmywa. I co zrobisz? Nic nie zrobisz. Ktoś powinien ponieść konsekwencje, ale nie wiadomo kto. Bo i skąd? W związku z tym realizowane są bardzo konkretne działania, z bardzo konkretnymi efektami. Niemądre, nieracjonalne, ale stało się, trudno.

Przez media społecznościowe przewaliły się informacje o Pucharze Polski w piłce kopanej. Grał Raków z Lechem na Stadionie Narodowym. I zaczęło się, zanim się zaczęło. Kibice dowiedzieli się, że nie mogą wnieść tzw. opraw, czyli bannerów i dużych flag. Czemu? Temu. Podobno nie pozwoliła straż pożarna. Rozumieją państwo? No właśnie, nikt nie rozumie. Niby co ma straż pożarna do flag i bannerów kibicowskich? No nic. Ale ma. Czy straż może podać jakiś przykład, że z powodu flag i bannerów płonęły stadiony, a kibice obracali się w pieczyste? No nie. Ale co z tego? Jest zakaz i zakazano zakazem. Formalnie zakazał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, bo taka jest procedura, ale poinformował, że zakazał, bo straż zakazała. Natomiast straż pożarna poinformowała, że ona nie zakazała, tylko zgodziła się na taką konstrukcję, w której można wnosić wyłącznie małe flagi, ale to nie znaczy, że zakazała wielkich, niemniej ratusz warszawski twierdzi, że właśnie, że nie, bo straż zakazała, a prezydent musi uszanować. I wtedy się zaczęło.

Kibice Lecha przyjechali jednak z bannerami i flagami, gdyż chcieli świętować święto. Mieli wykupione bilety, więc ich nie wpuszczono. Powiedziano, że wejdą, jeśli zostawią flagi. Oni nie chcieli, bo niehonorowo, i zostali przed stadionem. W związku z tym policja państwowa lała tych kibiców z lądu i z koni. Filmik, na którym jakiś niespecjalnie mądry gliniarz na koniu tratuje kibiców między autokarami, obiegł sieć. Kibice ranni, policjant spadł z konia. Zadyma jak się patrzy. Moim zdaniem kibice Lecha zachowali się nadzwyczaj spokojnie. Meczu nie obejrzeli, obejrzeli zawstydzający pokaz możesznamnaskoczyzmu. Bo na końcu, a prześledziłem za państwa całą chronologię zdarzeń, nie ma winnego. Prezes PZPN sobie mówi, że jak tak, to nie będą w przyszłości organizowane mecze Pucharu Polski na Narodowym. I co? I nic. Lech przegrał, kibice przegrali, wygrali ci, którzy boją się kibiców i ich flag z prostymi przekazami. Wnioski? Jeśli nie umieścimy w Kodeksie karnym kary batożenia urzędników za skrajną nieodpowiedzialność, to ten kraj głupieć będzie na naszych oczach. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Niezniszczalna strefa zgniotu

Małgośka – mówią mi – jak żyć, gdy nic nie można zaplanować? Jak znosić wiadomości nie do zniesienia? Nie wiem, w dodatku codziennie przychodzi nam patrzeć bezradnie na masowo zadawaną śmierć i strumień uchodźców. A tyle było organizacji powołanych, aby strzec pokoju i ładu światowego! Czy w związku z tym będą jakieś dymisje w odnośnych instytucjach? Czy powstanie nowy Fundusz Odbudowy, który byłby kolejną odpowiedzią UE na zagrożenia, które tym razem spowodowała Rosja? A czy w związku z nieprzestrzeganiem przez Niemcy zasad prawości i praworządności należy je zagłodzić finansowo? A czy kordonem sanitarnym w polityce europejskiej można wreszcie otoczyć Rosję i Niemcy czy nadal tylko tzw. populistów z prawicy? A czemu nic nie słychać, aby Pfizer szczepił na przewlekły, dziedziczny imperializm Rosjan, gdy w każdym pokoleniu zabija tysiące istnień? A czy prześladowany w Europie polonofobiczną mową nienawiści kolektyw spod znaku literek PL (dający zresztą schronienie kolektywowi UA) może wreszcie liczyć na wsparcie finansowe i pełną integrację z kolektywem UE na zasadach partnerstwa? A kiedy Rosja zostanie ukarana za zwielokrotnioną emisję metanu i CO_2 na skutek działań wojennych? I czy nasz kawałek świata rzeczywiście kieruje się „wartościami europejskimi" czy jednak wygrywa w nim brutalny darwinizm silniejszych państw? Czy papież ewentualnie mógłby chociaż potępić zanieczyszczanie ukraińskiej Pachamamy wrakami czołgów rosyjskich?

No tak się zwierzam państwu, bo trwam w pogłębiającym się kryzysie moich relacji ze Stolicą Apostolską w Rzymie, a także ze stolicą Europy w Brukseli, jak zawsze – ze stolicą homo sovieticus w Moskwie, a także ze stolicą Polski platformerskiej zwanej Warszafką. Nie wspomnę już o moich napiętych relacjach ze stolicą Hiszpanii, do której wylot wciąż przesuwam z uwagi na panującą tam rusofilię lub obojętność. Jakoś nie mam ochoty słuchać porad amigos, którzy znów zechcą mi udowadniać, że „Rosja zabija tylko ciała, a globaliści i jankesi zabijają duszę". Przyznaję jednak – optymizm mnie nie opuszcza, od kiedy na zajęciach z samoobrony dowiedziałam się, że aby przeżyć, obowiązuje reguła linii trzech głów, czyli nigdy nie można znaleźć się pomiędzy dwoma agresorami, ale zawsze wydostać ze „strefy zgniotu".

Więc kiedy myślę, od ilu już wieków mój naród dzielnie trwa między młotem a kowadłem, między Mołotowem a Ribbentropem, to mam wrażenie, że Polska to zawodnik niezniszczalny. I to pomimo zdrajców przyczepionych do niej jak kula u nogi. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czy istnieje rzeczywistość?

Trudno dziś jeszcze zmierzyć zasługi pana Putina w uświadomieniu światu, czym jest Rosja, ale w szerszym sensie także w uświadomieniu, że istnieje rzeczywistość. Na początku XXI w. coraz częściej w to powątpiewano. Podobno pewna studentka amerykańska miała trudności z zaliczeniem zajęć z filozofii, gdyż używała określenia „rzeczywistość".

Na początku XXI w. mówiono często, że istnieją tylko narracje, a tu – masz: rosyjska agresja, wojna, naloty i masowe mordy – wszystko całkiem realne. Powiadano, że prawda leży pośrodku, a tu okazuje się, że pośrodku są trupy i ruiny. Mówiono, że światu grozi zagłada klimatyczna, a obrońcy klimatu sfinansowali podpalacza świata, który produkuje w ten sposób ogromne ilości dwutlenku węgla.

Mówiono, że nie ma już narodów, a na naszych oczach kształtuje się na nowo tożsamość ukraińska. Opowiadano, że istnieje wspaniała kultura rosyjska, a tu nagle okazuje się, że prawosławną Cerkwią kieruje apologeta zbrodni, a czołowi artyści rosyjscy deklarują się jako obrońcy gwałcicieli niemowląt. Nastolatki zaś i wybitni sportowcy rosyjscy wykonują gesty nazistowskie w walce z nazizmem. Mówiono, że z Rosjanami można robić normalne interesy, a tu – masz: oni myślą głównie o kradzieży.

Powiadano, że istnieje kilkadziesiąt odmian płci, że rodzina to przeżytek, a na to rzeczywistość: mężczyźni ruszają do walki w obronie swoich rodzin, swoich kobiet i dzieci, a one z kolei ratują te dzieci, zamiast na samym początku je zabijać. Mówiono, że dzieci trzeba uświadamiać wcześnie i przyzwyczajać do przemocy, która jest czymś naturalnym, a teraz wszyscy chcą je chronić przed traumą spowodowaną przez rosyjskich bandytów.

Do niedawna filmy coraz rzadziej kończyły się happy endem, a teraz brak happy endu może oznaczać prawdziwą zagładę świata.

Prezydent Putin zrobił rzeczywiście bardzo wiele, by ludzie zaczęli się orientować, czym naprawdę jest Rosja. Mowa oczywiście o ludziach, których umysł i sumienie funkcjonują normalnie.

Do niedawna filmy coraz rzadziej kończyły się happy endem, a teraz brak happy endu może oznaczać prawdziwą zagładę świata

Sukces Putina może być jednak ograniczony przez ludzi, którzy wprawdzie rzeczywistości nie mogą zaprzeczyć, ale na różne sposoby ją zakłamują. Jedni z gorliwością neofitów zapewniają, że zawsze widzieli w tym osobniku przestępcę i nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, choć chodzili z nim po sopockim molo, coś tam razem planując, i twierdzili, że trzeba z nim trzymać, z takim, jakim jest. Inni neofici kompletnie sobie nie przypominają, że krytyków Putina odsądzali od czci i wiary jako „rusofobów", że przyjmowali z rosyjskim ministrem odprawę polskich posłów oraz że chcieli z Rosją podpisywać układy o współpracy wojskowej ponad głowami NATO.

Pewien wysoko postawiony komediant stroił się w ukraińskie battledressy i zapuszczał brodę na wzór prezydenta Zełenskiego, choć wzdragał się przed używaniem zbyt dosadnych określeń wobec swojego ulubionego klienta na sprzęt wojskowy. Być może nadal liczy na dobre interesy w niedalekiej przyszłości. Wiernie trzyma się linii swego poprzednika, który krytykom mówił: „Wy macie zasady, a my – fundusze". W rządowych kręgach Niemiec zapadła głucha cisza co do sum, które przekazano Rosji w ramach projektu uzależnienia Europy od rosyjskiego gazu. To był przecież taki świetny plan! Intelektualiści w Niemczech, czyli umysły i sumienia tego kraju, upraszają Ukraińców o kapitulację, żeby uniknąć rozlewu krwi, nie interesując się najwyraźniej tym, gdzie pochowano tych, którzy się poddali. Rośnie fala obaw o dyskryminację Rosjan. Płacze nad ich losem wielu Włochów. Zaprawdę, biedni są ci rosyjscy bandyci, których tak wychowało społeczeństwo rosyjskie. Czy zatem nie należałoby ich zrozumieć?

Pamiętamy, z jakim moralnym oburzeniem traktują publikację zdjęć abortowanych płodów zwolennicy aborcji. Być może bliska jest chwila, gdy podobny niesmak zwycięży wobec zdjęć ofiar rosyjskich mordów. W eleganckim świecie nie wypada przecież mówić o gwałtach na niemowlętach, a samobieżne krematoria rosyjskie budzą złe skojarzenia z nie tak dawną przeszłością.

Niestety, nasza przyszłość zależy od tego, jak wiele ludzi uwierzy w rzeczywistość. ©℗

eprasa.pl 63687049a4

ZNIKANIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Są informacje, które coraz trudniej znaleźć. Niedawno były, a teraz znikają. Na podobnej zasadzie znikały różne postaci i fakty w sowieckiej encyklopedii. Ta sama historyczna fotografia – „ojcowie założyciele komunizmu": w wydaniu wcześniejszym obok Stalina stoi Lew Trocki, w wydaniu późniejszym na miejscu Trockiego rośnie drzewo.

Znikanie ludzi i faktów odbywa się również obecnie i tym razem nie tylko w świecie komunistycznym, lecz także w tzw. wolnym. Znikaniem zarządza pięciu, może sześciu facetów, którzy trzymają w garści kluczowe korporacje: YouTube, Facebooka, Wikipedię… Wiadomo. Najpierw dorobili się monopolu w swojej branży, a teraz za pomocą tego monopolu mogą „znikać" postaci i fakty. I jeszcze ta wojna na Ukrainie jako pretekst, by zakazać ludziom słuchania ruskiej propagandy. A dlaczego? Czy ja jestem głupi na tyle, że się nie zorientuję, że Putin kłamie, gdy włączę moskiewski kanał znanego kłamcy Putina?

***

Polska władza do spółki z UE robi rzeczy niebezpieczne, gdy zabrania obywatelom dostępu do „dezinformacji". Ja chcę być dezinformowany i to powinna być moja prywatna sprawa, czy słucham bredni irańskich ajatollahów czy… bredni tego pijaka Junckera. Sam sobie ocenię, co jest, a co nie jest dezinformacją! Bo na przykład WSZYSTKO, co polski minister zdrowia opowiadał na temat COVID, to była dezinformacja. I nie miałbym nic przeciwko jego nienaukowym wywodom, gdyby ten sam minister nie tępił lekarzy, którzy wypowiadali opinie przeciwne do ministerialnych.

Obecny zamach na wolność dostępu do informacji jest groźny, a obawiam się, że przegapimy to zagrożenie pod naporem wojny. Bo za pomocą wojny bardzo wiele można uzasadnić i w UE właśnie się do tego zabrali – do uchwał wprowadzających cenzurę.

Pierwsza poprawka do konstytucji USA reguluje te kwestie w sposób doskonały i wystarczyłoby skopiować – wolności słowa ograniczać nie wolno, a na słowa, które nam się nie podobają, odpowiadamy większą ilością słowa, a nie kneblem. Czyli na kłamstwa płynące z Moskwy odpowiadamy prawdą płynącą od nas, a nie cenzurą tego, co płynie z Moskwy.

***

Informacje i fakty, które nikomu nie przeszkadzają, nie wymagają żadnej ochrony. Wolność słowa jest więc po to, by gwarantować przekazywanie takich faktów, które są dla kogoś NIEWYGODNE.

No na przykład:

Eksmisja – zimą nie mogłeś eksmitować uciążliwego lokatora, nawet mając w garści wyrok sądowy, ale w maju już możesz, chyba że… lokatorem jest uchodźca. Dlatego właśnie hotelarze prosili rząd, by zabrał dokądś uchodźców przed majówką. Rząd się nie kwapił, a jedynie obiecywał więcej forsy. Pytań o to, skąd rząd weźmie więcej forsy, nie ma. Nikt ich nie zadaje, bo to są pytania niewygodne. A do hoteli pełnych uchodźców polscy turyści na majówkę nie pojechali, czyli forsy nie przywieźli. Najpierw hotelarze dostali po nerkach od ministra zdrowia, który zabraniał prowadzenia działalności, potem rzucono drobne ochłapy w postaci dotacji na uchodźców, a teraz hotelarze mają sobie radzić sami.

***

Korporacja i monopol to zjawiska sprzeczne z kapitalizmem. Tak, wiem, korporacja pojawiła się w ramach kapitalizmu, ale rak też wyrasta w ramach ludzkiego organizmu, a jednak jest ciałem obcym i chcemy go zwalczyć do zera. Podobnie powinniśmy zwalczyć (zdelegalizować) nowotwory, jakimi są korporacje. Oczywiście pod warunkiem, że zależy nam na istnieniu zdrowego kapitalizmu. Korporacja to choroba śmiertelna, zabójcza i trudna do zwalczenia. Na jakie wyżyny pryncypiów musiałby się wznieść parlament uchwalający przepisy zakazujące istnienia korporacji? To nie jest niewyobrażalne – przepisy antymonopolowe istnieją. A czemu istnieją? Bo kapitalizm to wolność i swobodna konkurencja, a monopol to dyktatura.

Korporacje niszczą konkurencję oraz niszczą odpowiedzialność za złe czyny i złe produkty, a każda z tych trzech rzeczy jest cechą niezbędną zdrowego kapitalizmu: 1. istnienie swobodnej konkurencji, 2. wojna o coraz lepszą jakość produktów oraz 3. kara za rynkowe zło. W przypadku korporacji kara jest niewykonalna lub bardzo trudna, bo korporacja to nikt – brak właściciela, którego można wsadzić za kratki, i brak kraju, w którym korporacja ma realną siedzibę i realny majątek.

Korporacja międzynarodowa jest z definicji… międzynarodowa, więc zawsze jest w stanie uciec od odpowiedzialności przed jednym narodem na teren innego narodu. Korporacja międzynarodowa nie walczy o lepszą jakość produktu, a jedynie o wyższe zyski, wyższą sprzedaż i wyniszczenie konkurencji. W zdrowym kapitalizmie nikt nie pracuje na wyniszczenie konkurencji – wszyscy się ze sobą ścigają. W kapitalizmie chorym korporacje pracują na to, by ich konkurencja zniknęła, bo wówczas korporacja staje się dyktatorem, czyli może zrobić wszystko, co zechce.

I ja ci powiem, przyjacielu, nie chcesz, naprawdę NIE CHCESZ obcować z kimś ani czymś, co „może zrobić wszystko, co zechce".

***

Kilka wiodących korporacji zmonopolizowało przepływ informacji w świecie zachodnim – piszą nową historię, blokują dostęp do treści niewygodnych.

Amerykańskie wydanie Wikipedii zawiera dane na temat Ukrainy, których nie zawiera wydanie polskie. Dla Amerykanów te dane nie są ważne, dla Polaków są kluczowe. Cytuję za amerykańską wikipedią: epidemia AIDS na Ukrainie jest jedną z najszybciej wzrastających na świecie. Ukraina ma najwyższy współczynnik występowania HIV poza Afryką. Badania z roku 2015 pokazują, że epidemia AIDS nie ogranicza się do małej grupy narkomanów, ale przyspiesza w całej populacji i dotyczy rosnącej liczby zainfekowanych kobiet.

***

Czy minister zdrowia RP jest przygotowany na trudne fakty? Z analiz Banku Światowego z roku 2020 wynika, że na Ukrainie nosicielami HIV jest 1,5 proc. populacji kraju. Straż Graniczna informuje, że od 24 lutego 2022 r. granicę polsko-ukraińską przekroczyły ponad 3 mln uchodźców. To oznacza, że powinniśmy być przygotowani na 45 tys. zakażonych HIV. Jesteśmy? Ktoś coś bada? ©℗

eprasa.pl 63687049a4

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK USKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

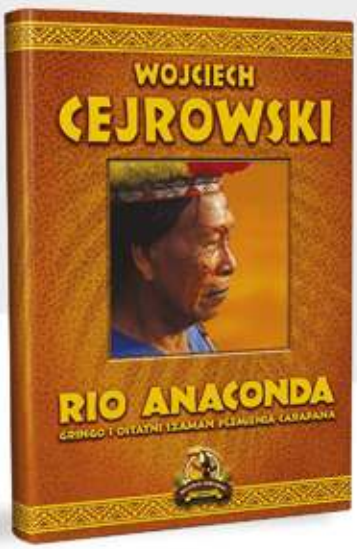

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI „RIO ANACONDA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1079~~ ZŁ

363,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 716 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 63687049a4

Fotowoltaika od Energa Obrót

Oszczędność mamy w naturze

Wybierz instalację fotowoltaiczną od Energa Obrót

- ☑ Produkuj własny prąd z odnawialnych źródeł i **obniżaj rachunki za energię elektryczną.**
- ☑ Umowę podpisujesz bezpośrednio z Energa Obrót Grupa ORLEN.

Zadzwoń na 555 555 505*
lub wypełnij formularz
na energa.pl

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

*koszt połączenia wg stawek Twojego operatora. Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 63687049a4